ESEJ RAFAŁA A. ZIEMKIEWICZA

Czy PiS zdoła wycofać się z mitu o zamachu smoleńskim



Anna Siarkowska przypomina polityków odpowiedzialnych za covidowy zamordyzm



LOBOTOMIA, UPUSZCZANIE KRWI, TRANSFUZJA Z MLEKA – DO CZEGO ZMUSZAŁA NAS „AKTUALNIE OBOWIĄZUJĄCA NAUKA”

Izrael za kulisami ataku migrantów na Ceutę

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 34/694 17–23 SIERPNIA 2026
CENA 14,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Zełenski nie chce końca wojny?

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

30 LAT LEGENDY

CIEMNOGRÓD

KONCERT URODZINOWY

1996-2026

WRACAMY DO OSIEKA PO 30 LATACH!

WYSTĄPIĄ

PAWEŁ BĄCZKOWSKI/MEGA SUPPORT

MILO ENSEMBLE

GRUPA FURMANA/TROJAK

ALICJA BONCOL & KOALICJA

CEZARY MAKIEWICZ & KOLTERSI

MARIACHI LOS AMIGOS



22 SIERPNIA 2026

OSIEK

POMORZE / KOCIEWIE

Z INICJATYWY

śp. STANISŁAWA CEJROWSKIEGO

TWÓRCY PIERWSZEGO CIEMNOGRODU 1996

WOJCIECH CEJROWSKI ZAPRASZA

WWW.CIEMNOGROD.PL

eprasa.pl 7360d17964

Sięganie do gwiazd czy do Tuska



PAWEŁ LISICKI

Od czasu, kiedy to pojawiła się nowa partia (choć jeszcze partią niebędąca) Mateusza Morawieckiego, nieco wody w Wiśle upłynęło i można by się spodziewać, że czegoś więcej dowiemy się o jej programie. Cóż, nie jest to łatwe. Podczas słynnego już grilla Mateusz Morawiecki mówił dużo, jednak trudno było pojąć, na czym polega jego propozycja polityczna.

„Kiedy Polska i Polacy byli najsilniejsi? [...] Byliśmy najwięksi wtedy, kiedy mieliśmy odwagę w sercach. Gdy mieliśmy odwagę pod Grunwaldem, odwagę (Mikołaja) Kopernika, odwagę pod Wiedniem, odwagę (Marii) Konopnickiej, odwagę »Siłaczki« (Stefana) Żeromskiego, odwagę powstańców wielkopolskich, odwagę obrońców Warszawy, odwagę Gdyni i odwagę Solidarności. Tylko wtedy, mimo naszych braków, mimo naszych deficytów, potrafiliśmy naprawdę sięgać gwiazd [...]" – mówił były premier.

Poza jak zwykle u niego dość pompatyczną i kwiecistą retoryką konkretów brak. Swoją drogą opowieści o potrzebie odwagi w sercach z ust człowieka, który najpierw odważnie kupił za miliardy niepotrzebne szczepionki i równie odważnie założył sobie (i Polsce) na szyję unijne kamienie milowe – koń by się uśmiał. Żyjemy jednak w epoce, w której cechą dobrego polityka okazuje się zdolność wciskania kitu innym, więc były premier niczym od reszty podobnych krasomówców się nie odróżnia.

Nieco bardziej wyraziście wizję polityczną nowego ruchu przedstawił w rozmowie z „Gazetą Wyborczą" europoseł Waldemar Buda. O ile wystąpienie pana Mateusza pełne było uniesienia i przyciężkawych metafor, o tyle wywiad pana Budy wręcz przeciwnie – przypominał nie tyle wzlot poetyckiej wyobraźni (każdy ma takiego poetę, na jakiego zasłużył), ile ciężką pracę drwala przy wycince lasu. Nie ma nic o odwadze Kopernika i Żeromskiego, za to dużo o racjonalności i pragmatyzmie. Przy czym są one definiowane w dość zaskakujący sposób, a mianowicie jako zgodność z wytycznymi Unii. ETS, który jest jednym z filarów polityki Zielonego Ładu? „Po co dziś mówić o wychodzeniu z niego" – mówi pan Buda. Ano po co?

O ile były premier jest prorokiem odwagi, o tyle jego wierny giermek preferuje opowieść o racjonalności i pragmatyzmie, „bo ostatecznie to jest cenne w polityce". Nieco się zatem pogubiłem. Na czym, u licha, ma owa odwaga polegać? Na przyjmowaniu wszystkiego, czego chce Bruksela? Najwyraźniej tak, bo inaczej popada się w „radykalizm i populizm". A fe.

Podobnie nowy ruch będzie jednocześnie konserwatywny („chcemy mieć kotwicę konserwatywną"), ale (kiedy słyszę tak zbudowane zdanie, wiem doskonale, że prawdziwy przekaz zawarty jest w tej części) „przy zachowaniu pełnej racjonalności i odpowiadając na realne potrzeby ludzi". Wydaje się, że owa „konserwatywna kotwica" zbyt głęboko zakotwiczona nie będzie, bo „jesteśmy za kompromisem aborcyjnym", a zwiększenie ochrony życia było „katastrofą ogólnospołeczną".

Jak europoseł, a niegdyś minister w rządzie PiS tłumaczy obecne rozejście z prezesem Jarosławem Kaczyńskim? „Dziś [Jarosław Kaczyński] ma problem ze swoim otoczeniem, które ma na niego większy wpływ niż kiedyś i stąd te błędy". Biedny prezes PiS. Wygląda na to, że dostał się pod wpływ złego towarzystwa i stąd cała afera.

Nie mniej osobliwa jest wizja przyszłości według porte-parole byłego premiera. Jest ona, nie muszę dodawać, świetlana. Nowy ruch pana Mateusza będzie rósł w siłę, a Prawo i Sprawiedliwość? Być może będzie w przyszłej koalicji junior partnerem. Kto jeszcze? „Zdaje się, że nie ma innych możliwości, więc absolutnie również z Konfederacją trzeba się porozumieć, żeby stworzyć prawicowy rząd". W tej zdaje się „prawicowej koalicji" jedno jest pewne: „absolutnie" nie ma w niej miejsca dla Brauna. A co z Tuskiem? Pan Buda „kompletnie dziś nie widzi takiego scenariusza". Dziś!

No dobrze, teraz na poważnie. Bez Brauna PiS plus Konfederacja i Rozwój Plus mogą liczyć razem na może (przy pomyślnych wiatrach) 170 mandatów, chociaż jeśli PiS miałby być junior partnerem, jak twierdzi pan Buda, to i ta liczba jest wygórowana.

Zarysowany przez pana Budę program idealnie pasuje natomiast jako podstawa do wspólnych rządów z Donaldem Tuskiem. Gdyby bowiem próbować ustalić przekaz ideowy Rozwoju Plus, to wyszłoby na to, że jest to wypisz, wymaluj druga Platforma Obywatelska. Wszystko się zgadza: wprowadzanie Zielonego Ładu, zaangażowanie na rzecz Ukrainy, dążenie do „kompromisu aborcyjnego", wreszcie racjonalność i pragmatyzm. Wprawdzie pan Buda się od tego odżegnuje – „jesteśmy w polityce po to, żeby Tuska od władzy odsunąć", ale z całości jego przekazu wynika coś dokładnie odwrotnego – są w polityce po to, by Tuska przy władzy zachować. ©℗

eprasa.pl 7580d17964



TEMAT TYGODNIA

16 ADAM WIELOMSKI
ZEŁENSKI NIE CHCE KOŃCA WOJNY?
Kleptokracja prezydenta Ukrainy

19 MACIEJ PIECZYŃSKI
GRACZ O DYKTATORSKICH ZAPĘDACH

KRAJ

22 ŁUKASZ WARZECHA
MIĘSO ARMATNIE ELIT
Polacy nie chcą umierać za ojczyznę

25 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
CZY PIS ZDOŁA WYCOFAĆ SIĘ Z MITU O ZAMACHU SMOLEŃSKIM

28 ROZMOWA Z ANNĄ MARIĄ SIARKOWSKĄ
KTO ODPOWIADA ZA COVIDOWY ZAMORDYZM

31 PIOTR SEMKA
CICHA REWOLTA KATOLIKÓW

34 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
ŻYCIE NA MAKSA

KULTURA

36 WIESŁAW CHEŁMINIAK
FEMINISTKI Z PĘDZLEM
Sztuka kobiet

39 KRZYSZTOF MASŁOŃ
JAROSŁAW ABRAMOW-NEWERLY. POŻEGNANIE

40 PIOTR GOCIEK
DZIEWCZYNY GÓRĄ?

NIE PRZEGAP

42 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, GRA, WYSTAWA, KSIĄŻKI

OPINIE

46 KRYSTIAN KRATIUK
„TOLERANCJA" ZABIJA I KRZYWDZI
Tragiczne skutki utopijnego myślenia

49 ROZMOWA Z DR. TOMASZEM TELUKIEM
ZABIEGI, KTÓRE NISZCZĄ NIEODWRACALNIE

52 PAWEŁ CHMIELEWSKI
SCJENTYZM ZAMIAST DOGMATU

54 FILIP MEMCHES
PROJEKT EURAZJA. NIE TYLKO DUGIN

HISTORIA

56 MARIUSZ JAGÓRA
DO CZEGO ZMUSZAŁA NAS „AKTUALNIE OBOWIĄZUJĄCA NAUKA"
Kiedyś oczywiste prawdy, a dziś...

ŚWIAT

62 JACEK PRZYBYLSKI
SOJUSZ NA BECZCE PROCHU
Powstało „muzułmańskie NATO"

66 WITOLD REPETOWICZ
IZRAEL ZA KULISAMI ATAKU MIGRANTÓW NA CEUTĘ

70 JAKUB WOZINSKI
DZIKIE JAGODY W OGNIU. WOJNA Z „ROSYJSKIM AMAZONEM"

LATO Z „DO RZECZY"

74 JACEK PAŁKIEWICZ
MORZE, KTÓREGO JUŻ NIE MA
Przewodnik Jacka Pałkiewicza: Jezioro Aralskie

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, POSPIESZALSKI (8), JASTRZĘBOWSKI (9), GMYZ, GOCIEK (14), ŻEBROWSKI, KOPER (61), PRZYBYLSKI (65), GABRYEL, WARZECHA (73), KOMUDA (76), KOWALCZUK, KARWELIS (79), WIEROMIEJCZYK (80), ROSZKOWSKI (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 7580d17964

TYGODNIK DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK **DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas** (II sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski *(korespondent z USA)*, **Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić** *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Andrzej Krzystyniak, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Zbigniew Zapert, Łukasz Zboralski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Lidia Lemaniak, Alina Piekarz, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Aleksander Majewski, Dawid Sieńkowski**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Agnieszka Szpak, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Henry Nicholls/WPA/Getty Images**

WYDAWCA: **Do Rzeczy SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00

Wydawca tytułu, Do Rzeczy SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

PMPG POLSKIE MEDIA SA | spółka notowana na GPW | POLSKI WYDAWCA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Do Rzeczy SA
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: +48 508 040 890
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Joanna Nowakowska, Joanna Gosek,
dystrybucja@pmpg.pl, tel. 539 953 631, 508 040 664

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumeratyprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829

NAKŁAD KONTROLOWANY ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione. © Ⓟ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Jeszcze jedna kasta: lekarze", Rafał A. Ziemkiewicz, „DRz" nr 31/2026

Szanowna Redakcjo,
w numerze 31 z 2026 r. w artykule „Jeszcze jedna kasta: lekarze" Rafał A. Ziemkiewicz napisał „służba zdrowia gnije". Wydaje mi się, że jedną z przyczyn tego stanu jest brak oceniania lekarzy przez pacjentów. NFZ powinien zorganizować przynajmniej taką weryfikację lekarzy, jaką Allegro stosuje do sprzedawców. Każdy pacjent zgłaszający się do rejestracji w przychodni powinien być pytany o ocenę poprzedniej wizyty. Suma tysięcy ocen umożliwi docenienie skutecznie leczących lekarzy i stopniowe przekierowanie tych, którzy pracują tylko dla pieniędzy, do innych zajęć, może lepiej opłacalnych. Oczywiście średnie oceny za ubiegłe miesiące powinny być dostępne dla pacjentów niepozbawianych możliwości wyboru lekarza. Obecnie nasza służba zdrowia działa jak fabryka z mnóstwem akordowych pracowników, ale bez kontroli jakości.

Z poważaniem
Bogumił Fic

Zanik plamki żółtej

Szanowni Państwo,
i znów do Polski ni stąd, ni zowąd wpadł jakiś obiekt. Tym razem szybko zidentyfikowany dzięki będącemu zawsze na bieżąco ministrowi spraw zagranicznych Ukrainy. Pan Sybiha zawiadomił polski rząd, że to „ruska rakieta". Nie zestrzelono jej, bo, po pierwsze, pilot myśliwca musiałby ją najpierw zobaczyć na własne oczy, a po drugie, i tak nie miałby czym, ponieważ Polska podarowała wszystkie pociski do Patriotów Ukrainie. Na zorganizowanej po kilku godzinach konferencji w terenie trzech panów z rozbieganymi oczami – premier Tusk oraz ministrowie Kierwiński i Kosiniak-Kamysz – oświadczyło, że w związku z tym należy dawać Ukrainie jeszcze więcej pocisków, nawet kosztem Polski. A to wszystko w cieniu podpisanego porozumienia niemiecko-ukraińskiego, zatajonego przed polską opinią publiczną niemiecko-polskiego sojuszu obronnego, niedawnego spotkania panów Tuska i Zełenskiego oraz właśnie zakończonej fiaskiem operacji prezydenta Zełenskiego przeciwko Rosji, która miała doprowadzić do zakończenia wojny

Wygląda na to, że nasi rządzący cierpią na zanik plamki żółtej, który objawia się powstaniem ciemnej plamy w centrum oka, co uniemożliwia rozpoznanie obiektu, ponieważ pacjent widzi tylko peryferiami oka. Chorobę można zdiagnozować domowym sposobem przy pomocy kawałka papieru i ołówka. Ciekawe, które to stadium, bo na wczesnym da się ją leczyć.

Z poważaniem
Ewa Kowynia

Zełenski znów to zrobił

Czytam, że decyzją Zełenskiego prochy pierwszego przywódcy OUN trafią na Ukrainę. Trudno o bardziej jaskrawy i wymowny symbol tego, jak władze w Kijowie pojmują dziś politykę historyczną i jak definiują dobrosąsiedzkie relacje z Polską. W czasie, gdy od lat dopraszamy się o elementarne, cywilizacyjne prawo do ekshumacji i chrześcijańskiego pochówku dziesiątek tysięcy naszych rodaków bestialsko pomordowanych na Wołyniu, prezydent Zełenski z namaszczeniem organizuje państwową operację logistyczną. Cel? Sprowadzenie z Holandii szczątków Jewhena Konowalca i urządzenie mu pochówku.

Oczywiście zaraz usłyszymy ze strony „ekspertów" dyżurne głosy uspokajające: przecież Konowalec zginął w 1938 r. w Rotterdamie z rąk sowieckiego agenta. Z rzezią wołyńską nie miał zatem fizycznie nic wspólnego, nie trzymał w ręku siekiery, a w samej OUN doszło później do rozłamu. Ale czy to zmienia fakt, że to on był głównym architektem, współzałożycielem i pierwszym przywódcą Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów? To Konowalec zbudował ideologiczne i organizacyjne fundamenty zbrodniczej machiny, która zaledwie kilka lat po jego śmierci, pod wodzą jego wychowanków, zaplanowała i z zimną krwią przeprowadziła czystkę etniczną na polskiej ludności. Honory państwowe dla twórcy OUN to jednoznaczna legitymizacja tego dziedzictwa.

Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

eprasa.pl 7580d17964



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Na kłopoty Nawrocki?

W uroczej powieści „Marsz Radetzky'ego" jednym z bohaterów jest Joseph von Trotta – lojalny urzędnik państwowy w imperium Franciszka Józefa. Jego syn został oficerem c.k. armii, ale przebywając na służbie wojskowej w garnizonie w galicyjskich Brodach, popadł w gigantyczne długi karciane. Przytłoczony sytuacją stary von Trotta występuje o audiencję u cesarza, a ten wspaniałomyślnie godzi się zapłacić za długi syna.

Ta opowieść o starym Franzu Jozefie to echo ogromnej liczby opowieści z tamtej epoki. Cesarz Pan występował w nich jako swoisty „deus ex machina", który potrafił uratować swoich wiernych poddanych z rozmaitych otchłani.

Od pewnego czasu mam wrażenie, że na polskiej prawicy w warstwie mitologii politycznej podobną rolę w marzeniach wielu odgrywać zaczyna prezydent Karol Nawrocki. Przekonałem się o tym w trakcie wielu spotkań, kiedy zwykli wyborcy obserwujący, jak to partie prawicy żyją ze sobą jak pies z kotem, bardzo często pytają mnie, czy po przyszłych wyborach uda się skleić koalicję, która odsunęłaby Tuska od władzy. Często słyszę sentencję, że „prezydent może stać się patronem zdolnej do działania prawicowej koalicji rządowej".

Przestrzegam przed takim cudownym postrzeganiem gospodarza Belwederu jako kogoś, kto załatwi wszystkie istniejące dziś problemy między głównymi aktorami polskiej sceny po prawej stronie. Owszem, w myśl Konstytucji RP to prezydent zadecyduje, komu po wyborach zostanie powierzona misja tworzenia rządu. I w tym kontekście bardzo często wskazuje się na szefa prezydenckiej kancelarii Zbigniewa Boguckiego. Tyle że prezydent nie wyręczy Jarosława Kaczyńskiego, Mateusza Morawieckiego, Sławomira Mentzena, Krzysztofa Bosaka i Grzegorza Brauna w negocjacjach nad ułożeniem sobie jakiegoś powyborczego modus vivendi.

A jeśli nawet Zbigniew Bogucki zostanie przeforsowany na premiera, to taki premier nadal będzie skazany na układanie sobie relacji z poszczególnymi partiami ewentualnej koalicji. A prezydent nie może bez końca angażować swojego autorytetu w budowanie prawicowej koalicji. W latach 90. polscy biskupi mieli ogromny kłopot z oczekiwaniami polityków, by to oni godzili zwaśnione partyjki z prawej strony. Teraz przed podobnymi oczekiwaniami stoi Karol Nawrocki. Dlatego wypada podkreślić, że jeśli Kaczyński ma problemy w komunikacji z Mentzenem, a Bosak przy byle okazji ogłasza, że PiS powinien robić to czy tamto, to ten stan zaszkodzi ewentualnym targom po wyborach.

To teraz jest czas na gryzienie się w język i unikanie pyszałkowatego tonu. To teraz jest czas na zakulisowe ustalanie protokołu rozbieżności programowych. To teraz jest czas na refleksję, gdzie można się posunąć, a gdzie posunąć się nie da.

Taka jest teoria. A w praktyce o takich cichych kontaktach prawie nie słychać. A potem wszyscy będą chcieli wierzyć, że Karol Nawrocki niczym stary Franz Josef rozwiąże wszystkie problemy. Lepiej obudzić się z tego snu już teraz, niż naiwnie zdziwić się za rok. ©℗



FOT. SZILARD KOSZTICSAK/EPA/PAP

NOWY PREZYDENT WĘGIER

Prawnik András Baka głosami rządzącej partii TISZA został w ubiegły wtorek wybrany na nowego prezydenta Węgier. Innych kandydatów nie było. Posłowie Fideszu byłego premiera Viktora Orbána zbojkotowali głosowanie, gdyż rządząca obecnie koalicja doprowadziła do przedterminowego usunięcia z urzędu prezydenta Tamása Sulyoka, sprawującego funkcję od 2024 r. Krytycy wskazują, że premier Péter Magyar może w podobny sposób wygasić kadencję dowolnego organu konstytucyjnego. ©℗

DYKTATOR SKAZANY NA KARĘ ŚMIERCI

Sąd karny w Damaszku skazał byłego prezydenta Syrii Baszara al-Asada oraz jego brata Mahera i kuzyna Atefa Nadżiba na karę śmierci. Sędzia uznał byłego dyktatora za winnego m.in. zbrodni przeciwko ludzkości, umyślnego zabójstwa oraz tortur. Liczbę ofiar wojny domowej szacuje się na pół miliona. To pierwszy tak znaczący wyrok po zmianie reżimu w Syrii. Został on jednak wydany pod nieobecność byłego prezydenta, który od 2024 r. przebywa w Rosji, gdzie otrzymał azyl. ©℗

eprasa.pl 7580d17964



NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



SZCZYT NIEMIECKIEGO BESTIALSTWA: MASAKRY POWSTAŃCZYCH SZPITALI

Czerwony krzyż w ogniu – W trakcie powstania warszawskiego Niemcy i ich kolaboranci bezlitośnie mordowali polskich chorych, rannych i personel medyczny

Majańska tajemnica – Badacze wciąż głowią się nad rozwikłaniem wielu zagadek tego niezwykłego ludu

Stygmaty o. Pio – Cuda dziejące się wokół tego świętego zakonnika ściągały do San Giovanni Rotondo tłumy pielgrzymów

Największy błąd Putina – Rosyjska armia była pewna swego. Ukraińcy byli jednak w stanie wykorzystać to, że wróg „opuścił gardę"

UPA i Żydzi – Ukraińscy nacjonaliści pomagali Niemcom w mordowaniu Żydów, wykazując się przy tym dużą inicjatywą

Polak, który pokonał Bank Francji – Banknoty podrobione przez Czesława Bojarskiego uznawane są dziś za dzieła sztuki. Na aukcjach numizmatycznych osiągają ceny wyższe od oryginałów

Ucięta „prawa ręka" Stalina – Malenkow wydawał się murowanym następcą generalissimusa. Brakowało mu jednak talentów politycznych, którymi wykazywał się jego rywal – Chruszczow

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 7580d17964



RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Powrót Kazia

Jest lepszy od sondaży wskaźnik popularności rządu Donalda Tuska – czy raczej właśnie jej załamania. Nazwałbym go „wskaźnikiem chęci autorytetów". Bożyszcza Salonu, które kiedyś nie przepuszczały żadnej okazji do występu w mediach, by zapamiętale chłostać w nich polski ciemnogród i równie zapamiętale śpiewać chwałę Donalda Tuska, poznikały. Od dawna nie widziałem wywiadu z panią Holland czy z Normanem Daviesem, a Daniel Olbrychski udzielił takowego tylko po to, by poskarżyć się na Tuska, że nie zainterweniował w jego sprawie, gdy taki np. Jaruzelski na list „mistrza" reagował był wzorcowo.

„Natura próżni nie uznaje" – jak śpiewano kiedyś w kabarecie: gdy zbrakło dotychczasowych dyżurnych autorytetów, trzeba sięgać po inne. Pani Dorota Sznepf, nazwana przez Krzysztofa Stanowskiego z uprzejmą przesadą „arcykapłanką propagandy" (bo gdzie jej tam do kapłaństwa, jeszcze „arcy" – zwykła szeregowa funkcjonariuszka), do skomentowania rocznicy prezydentury Karola Nawrockiego zaprosiła Kazimierza Marcinkiewicza.

Tak, tego „Kazia" od Isabel, z którego śmiała się swego czasu cała Polska. Dziś trudno uwierzyć, że ten człowiek był kiedyś premierem. Trudno też uwierzyć, że potrafił kręcić lody nie gorzej niż inni (portal dobitnie.pl przypomniał na okoliczność tekst prof. Jana Majchrowskiego, swego czasu wojewody gorzowskiego – polecam). Albowiem zrobił z siebie błazna, stracił szacunek, pracę i pieniądze, wylądował we freak fightach w klatce i jeśli ktoś o nim jeszcze pamięta, to żony straszące mężów, że gdyby któremu strzelił do głowy jakiś skok w bok, to niech sobie przypomni, jak Kazio na takim romansie wyszedł.

I pani Sznepfowej nie udało się znaleźć nikogo poważniejszego, kto by u niej napluł na prezydenta, bredząc, że „coś ćpa", bo ja wiem, jak wygląda ćpun, ale „nie mówię o narkotykach", tylko o czymś, od czego „musi być uzależniony".

Dno? Hm, można jeszcze zaprosić do komentowania w TVP polityki Skibę, Maleńczuka, Pińskiego albo Cezarego Michalskiego. Ale nikt lepszy już nie przyjdzie. ©℗

#WARTO

Dzień, który zmienił Polskę



JAN POSPIESZALSKI

W życiu narodów są wydarzenia, które dopiero po latach, gdy oddalamy perspektywę, ukazują swoje realne znaczenie. Za kilka dni mija 70. rocznica wydarzenia, które wśród sierpniowych rocznic jest chyba najmniej docenione. 26 sierpnia 1956 r., w uroczystość Matki Bożej Częstochowskiej, na Jasną Górę przybyła milionowa rzesza wiernych. Aby zgromadzić tak liczną wspólnotę, ojcowie paulini, spełniając wolę uwięzionego wtedy prymasa Wyszyńskiego, konspiracyjnie, z różnych okolicznych skrzynek pocztowych, wysłali ok. 6 tys. zaproszeń do wszystkich polskich parafii. List podpisany przez przeora Jerzego Tomzińskiego zachęcał pielgrzymów obietnicą wystawienia na jasnogórskich wałach „pod szczytem" cudownego obrazu.

Ale istotą spotkania było coś, czego w liście nie napisano. Z Komańczy, gdzie był internowany ks. kard. Wyszyński, Maria Okońska przemyciła list zawierający Jasnogórskie Śluby Narodu Polskiego. Ten niezwykły tekst, w zastępstwie prymasa, odczytał bp Klepacz. Milionowa wspólnota wiernych, na kolanach, ślubowała „wierność Bogu, Krzyżowi i Ewangelii, Kościołowi i jego Pasterzom, Ojczyźnie naszej świętej". W kolejnych wezwaniach padały przyrzeczenia obrony życia i troski o każde poczęte dziecko, przyrzeczenia walki o godność kobiety, wierność małżeńską i świętość rodzin, ślubowanie walki z wadami narodowymi – pijaństwem, marnotrawstwem i rozwiązłością, przyrzeczenie ochrony dzieci i młodzieży przed bezbożnictwem i zepsuciem.

Tekst Ślubów, obok warstwy duchowej, zawierał bardzo konkretny program społeczny. W mrocznej, zsowietyzowanej rzeczywistości proklamował właściwą hierarchię wartości i utrwalał ład moralny. Potem Śluby Jasnogórskie do 1966 r. były programem powszechnej katechezy narodowej – Wielkiej Nowenny. Bez pokolenia Millennium nie byłoby Solidarności, bez Solidarności nie byłoby dzisiejszej Polski. ©℗

WIĘCEJ NA STR. 31.

eprasa.pl 7580d17964

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



ĆWIERKOT

Mózg Kazimierza



SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

Kazimierzuuu! Kazimierzuuu! Czy ty przypadkiem nie próbujesz czegoś przed nami ukryć? Stop. Nieładnie, Kazimierzu, nieładnie! Stop. Członek ultrakatolickiego Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego (kiedyś), były premier w rządzie Jarosława Kaczyńskiego i przez tegoż Kaczyńskiego porzucony brutalnie, były mąż Izabeli Temblakowskiej (nazywała się – zdaje się – inaczej, niemniej lubiła spacerować z temblakiem, wzbudzając litość sądu i pozyskując alimenty od Kazimierza po wypadku, który sama spowodowała), człowiek, który przed komornikiem uciekał na rowerze, mówiąc, że to nie jego rower, obecny wielbiciel Tuska i okolic, słowem: Kazimierz Marcinkiewicz! Stop. Łaskaw był udzielić wywiadu w telewizji, która nie potrafi się zlikwidować. Stop. Coś mu strzeliło do Kazimierza (do głowy, przepraszam) i palnął na wizji, że prezydent Karol Nawrocki ćpa, bo on wie, jak wyglądają ludzie, którzy biorą narkotyki, bo on za czasów studenckich widywał ich w akademikach. Stop. Kazimierzu! Nie ma możliwości, żebyś wygrał proces o zniesławienie (jeśli prezydent będzie chciał się w twoich słowach babrać). Stop. Teraz będzie „A to ci historia!”. Stop. Jest sobie taka Anna Konieczyńska z Koalicji Obywatelskiej, znaczy teraz to ją zawiesili. Stop. No i ona była wiceszefową Karkonoskiej Agencji Rozwoju Regionalnego, która dawała pieniądze po powodzi w 2024 r. powodzianom. Stop. No i dostał jej mąż, znaczy – jego firma, której akurat nie zalało, no i dostał też sąsiad pani Ani, którego też nie zalało, no i taka zaprzyjaźniona z nią telewizja, której też nie zalało. Stop. I z czego ta afera? Znała ludzi, to im ufała, że na głupoty nie wydadzą. A że akurat nie byli zalani przez powódź? A to by krytykom pomogło, jakby byli przez żywioł skrzywdzeni? Stop. Pomogłoby wam, malkontenci?

Zakończyła działalność komisja do spraw represji opozycji w latach 2015–2023. Stop. Wnioski są proste: komisja kosztowała nas 2,5 mln zł, a jej szefowa – Sylwia Gregorczyk-Abram – zarobiła 238 tys. zł. Stop. Jakie słodkie represje! ©℗

eprasa.pl 7580d17964



ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

PIEKŁO TENISISTKI

Psycholog Ewa Woydyłło zabrała głos na temat Igi Świątek. W podcaście „Return" na kanale Trzeci Serwis terapeutka bardzo ostro oceniła sytuację najlepszej polskiej tenisistki. Padły mocne zarzuty. – Ona wyskoczyła jako taka gwiazda i jeszcze wykreowała się na taką rozumną, dojrzałą, mądrą dziewczynę. A jest prawdopodobnie głupiutka, wystraszona. Sama nie rozumie tego, co się dzieje. I nawet nie wiem, czy tam da się jej wytłumaczyć, bo przecież nie tylko tam siedzi Abramowicz, ale tam siedzi trzech panów, czterech panów, ojciec, siostra. No to tam jest tyle ludzi – stwierdziła Woydyłło. Jej zdaniem sportsmenka powinna zająć się swoją edukacją. – Jak jej motywacja przeszła, bo ona przeważnie teraz wysiada po drugim meczu, to odpowiedź jest prosta [...]. Przypuszczam, że Iga powinna teraz pójść na studia. Ona była mądrą dziewczyną, a teraz jest nieszczęśliwa... Wypełniłaby taką część siebie, którą bardzo eksponowała. Im lepiej grała, tym więcej zajmowała się innymi rzeczami. To wszystko zgasło? Już jej się znudziło? To nie jest tak, że Iga zatraciła się w tenisie. Ona już nie uwielbia tenisa [...]. Przypuszczam, że ona się wypaliła, że tenis wystarczył jej na kilka lat spektakularnego wspinania się. Rozbłysła jak gwiazda, a teraz już nią nie jest, jest spadającym meteorem. I ciągle spada, spada [...]. To nie jest tak, że wyniki nie mają dla niej znaczenia. Mają. Gdy przegrywa, jest bardzo smutna, zmartwiona sobą, zła na korcie. A była promienną, zwycięską boginią tenisa [...]. Iga już nie lubi grać w tenisa. Ona się nim nie cieszy – stwierdziła autorytatywnie. Dla kontekstu można dodać, że pani Ewa na profilówce na Facebooku ma tęczę i napis „tęcza nie wyklucza". Wcześniej promowała w ten sposób „tęczowe prawa człowieka", a jeszcze wcześniej straszyła „piekłem kobiet". Nie od dziś wiadomo, że największym piekłem kobiet są inne kobiety.



FOT. MICHAŁ WOŹNIAK/EAST NEWS

SZTUKA PRZEPRASZANIA

Wypowiedź psycholog wywołała prawdziwą burzę w Internecie. Twórcy podcastu zdecydowali się usunąć odcinek. Sama Woydyłło początkowo zaprzeczała, jakoby użyła pogardliwego tonu. „Ktoś mi zarzuca pogardę. Niestety, znam dobrze język polski. No i niech mi ktokolwiek pokaże jedno słowo, jedno zdanie w tym wywiadzie, które by świadczyło o pogardzie" – powiedziała „Faktowi". „Że użyłam zdrobnienia głupiutka i wystraszona? To wyraża troskę. Tak, ta dziewczyna troszkę straciła panowanie nad sobą. I to nie jest pogardliwe. Jakby ktoś się nią nie martwił, to by powiedział: nie umie grać. A ja tak nie mówię. Ja mówię bardzo miłymi słowami" – dodała. Jednak po czasie psycholog wystosowała przeprosiny z prawdziwego zdarzenia. Bez „ale". „Nie miałam złych intencji. Wygłaszałam wyłącznie swoje osobiste opinie, ponieważ od lat aktywnie kibicuję tym tenisistkom i w tym kontekście zabierałam głos. Faktycznie poniosło mnie. Nic mnie nie usprawiedliwia. Źle się stało. Bardzo tego żałuję. Mogę jedynie wyrazić skruchę" – napisała. I na tym zakończmy sprawę.

DUBAJSKI MINDSET

Czytelnikom mogło umknąć, że dwa miesiące temu influencerka Aniela Woźniakowska, znana jako Lil Masti, wyprowadziła się z rodziną do Dubaju. Już wcześniej Aniela odwiedzała emirat i za każdym razem rozpływała się nad tym, jak wspaniale się w nim żyje. W nowym Q&A na YouTube opowiedziała o codziennym życiu w Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Podkreśliła, że czuje się tam znacznie bezpieczniej niż w Polsce. Nawiązała przy tym do sprawy oblania domu innej influencerki, „Andziaks", sztucznymi fekaliami przez aktywistów klimatycznych w ramach sprzeciwu wobec „nadmiernego konsumpcjonizmu". – Ludzie się podśmiechują z Dubaju, że »ooo mówiłaś, że tutaj jest takie bezpieczeństwo«. A przepraszam, a jakie jest bezpieczeństwo w Polsce, jak mi przychodzą ludzie pod dom i oblewają sztucznym g.wnem? Wy mówicie mi o jakimś bezpieczeństwie w Polsce? Jak mam się tam czuć bezpieczna, jak bezkarnie, bez żadnych konsekwencji, ludzie przychodzą i takie rzeczy robią, i jeszcze głupio tłumaczą, podpisują to pod jakąś społeczną akcję ekologiczną [...]. Tutaj za taki wandalizm jest od razu więzienie – powiedziała. – Tu jest bezpieczeństwo. Tu są zasady. Tu się wszyscy stosują do tych zasad, bo tutaj się ponosi konsekwencje i są ostre, mocne reguły. Nie wyrzucisz peta na ziemię, bo zaraz dostaniesz mandat 500 zł. Nie przekroczysz prędkości, bo zaraz dostaniesz mandat 1000 zł – dodała. Woźniakowska podkreśla, że Dubaj „uleczył ją z polskich cech". – Uważam, że polska mentalność ma w sobie coś takiego, że gloryfikuje skromność, gloryfikuje uczciwość, takie zalęknienie. A tutaj my się przeprowadziliśmy i ja czuję, że ja to z siebie zdjęłam i nie chcę do tego wracać. Dla mnie to są cechy, które wstrzymują rozwój człowieka i budowanie siebie, swojego mindsetu – podkreśliła. ©℗

eprasa.pl 7580d17964



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, niezbyt często myślimy o Norwegii, ale teraz mamy powód: otósh okazuje się, iż prawie połowa mieszkańców tego kraju nie chce do Unii Europejskiej. Przez chwilę nie wiedzieliśmy, co o tym myśleć, ale po krótkim zastanowieniu chyba już wiemy.

Otósh Norwegia została spolonizowana. Pamiętamy czasy, kiedy kończyliśmy licea w niewielkich ośrodkach. Część z nas uczęszczała na szkolne kółka europejskie, później szła na studia humanistyczne do wielkich ośrodków i podejmowała prace w korporacjach; a część, która miała gorsze wyniki starej matury, jechała na Zachód do pracy – do Irlandii, Wielkiej Brytanii czy Norwegii właśnie.

I pewnie to całe pokolenie polskich imigrantów zdążyło tam osiąść, mieć dzieci, a jednocześnie polski mindset ich nie opuścił i będąc podatnymi na propagandę, a jednocześnie ślepymi na fakty, uznali, iż Unia Europejska jest zła, i w takim duchu wychowują swoje dzieci i wpływają na sąsiedztwo oraz na społeczeństwo.

Zresztą prześledźcie uważnie, co się dzieje z państwami, które doświadczyły zmasowanej polskiej migracji: Wielka Brytania opuściła Unię, Norwegia nie chce do Unii, a Irlandia… no cóż, stawiajcie pieniądze, kto kolejny z Unii wyjdzie. Of kors będzie to Polska, iż w tym kraju wciąż jeszcze żyje więcej Polaków niż w Irlandii, a destrukcyjny wpływ rządów PiS na myślenie o integracji europejskiej będzie odbudowywany jeszcze przez wiele pokoleń, a jedne porządne rządy premiera Tuska mogą na to niestety nie wystarczyć.



W ogóle jaki przypał mieliśmy ostatnio – otósh Nowy z Tarnowa zaczął zbierać w korpo zapisy na pieszą pielgrzymkę do Częstochowy. Of kors dobrowolną, ale kto nie idzie, miałby robić darmowe nadgodziny, iżby wypracować zyski za tych, którzy wzięli udział w pielgrzymce.

Tak sobie pomyśleliśmy wówczas, iż to całe pielgrzymowanie jest strasznie dziwne: osoba idzie kilkanaście dni, męczy się, poci, dostaje odcisków i cały czas musi słuchać księdza. A w dodatku cały ruch pielgrzymkowy w tym kraju jest podporządkowany Kościołowi.

Dlatego apelujemy do rządu: zastanówcie się nad wprowadzeniem świeckich pielgrzymek, w których mogliby brać udział ci, którzy lubią chodzić i się spocić, ale niekoniecznie chcą to wiązać z wydarzeniami o charakterze religijnym. Czy naprawdę Kościół musi mieć w tym kraju abonament na wszystko?

Jak sobie wyobrażamy taką świecką pielgrzymkę? Otósh przede wszystkim jako cel należałoby znaleźć miejsce neutralne religijne, np. Openera. Kto chce, mógłby sobie iść – ale nie w takim katofashystoffskim szyku, w kolumnie kojarzącej się z przemarszem brunatnych wojsk, ale każdy szedłby, jakby chciał, swobodnie, własnym tempem, środkiem drogi, iż ulice są przede wszystkim dla ludzi.

Nie byłoby rzecz jasna żadnego księdza, ale świecki przewodnik i animator, aranżujący dyskusje o kinie queer, organizujący jakieś wieczorne speed datingi albo quizy wiedzy o uprawie jarmużu na balkonie. Wszystko byłoby of kors w akompaniamencie świeckiej muzyki.

Na taką pielgrzymkę to byśmy chyba nawet poszli, ale teraz nie ma co myśleć, iż wierność świeckiemu sumieniu na razie nas kosztuje pracę w godz. 8–22 :(. Kiedy w końcu ktoś dokona rozdziału naszego korpo od Kościoła i usunie Nowego? ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Krzywe uśmiechy

Szymon, dostaniesz nawet wicepremiera, ale mam oczekiwania. Musisz doprowadzić Katarzynę do rozstroju nerwowego. To nie będzie trudne.
OK, Donald. Co mam robić?

Polegam na twojej inwencji. No wiesz – znaczące krzywe uśmiechy, bez powodu nagle się pojawiasz u niej w resorcie, ale nie wiadomo po co, albo tak fukasz na Radzie Ministrów w jej stronę.
Ale że jak?

No tak: fu!
Fu! I jak mi poszło?

Świetnie, tylko mniej pluj. ©℗
Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Polska byłaby znacznie lepszym krajem, gdyby zostali w nim Ukraińcy, a wyjechali fani Grzegorza Brauna”.

PIOTR SZUMLEWICZ, *lewicowy publicysta i aktywista, na platformie X*

eprasa.pl 7580d17964



eprasa.pl/7580d17964



POLSKIE LEKKOATLETKI Z MEDALAMI MISTRZOSTW EUROPY

25-letnia Pia Skrzyszowska (na zdjęciu ze srebrnym krążkiem w dłoni) 11 sierpnia zdobyła srebrny medal podczas 27. Mistrzostw Europy w Birmingham w biegu na 100 m przez płotki. Dzień wcześniej srebrny krążek dla reprezentacji Polski w biegu na 100 m zdobyła 29-letnia Ewa Swoboda.

Gdy zamykaliśmy to wydanie „Do Rzeczy", Polska po dwóch dniach rywalizacji z dwoma krążkami zajmowała siódme miejsce w klasyfikacji medalowej. Razem z kibicami trzymaliśmy jednak kciuki m.in. za Anitę Włodarczyk i Aleksandrę Śmiech, które w środę miały walczyć o medal w rzucie młotem, oraz Jakuba Szymańskiego (rywalizującego w biegu na 110 m przez płotki) czy Maksymiliana Szweda (który o medal walczyć miał w biegu na 400 m). ©℗

FOT. ADAM WARŻAWA/PAP

eprasa.pl 7580d17964

dwaj panowie g

Z wielkim zaciekawieniem przyjęliśmy plotkę rozpowszechnianą przez media czarnego nurtu o tym, że nowa partia Morawieckiego miałaby się nazywać Wielka Polska. Byłoby to arcyciekawe – wreszcie wiedzielibyśmy, kto naprawdę chce budować na politycznej scenie Konfederację Light. No bo w powrót Petru Swetru chyba nie wierzyliście, prawda?

Potencjalna nazwa partii morawian przyniosłaby potężny zgryz wszystkim skandującym: „Chwała Wielkiej Polsce!" oraz witającym się takim pozdrowieniem. Uwaga – znamy takich również w PiS. Znaczy, nie że skandujących, tylko witających się. No i co dalej: witać się, chwaląc zdrajcę? Dla samej fabuły jesteśmy więc za tym, by morawianie wybrali taką właśnie nazwę. Zresztą powiedzmy szczerze: każda jest lepsza niż STROP.

Z życia partyj. Będziemy używać tej formy, by było wiadomo, że mówimy o tym, co między partią matką a matką córką. Gdybyśmy napisali „z życia partii", to nie byłoby wiadomo, czy mówimy o jednej czy dwóch. Otóż niesłychanie zachwycił nas fakt, że Jacek Sasin, dyplomowany „obermaślarz", skrytykował Morawieckiego za populizm, gdyż ten chce rozdawać pieniądze. Sugerujemy, żeby „maślarze" jednak ostatecznie ustalili, czy Morawiecki jest bezlitosnym banksterem, który nie chciał „500+", czy też niebezpiecznym populistą, który chce rozszerzyć „800+".

Zgodnie z naszymi przewidywaniami odejdnięcie STROP Morawieckiego z PiS niczego nie skończyło, niczego nie zamknęło. Dawno, dawno temu irytowano się na to, że ludzie Morawy mówią w mediach rzeczy niezgodne z linią partii. Teraz inni ludzie, jak Kura, mówią rzeczy niezgodne z linią partii, ale na innych odcinkach. Nie chcemy wpadać w zbytnie oczywistości, ale podejrzewamy, że może to mieć coś wspólnego nie z osobnikami występującymi w mediach, lecz z linią partii. Trudno ją, widzicie, precyzyjnie śledzić. Podobnie jak te wytyczne o Morawieckim.

Trochę zadziwiło nas, że wśród odejdniętych z PiS posłów znalazł się ten weteran drogi prawicowej. Ryszard Terlecki, popularny hipis i historyk, ksywa Pies, kojarzył się wszakże bardziej z partyjnym jądrem niż elektronami od Morawieckiego. Z drugiej strony przypomnieliśmy sobie, że „Pies" już za młodu był nonkonformistą. Jak wielu krakowskich hipisów. Znamy trochę legendarnych postaci podziemia antykomunistycznego z Krakowa, więc siłą rzeczy słyszeliśmy też nieco opowieści o barwnych latach 70. Niepoślednie miejsce zajmuje wśród nich opowieść o majtkach Kory na żyrandolu. Tak, chodzi o tę Korę. Niestety, nie możemy zdradzić, o czyj żyrandol chodziło.

Tymczasem na prawdziwej prawicy. Udało się! Mentzen zdemaskowany! Wszystkie policje jawne, tajne i dwupłciowe rzucone zostały na najcięższy odcinek: łowy na przestępców z Konfederacji. Owe policje przybrały postać kontroli Inspekcji Handlowej oraz UOKiK w toruńskim pubie Mentzena.



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

eprasa

Odkryto, że zamiast soku porzeczkowego podano klientom nektar porzeczkowy. Doprawdy nie wiemy, co sądzić o tej ohydnej zbrodni.

Uwaga, zbrodniom Mentzena nie ma końca! Aby zmylić trop, ów nektar porzeczkowy nabity został na paragonie jako napój żurawinowy! Niepokoi nas fakt, że odstąpiono od wymierzenia surowej kary! Domagamy się grzywny idącej w miliony, zaboru majątku oraz zakazu startu w wyborach, tak jak to we Francji zrobiono z Marine Le Pen. Ewentualnie zadowoli nas osadzenie Mentzena w jednej celi z łotrami, którzy podają na pizzy krewetki, ale z zaniżonym VAT.



Swoją drogą bardzo ciekawi nas, czy Inspekcja Handlowa oraz UOKiK nie mogłyby też skontrolować w trybie pilnym tej drugiej Konfederacji, czyli Brauna. Oczami wyobraźni widzimy już raport kontrolny: „Ustalono, że klientom podano gaśnicę proszkową zamiast pianowej, w dodatku na paragonie nabito, że to zwykły gaśniczy koc". I do pierdla!

W Krakowie ogłoszono wreszcie termin wyborów. I tutaj zaskoczenie. Ani Platforma, ani PSL nie wystawią w grodzie Kraka swoich kandydatów. A dokładniej to wystawią, ale nie będą się do niej przyznawać. Otóż senior Piątkowska wystartuje z własnego komitetu Ponad Podziałami. Czy wyobrażacie sobie, jak złe muszą być aktualnie notowania partii Tuska i Kosiniaka, by chować szyld partyjny?

Wiadomość sprzed dwóch tygodni, ale jakże smaczna. Otóż, jak może pamiętacie, zwykle 1 sierpnia ma miejsce Marsz Powstania Warszawskiego. Coś jak Marsz Niepodległości, tylko ciut mniej liczny. Ze względów oczywistych ma on charakter nie tylko patriotyczny, lecz także, ehem, jakby to delikatnie ująć… antyteutoński. Stąd m.in. skandowanie znanego hasła Eryka Chmielewskiego z czasów powstania: „Jeden nabój – jeden Niemiec". Otóż w tym roku podczas marszu przyuważyliśmy ojca posła Tomasza Froelicha z Alternatywy dla Niemiec. Ojciec był w nastroju bardzo patriotycznym i najwyraźniej hasło „jeden nabój" mu nie przeszkadzało. Odnotowujemy ten fakt jako alternatywę. Dla czego? No, dla Alternatywy dla Niemiec.

Nie ukrywamy, że rzecznika MSZ, czyli niejakiego Wewióra albo jakoś tak, uważamy za postać dość odstręczającą. Podobnym uczuciem napełnia nas jeszcze jedynie rzecznika ministra Pogłosa. Jednak Wewiór, czy jak mu tam, atakując Bognę Janke będącą wciąż ambasadorem w Brazylii (choć nieurzędującą), przebił wszelkie obrzydliwości. Zaatakował Bognę za to, że nie chciała swojego chorego i dożywającego swych ostatnich dni psa oddać na kwarantannę, by spełnić zachciankę pryncypała Wewióra, ksywa Sikorski, który bez zgody prezydenta chciał ją zdjąć z placówki. Panie Wewiór jesteś pan… ech, dopiszcie tu sobie coś ze słownika brzydkich wyrazów. I nie usprawiedliwia pana, panie Wewiór, żeś tylko wykonywał rozkazy.

Jak już pisaliśmy wcześniej w naszej rubryce, Radek zamierza zamknąć dwie niedziałające placówki w Trypolisie i Damaszku, i to w czasie gdy inne państwa zamierzają wznowić działalność swoich ambasad. Jednak – jak mawiał Lejzorek Rojtszwaniec – skoro zwalniają, to będą przyjmować. W ramach przyjmowania planowane jest uruchomienie Instytutu Polskiego w Stambule. Bilans będzie więc dodatni. Nie dość, że się opyli dwa budynki w Libii i Syrii, to jeszcze przybędzie kilka etatów nad Bosforem.

Jak wiadomo, Radek jest wielbicielem mediów społecznościowych. Więc kto żyw z dyplomatów, prowadzi swoje, żeby szef widział. Czynią to z różnym, a najczęściej żadnym rezultatem. Większość nie gromadzi bowiem jakiejś oszałamiającej liczby obserwujących. Część nieudacznie usiłuje robić za influencerów. I tak ambasador w Kazachstanie, ku uciesze gawiedzi, zamieścił na swoim profilu scenkę rodzajową przedstawiającą wybieranie modelu okularów. Żeby było zabawnie, dołączył do tego opis w języku rosyjskim. Nas to nie dziwi. Jak się pracuje w resorcie, na którego czele stoi jeden ze współtwórców resetu, to jednak do czegoś zobowiązuje.

Wakacje. Nie może się obejść bez jakiegoś letniego potwora, który wzbudza popłoch wśród wystraszonej ludności. Kilka lat temu był to grasujący nad Wisłą pyton. Ale pamiętamy i chupacabrę na Podkarpaciu. W tym roku jest kryzysowo, bo za rządów Platformy wszystkiego brakuje, nawet potworów letnich. W związku z tym, mimo że już połowa sierpnia, musimy zadowolić wychudzoną pumę grasującą w ciechanowskich lasach. Przyznajmy szczerze, toż to nawet wypchany aligator Żurka wzbudza większy respekt. ©℗

eprasa.pl 7580d17964



Kleptokracja Zełenskiego potrzebuje wojny

Adam Wielomski

Kto na Ukrainie wygra wybory po przegranej wojnie, trudno dziś przewidzieć, lecz w razie zwycięstwa przeciwników aktualnie rządzących grozi to wieloletnimi wyrokami tym, którzy są w obecnym obozie władzy

FOT. RASID NECATI ASLIM/ANADOLU/GETTY IMAGES

Konflikt zbrojny na Ukrainie trwa już cztery i pół roku. Nie była to szybka i gładka interwencja militarna, na którą – wedle polityków i mediów zachodnich – liczyć miał Władimir Putin. Zaznaczam, że według źródeł zachodnich, gdyż rosyjski prezydent nigdy o żadnych „trzech dniach" nic nie wspomniał i są to słowa jednego z amerykańskich generałów, które media włożyły w jego usta. Pojawienie się na polu bitwy dronów uniemożliwiło armii rosyjskiej szybkie zakończenie wojny za pomocą przełamujących front uderzeń pancernych, zgodnych ze strategią wojenną uczoną w moskiewskich szkołach wojskowych od lat 30. ubiegłego stulecia. W efekcie przebieg działań przypomina pierwszą wojnę światową, czyli wojnę prowadzoną w okopach. Mimo to, jeśli tylko spojrzymy na mapę, to zobaczymy, że Rosjanie powoli, zdobywając okop za okopem i wioskę za wioską, prą do przodu. Powoli, ale prą. Na piechotę, i to dosłownie, gdyż drony wyeliminowały z pola bitwy nie tylko czołgi i sprzęt pancerny, lecz także ciężarówki z zaopatrzeniem. Ostatnie 20–30 km przed linią frontu wszystko noszone jest na plecach.

Ukraina otrzymuje od państw zachodnich olbrzymie wsparcie finansowe i materialne, lecz coraz mocniej odczuwa brak tzw. siły żywej. Dla Kijowa rzeczywiście jest to wojna pełnoskalowa, prowadzona wszystkimi dostępnymi zasobami. Jakkolwiek w polskich mediach szarżuje się nieustannie pojęciem „pełnoskalowości", to dla Rosji cały czas jest to wojna ograniczona, prowadzona wprawdzie przy mobilizacji gospodarki, lecz wyłącznie przy pomocy żołnierzy najemnych. W rezerwie pozostają prawie 3 mln przeszkolonych ludzi, których w każdej chwili można powołać do wojska, a całe zasoby demograficzne, które posiada Putin, ocenia się na ok. 17–21 mln mężczyzn, czyli prawie tyle, ile wynosi liczba osób obydwu płci, włącznie z dziećmi i emerytami, znajdujących się pod kontrolą Kijowa (ok. 22–24 mln). Z powodu tej różnicy w zasobach demograficznych Rosja cały czas wysyła na front wyłącznie dobrze (jak na warunki rosyjskie) opłacanych najemników, gdy Ukraina mężczyzn wyłapywanych w autobusach i na porannych spacerach z psami. Ludzie to najsłabsze ogniwo ukraińskiej armii. Ich liczba jest

eprasa.pl 7580d17964

już bardzo ograniczona, a złapani przez „hycli" z tramwajów i ulic rekruci bronią się i strzelają z okopów, ale do kontrataku trudno ich przymusić. Do ataku używa się pułków o ideologii banderowskiej i neonazistowskiej, mających wysokie morale, lecz ich stany kadrowe w 2026 r. wynoszą często połowę stanów wyjściowych i nie ma ich kim uzupełnić. Słowem, największą słabością armii ukraińskiej jest dramatyczny stan kadrowy.

ROSZCZENIA ROSYJSKIE ROSNĄ

Co więcej, Rosja powoli realizuje swoje cele, choć te rosną w czasie. Przypomnijmy, że zanim doszło do eskalacji konfliktu w lutym 2022 r., Putin miał wobec Kijowa kilka żądań: po pierwsze – wpisanie do konstytucji Ukrainy klauzuli o neutralności (czyli zakazu wstępu do NATO i goszczenia na swoim terenie NATO-wskich wojsk); po drugie – realizacja porozumień mińskich, czyli reformę konstytucyjną w postaci przyznania rosyjskojęzycznej wschodniej części państwa szerokiej autonomii; po trzecie – uznanie aneksji Krymu. W momencie wybuchu otwartego konfliktu zbrojnego Rosja ogłosiła przyłączenie separatystycznych republik donieckiej i ługańskiej, obejmujących ok. połowy obwodów ługańskiego i donieckiego, które separatyści zdołali obronić przed armią ukraińską w 2014 r. Już po rozpoczęciu wojny, w kwietniu 2022 r., w Stambule delegacje ukraińska i rosyjska podpisały wstępne porozumienie, na którego mocy: po pierwsze, Ukraina miała wpisać do swojej konstytucji neutralność; po drugie, uznawała rosyjską aneksję Krymu oraz republik donieckiej i ługańskiej w ich granicach, które miały przed rozpoczęciem działań zbrojnych. W efekcie wojska rosyjskie wycofały się spod Kijowa. Jednak Zełenski niespodziewanie porozumienie jednostronnie odrzucił, wykorzystując jako pretekst wydarzenia w Buczy, których równocześnie nie pozwolił przebadać międzynarodowej komisji, o której powołanie wnioskowała Rosja w ONZ. Powołując się na rosyjską zbrodnię wojenną, Zełenski wydał dekret zakazujący komukolwiek prowadzenia jakichkolwiek negocjacji z Rosją. W efekcie, aby prowadzić z Moskwą negocjacje, najpierw musi zostać ten dekret uchylony. Może to zrobić wyłącznie prezydent Ukrainy, czyli Zełenski we własnej osobie. To dało mu prawny monopol na decyzję, czy z Rosją można negocjować czy też nie. On zaś nie chce.

Piszę, że Wołodymyr Zełenski negocjacji nie chce, co nie oznacza, że nie są one w pewien sposób prowadzone. Ursula von der Leyen i przywódcy Europy Zachodniej raz po raz takie negocjacje prowadzą, przy czym tryb ich jest specyficzny. Przywódcy europejscy zapraszają na nie tylko Ukrainę, uzgadniają treść „porozumienia", po czym komunikują go Rosji, która nie traktuje tego teatru politycznego poważnie i nawet na te propozycje nie odpowiada. W propozycjach tych Rosja ma się wycofać z zajętych terenów, wypłacić Ukrainie „reparacje" etc. Do pewnego momentu brali w tym przedstawieniu udział Amerykanie, ale już zeń zrezygnowali, nie bardzo widząc sens udziału w przedstawieniu, w którym pomijana jest jedna z walczących stron, a jego celem jest jedynie zrobienie sobie „słitfotek" z „bohaterem walczącej Ukrainy" przez dołujących w sondażach prezydentów i premierów Europy. Warunki, które stawiają Putinowi przywódcy zachodnioeuropejscy wespół z Zełenskim, są bowiem takie, jak gdyby Ukraina tę wojnę miała zaraz wygrać. To zaś jest niemożliwe i wiedzą o tym wszyscy albo od początku konfliktu, albo od katastrofalnej porażki armii ukraińskiej w szeroko w mediach reklamowanej kontrofensywie z 2023 r., mającej na celu odcięcie połączenia lądowego Krymu z Rosją poprzez zdobycie Robotyne, Tokmaku i Melitopola.

Ukraina wspierana jest przez państwa Unii Europejskiej, bo te chcą stworzyć jako anty-Rosja własną tożsamość polityczną i przełamać niechęć wielu Europejczyków do federalizacji UE

Otoczenie Donalda Trumpa zdecydowanie bardziej realistycznie podchodziło do sytuacji na froncie, stąd kilka prób dyplomacji amerykańskiej doprowadzenia do pokoju. Trump szybko zorientował się, że odrzucenie akcesji Ukrainy do NATO jest warunkiem sine qua non pokoju i zgodził się na neutralność Kijowa. Zorientował się także, że Rosji nie interesują żaden czasowy rozejm i zamrożenie konfliktu, lecz zawarcie trwałego pokoju, gdyż rozejm Ukraina wykorzystałaby na odbudowę armii, aby rozpocząć nową wojnę. Dlatego Trump poparł zawarcie pokoju, a nie rozejmu. Najwolniej dyplomaci amerykańscy godzili się z rosyjskimi roszczeniami terytorialnymi, długo proponując linię graniczną na istniejącej linii frontu w spornych obwodach donieckim, ługańskim, chersońskim i zaporoskim. W końcu negocjatorzy Trumpa zorientowali się, że aneksja całych obwodów rosyjskojęzycznych, czyli donieckiego i ługańskiego, to „czerwona linia" dla Putina, i zaproponowali, aby Ukraina je oddała w zamian za pokój. Zełenski odpowiedział, że nie odda kawałka ziemi, którego ukraiński żołnierz nie stracił. W rzeczywistości miała to być wymiana ziem, gdyż za miasta Kramatorsk i Słowiańsk Rosjanie mieli zwrócić ziemie zajęte na pograniczu na północy. Jak się zdaje, dwa wspomniane miasta, czyli północno-zachodnia część obwodu donieckiego, stanowią punkt oficjalnie uniemożliwiający zawarcie pokoju. Putin uznaje jednak (zapewne zasadnie), że armia rosyjska powinna je zdobyć w ciągu ok. pół roku. Czołówki rosyjskie są – wedle różnych dostępnych mi danych – od 5,5 do 7 km od Kramatorska, ale bitwa o zdobycie tych miast będzie skrajnie zacięta i atak na nie nastąpi zapewne dopiero po ich oskrzydleniu z trzech stron, co do tej pory zawsze w tej wojnie dawało armii rosyjskiej końcowy sukces.

Oczywiście pojawia się pytanie: Czy zdobywszy te miasta, Rosjanie się zatrzymają? Kreml oficjalnie mówi, że nie zrzeka się niezajętych części obwodu chersońskiego i zaporoskiego, na czele z Chersoniem, który jest miastem rosyjskojęzycznym. Wspomina też o „strefie buforowej" na zajętych ziemiach na północy, w obwodach sumskim i charkowskim. Potem może pojawić się sprawa rosyjskojęzycznych miast – Charkowa i Odessy. Ale możliwa eskalacja żądań dowodzi, że czas działa przeciwko słabnącej Ukrainie. Z punktu widzenia logiki politycznej widać, że Ukraina powoli się cofa, kończą się jej zasoby demograficzne, a roszczenia rosyjskie rosną. Dlaczego zatem Zełenski nie chce podpisać pokoju i obronić tego,

eprasa.pl 7580d17964

co kontroluje, nie mając żadnej racjonalnej nadziei na zmianę sytuacji na froncie?

„NIE" ZEŁENSKIEGO

Wołodymyr Zełenski prawnie zmonopolizował możliwości negocjacji pokojowych z Rosją i osobiście blokuje zawarcie pokoju. Dzieje się to przy wielkim poklasku przywódców europejskich, którzy na wygraną Ukrainy z „tyranią" Putina rzucili cały swój autorytet i nie umieją teraz przyznać, że ich pomysł się nie udał. Dlaczego Zełenski blokuje rozmowy pokojowe? Bo się bardzo boi zawarcia pokoju i czerpie z wojny wielkie korzyści.

Dlaczego się boi? Dlatego, że tocząca się wojna usprawiedliwia jego faktyczną dyktaturę. Po zakończeniu wojny Ukraińcy i Zachód zażądają przeprowadzenia wyborów prezydenckich i parlamentarnych. Będzie to w sytuacji, w której Kijowowi jako przegranej stronie wojny przyjdzie się zrzec się ok. jednej piątej terytorium kraju. W tej sytuacji w kampanii wyborczej dominować będą pytania: Kto odpowiada za klęskę? Czy wojny nie dało się uniknąć? Czy nie należało podpisać porozumień stambulskich i stracić ziemie, których Ukraina i tak nie kontrolowała, nie tracąc gigantycznej liczby żołnierzy (których liczby nawet dziś nie znamy)?

Kto odpowiada za klęskę? Ten, kto podpisze układ pokojowy. Dlatego Zełenski wpadł na makiaweliczny pomysł, że naród musi układ pokojowy zatwierdzić w referendum, aby zdjąć z siebie choć część odpowiedzialności politycznej. Społeczeństwo ukraińskie prawdopodobnie nic nie wie o możliwości podpisania pokoju w kwietniu 2022 r., ale w czasie kampanii wyborczej na pewno się o tym dowie. Z pewnością postawione zostanie pytanie, czy Zełenski rzeczywiście był tak genialnym „ojcem narodu" – jak go przedstawiają ukraińskie i zachodnie media – czy też nie spróbował zapobiec wybuchowi wojny, gdyż (wszystko na to wskazuje) nie rozumiał powagi sytuacji? Neonaziści i banderowcy będą krzyczeć, że zawierając pokój z Rosją, zadał armii „cios w plecy", i zapewne przypomną mu jego żydowskie pochodzenie, co wprost prowadzi do kopii propagandy nazistowskiej po zawarciu pokoju przez Niemcy w Wersalu. Porywani z ulic poborowi i rodziny zabitych żołnierzy będą chcieli zemsty na „dyktatorze", który rzucił setki tysięcy ludzi na rzeź. Miliony spauperyzowanych Ukraińców będą wściekłe, widząc łapówkarstwo i korupcję ekipy rządzącej. Przypuszczam, że Zełenski doskonale zdaje sobie sprawę, że składając prezydenturę, prawdopodobnie będzie musiał uciec z kraju, aby ratować swoje życie i (zapewne niemały) majątek. Pokój oznacza dlań upadek polityczny i groźbę śmierci. Jak długo trwa wojna, tak długo rządzi i korzysta z uroków władzy. Jest w pułapce: z każdym miesiącem porażka Ukrainy się pogłębia, a więc jego życie jest bardziej zagrożone, więc tym bardziej boi się oddać władzę.

Tak jak wspomniałem, władza ma swoje uroki. W przypadku ekipy Zełenskiego to nie tylko urok jej sprawowania, lecz także związane z nią nadużycia. Media omawiały jakiś czas temu amerykański raport, z którego wynikało, że ok. jednej trzeciej broni i zaopatrzenia materialnego nie dociera na linię frontu, czyli – powiedzmy bez ogródek – jest rozkradane przez urzędników i oficerów, a następnie sprzedawane na czarnym rynku grupom przestępczym, a także do Sudanu, Mali, Republiki Środkowoafrykańskiej, Nigerii, Syrii, Jemenu. Niektóre media wspominają też o Strefie Gazy. Skoro znika jedna trzecia broni i zaopatrzenia, to ile musi znikać ze środków finansowych, których nie trzeba spieniężać? Każdy podatnik powinien mieć przed oczami pamiętny złoty klozet w łazience Timura Mindycza, będącego partnerem biznesowym Zełenskiego. Każdy też powinien mieć przed oczami widok siatek z pieniędzmi wylatujących po otwarciu jego szafy. Inny współpracownik prezydenta i szef jego kancelarii Andrij Jermak brał łapówki nawet za zapisanie petenta na rozmowę z prezydentem! Zatrzymany za przyjęcie ok. 100–112 mln dol. jest były minister energetyki Herman Hałuszczenko. Podejrzani, oskarżeni lub aresztowani za korupcję są: były wicepremier Ołeksij Czernyszow, były minister polityki żywnościowej Mykoła Solski, minister energetyki Switłana Hrynczuk, szef MON Rustem Umerow etc. Obecnie podejrzanych lub oskarżonych jest w sumie 41 posłów do Rady Najwyżej Ukrainy z 390, czyli ponad jedna dziesiąta składu. Dodajmy: ponad 10 proc. przy tak słabo działającym systemie policyjno-prokuratorskim! Prawdę mówiąc, to śledząc doniesienia o przeszukaniach i aresztowaniach przez NABU (ukraińskie CBA) kolejnych ministrów, deputowanych i urzędników, trudno nie dojść do wniosku, że Ukraina przekształciła się w coś, co Grecy nazywali kleptokracją (rządy złodziei). Kto wygra wybory po przegranej wojnie i oddaniu władzy przez Zełenskiego, trudno dziś przewidzieć, lecz w razie zwycięstwa przeciwników aktualnie rządzących grozi to wieloletnimi wyrokami tym, którzy są w obecnym obozie władzy. Jak długo trwa wojna, tak długo rozliczeń nie będzie. Co prawda, NABU znajduje się pod protekcją amerykańską i może łapać kolejnych złodziei i łapówkarzy, ale prokuratury i sądy są na Ukrainie „niezależne", więc wszyscy wiedzą, że nic im realnie nie grozi.

INTENCJE POLITYKÓW EUROPEJSKICH

Największym atutem Wołodymyra Zełenskiego jest poparcie Unii Europejskiej i Wielkiej Brytanii. Trump był przekonany, że odcinając amerykańską kroplówkę finansową i wojskową, zmusi Ukrainę do zawarcia pokoju. Zełenski jednak prowadzi dalej wojnę dzięki pomocy Europejczyków. Ci go wspierają i będą go wspierać, mimo że dobrze wiedzą, iż szanse na odwrócenie przebiegu wojny są minimalne i musiałby się wydarzyć jakiś cud, aby Rosja ją przegrała. Skąd zatem podtrzymywanie przez europejskich przywódców wojny, zamiast dążenie do zminimalizowania strat Ukrainy przez zawarcie pokoju?

Pisałem wielokrotnie, że Europa potrzebuje wojny z Rosją, aby jako anty-Rosja stworzyć własną tożsamość polityczną i przełamać niechęć wielu Europejczyków do federalizacji Unii Europejskiej, wraz ze wspólną obroną i polityką zagraniczną. Kluczowe znaczenie ma także nieumiejętność elit brukselskich do przyznania się, że „wolny świat" przegrał wojnę z „niedemokratyczną" Rosją. Ale coraz więcej dziennikarzy i ekspertów wprost zadaje sobie inne pytanie: Skoro elity europejskie widzą, jak na Ukrainie dosłownie znikają pieniądze i nikt nie wie, co się z nimi dzieje, to czy ich część nie wraca pod stołem do polityków europejskich, którzy decydują o kolejnych transzach pomocy finansowej dla ekipy Zełenskiego?

I to jest fundamentalne pytanie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7580d17964

Nowi wrogowie Zełenskiego



Maciej Pieczyński

Prezydent Ukrainy chętnie pozbywa się dawnych przyjaciół i bliskich współpracowników. Teraz stają się jego wrogami

Wołodymyr Zełenski, wbrew przewidywaniom wielu ekspertów, okazał się zdolnym i bezwzględnym politykiem, który nie tylko nie daje sobą sterować, lecz także potrafi skutecznie czyścić otoczenie z prawdziwych i wydumanych wrogów, a także z potencjalnych konkurentów. Wzięty komik stał się poważnym graczem o dyktatorskich zapędach. Jako pierwszy przekonał się o tym Ihor Kołomojski. Oligarcha, uważany za patrona, wręcz ojca chrzestnego kariery „sługi narodu", liczył na to, że wypromowany przez niego prezydent Zełenski odzyska znacjonalizowany za czasów Petra Poroszenki PrywatBank. Tak się jednak nie stało. W 2020 r., co prawda pod presją Międzynarodowego Funduszu Walutowego, deputowani Sługi Narodu przegłosowali tzw. ustawę antykołomojską, uniemożliwiającą zwrot banku dawnemu właścicielowi. W 2021 r. Zełenski przeforsował przepisy deoligarchizacyjne, mające na celu oddzielenie wielkiego biznesu od wielkiej polityki. Oczywiście chodziło nie tyle o uzdrowienie życia politycznego nad Dnieprem, ile o pozbycie się konkurentów do rządzenia. Zełenski, inaczej niż Poroszenko, nie zamierzał się układać ani z oligarchami, ani ze środowiskami prorosyjskimi, z którymi również zaczął się rozprawiać (również dlatego, że konkurował z nimi o ten sam rosyjskojęzyczny elektorat z południa i wschodu kraju). Wojna przyspieszyła proces konsolidacji władzy w rękach prezydenta. Poręcznym instrumentem okazały się sankcje personalne, obejmujące konkretnych polityków. W warunkach pełnoskalowego konfliktu zbrojnego starzy oligarchowie tracili. Cenzura i propaganda, stojące na straży dobrego wizerunku przywódcy, dawały się łatwo uzasadnić obroną ojczyzny.

KULISY WSPÓŁPRACY

Z ekipy, z którą Zełenski rozpoczynał walkę o władzę, do dziś niewielu z nim zostało. Najważniejsi albo odchodzili po konflikcie z prezydentem, albo po odejściu ostro go krytykowali, zdradzając kulisy współpracy. Ostatnio najgłośniejszym przypadkiem jest Julia Mendel – pierwsza rzecznik prasowa Zełenskiego jako głowy państwa. Rocznik 1986. Dziennikarka największych ukraińskich stacji telewizyjnych: ICTV, Espreso TV, 112 Ukraina oraz Inter. Współpracowała również z zachodnimi mediami, takimi jak Politico czy „The New York Times". Rzecznikiem prezydenta została w drodze konkursu, pokonując 4 tys. kontrkandydatów. Dzięki dziennikarskiemu doświadczeniu i dobrym kontaktom skutecznie dbała o wizerunek Zełenskiego w zachodnich mediach. Realizowała założenia szefa, dotyczące prostszej, bardziej nowoczesnej i sprawniejszej niż dotychczas komunikacji, w tym za pośrednictwem mediów społecznościowych. Była jedną z najbardziej rozpoznawalnych twarzy młodej i energicznej ekipy nowej głowy państwa.

Zdaniem wielu komentatorów w bilansie jej rocznej pracy przeważają jednak błędy i wpadki, czasem spektakularne i kompromitujące. Była dziennikarka po przejściu na „drugą stronę" robiła, co mogła, by utrudniać pracę dawnym kolegom z branży. We wrześniu 2019 r. fizycznie odpychała i szarpała za mikrofon dziennikarza Radia Swoboda, który próbował zadać pytanie Zełenskiemu. Rozmowę z Zełenskim uniemożliwiła również innemu dziennikarzowi Radia Swoboda – Christopherowi Millerowi. W konflikt z mediami weszła już kilka dni po objęciu posady. Gdy na Twitterze opublikowała wypowiedź prezydenta po angielsku, konto powiązanego z Poroszenką Kanału 5 zapytało, czy będzie publikacja również po ukraińsku, żeby później nie pojawił się argument, że media przekręciły słowa głowy państwa. „Mogę zacząć pisać surżykiem [mieszanką ukraińskiego i rosyjskiego – przyp. red.], specjalnie dla Kanału 5" – ironicznie odpowiedziała Mendel. Kiedy indziej, występując w programie „Prawo do rządzenia" telewizji 1+1, rzeczniczka Zełenskiego powiedziała, że Siły Zbrojne Ukrainy dają się sprowokować separatystom i bombardują obiekty cywilne w Donbasie. Po roku pracy Mendel pożegnała się ze stanowiskiem, ale pozostała w otoczeniu Zełenskiego. Napisała też książkę „Każdy z nas jest prezydentem", w której opisywała kulisy pracy ze „sługą narodu" oraz ukraińskiej polityki. Nie była to książka demaskatorska. Mendel swojego byłego szefa przedstawiała wówczas w pozytywnym świetle. Przez pewien czas pojawiały się również plotki o romansie młodej rzecznik z prezydentem, jednak nigdy nie zostały w żaden sposób potwierdzone, a sama Mendel przekonywała, że jest to element walki politycznej.

REWELACJE BYŁEJ RZECZNICZKI

Krytykować obecne władze nad Dnieprem zaczęła już po wybuchu pełnoskalowej wojny. Początkowo w swoich publicznych wypowiedziach atakowała głównie Andrija Jermaka. Później przeszła do krytyki samego Zełenskiego. W listopadzie 2024 r. na łamach „Kyiv Post" polemizowała z argumentem, w myśl którego nie można zgodzić się na zakończenie wojny, bo „Putin i tak znowu napadnie". Jej zdaniem

eprasa.pl 7580d17964

taka postawa oznacza ryzyko ogromnych strat i zniknięcia Ukrainy z mapy. „Umrzyj teraz, żeby uniknąć możliwej śmierci w przyszłości" – tak Mendel podsumowała logikę przeciwników pokoju. W styczniu 2025 r. w „Time" wezwała do niezwłocznego wstrzymania ognia, przekonując, że wojna wyniszcza Ukrainę, a perspektywa wejścia do NATO jest coraz bardziej odległa. Niedługo później, w komentarzu dla France 24, mówiła, że „większość ludzi na Ukrainie uznaje konieczność zakończenia wojny", a „najbardziej przerwania ognia pragną ci Ukraińcy, którzy żyją pod ostrzałem". Zdaniem byłej współpracowniczki Zełenskiego nierealistycznym podejściem jest „faktycznie postawić istnienie ukraińskiego narodu pod znakiem zapytania w zamian za iluzję, że NATO zaprosi nas kiedyś do członkostwa". Najgłośniejszym echem odbił się wywiad przeprowadzony przez amerykańskiego youtubera Tuckera Carlsona. To w nim Mendel oznajmiła, że Zełenski wiosną 2022 r. był gotów oddać Rosji Donbas w zamian za pokój, ale wskutek interwencji Borisa Johnsona zmienił zdanie. Podczas szczytu normandzkiego w grudniu 2019 r. prezydent Ukrainy obiecał Putinowi, że jego kraj nie wejdzie do NATO.

„SKRYTE ZŁO"

Zdaniem byłej rzeczniczki Zełenski jest osobiście zainteresowany kontynuacją wojny. Nazwała prezydenta Ukrainy „jedną z największych przeszkód dla pokoju". Stwierdziła, że choć Rosjanie dokonują zbrodni wojennych, to sam konflikt nie jest już czarno-biały. Ponadto Putin i Zełenski to „zło", tyle że Zełenski jest „złem skrytym". Przed kamerami gra „pluszowego misia", a po ich wyłączeniu zamienia się w niedźwiedzia grizzly i niszczy ludzi. Wedle Mendel Zełenski lubił powtarzać, że Ukraina nie jest gotowa na demokrację oraz że dyktatura to porządek. Była rzeczniczka prezydenta odniosła się też do popularnej teorii o rzekomym uzależnieniu głowy państwa. Według jej wersji to „tajemnica poliszynela", choć – jak sama przyznaje – nigdy nie widziała, by jej szef brał narkotyki, zauważała natomiast, że inaczej się zachowuje po powrocie z toalety.

Po każdej z tego typu publicznych wypowiedzi władze w Kijowie zaprzeczają rewelacjom Mendel, apelując, aby nie traktować jej poważnie. Jednak była rzeczniczka prezydenta nie przestaje recenzować jego działań, również na łamach zachodnich mediów. „Zełenski jest głównym beneficjentem tej wojny" – oceniła w wywiadzie dla francuskiego „Journal du Dimanche". Prezydenta Ukrainy nazwała narcyzem, którego popiera „bardzo niewielu Ukraińców". To właśnie Zełenski – jak twierdzi Mendel – jest „głównym problemem" jej kraju. Przymusowa mobilizacja, jej zdaniem, świadczy o tym, że Ukraina staje się państwem autorytarnym. „Żyjemy pod ostrzałem dronów, rakiet, pod bombami […]. Nawet jeśli Rosja przegra, to nie znaczy, że Ukraina wygra. […] jak ukraińska matka ma się cieszyć, że płonie rosyjska rafineria?! To nie przywróci życia jej mężowi, to nie obroni jej dzieci" – przekonywała Mendel.

W wywiadzie nie zgodziła się, że prezentuje narrację prorosyjską. Jej zdaniem nieludzkie jest dążenie do pokonania Rosji za cenę „ukraińskiej krwi i śmierci mojego narodu". Pośrednio wezwała do ustępstw terytorialnych na rzecz Moskwy, jako przykład do naśladowania podając Finlandię. „Na Ukrainie są dwa obozy. Jeden opowiada się za wojną, drugi – za pokojem" – stwierdziła w jednym z wpisów na mediach społecznościowych.

Zdaniem byłej rzeczniczki Zełenski jest osobiście zainteresowany kontynuacją wojny z Rosją

W krytyce Mendel pod adresem Zełenskiego pojawia się też wątek polski. Decyzję o nadaniu jednej z jednostek wojskowych imienia „Bohaterów UPA" oceniła bardzo negatywnie. Jej zdaniem nie był to wyraz osobistych przekonań Zełenskiego, tylko krok podyktowany sugestiami doradców, którzy uznali, że będzie to korzystne wizerunkowo posunięcie. Według Mendel kult OUN-UPA dominuje raczej wśród ukraińskich elit niż społeczeństwa.

Była rzeczniczka Zełenskiego jest przekonana, że to Kijów odpowiada za zepsucie relacji z Warszawą, nie odwrotnie. Wejście w konflikt z prezydentem Karolem Nawrockim oceniła jako „głupotę". W swojej krytyce działań Wołodymyra Zełenskiego Julia Mendel bardzo przypomina Ołeksija Arestowycza – byłego doradcę Biura Prezydenta. Można wręcz ją nazwać „Arestowyczem w spódnicy". Podobieństw nie sposób nie zauważyć. W obu wypadkach współpracownik prezydenta Ukrainy (odpowiedzialny za komunikację, w pewnym sensie za propagandę) po odejściu ze stanowiska zaczyna ostro krytykować swojego byłego szefa z pozycji realizmu politycznego, nakazującego dążenie do zakończenia wojny, nie zaś do eskalacji. Oboje z powodu linii swojej argumentacji zostali przez ukraiński establishment medialno-polityczny uznani za „agentów Kremla", których nie warto słuchać. Choć w rzeczywistości ani Arestowycz, ani Mendel nigdy nie uznali wprost, że inwazja Rosji na Ukrainę była słuszna. Co najwyżej były doradca Biura Prezydenta sugerował, że do napaści przyczyniła się antyrosyjska polityka Kijowa. Z takiej oceny sytuacji nie wyciągał jednak wniosku, że racja w wojnie jest po stronie Putina.

Arestowycz konsekwentnie powtarza, że kontynuacja wojny jest na rękę Zełenskiemu. Zakończenie konfliktu oznaczałoby powrót do normalnej polityki, rozliczenie władz oraz kampanię wyborczą, w której padłyby niewygodne pytania o sposób rządzenia państwem w warunkach obrony przed rosyjską agresją. Co więcej, wróciłyby zarzuty o nieodpowiednie przygotowanie kraju na inwazję. Arestowyczowi nie chodzi nawet o to, że Zełenski „źle prowadzi wojnę". Jest gorzej – Zełenski nie zamierza wojny kończyć. Pod koniec maja tego roku Arestowycz stwierdził, że obecny konflikt może potrwać jeszcze dwa–trzy lata. Z woli ukraińskiego prezydenta, który chce albo namówić Trumpa do zwiększenia pomocy militarnej dla Ukrainy, albo (co o wiele bardziej prawdopodobne) poczekać na zmianę gospodarza Białego Domu na takiego, który chętniej będzie inwestować w wojnę.

Mendel i Arestowycz to wyraziste, ale należące do bardzo nielicznych przypadki byłych współpracowników Zełenskiego, którzy dziś krytykują go z pozycji realizmu politycznego, rozumianego jako postulat jak najszybszego zakończenia wojny, choćby za cenę ustępstw wobec Rosji. Nawoływanie do pokoju wciąż jest nad Dnieprem niepoprawne politycznie. Trzeba jednak przyznać, że elementy realizmu widać u gen. Walerija Załużnego. To właśnie on

eprasa.pl 7580d17964



Była rzeczniczka prezydenta Julia Mendel od dłuższego czasu publicznie krytykuje ukraińskie elity w Kijowie FOT. OLA SKOWRON/EAST NEWS

jako pierwszy przedstawiciel ukraińskiej elity rządzącej miał odwagę publicznie (w wywiadzie dla „The Economist") przyznać, że wojna z Rosją przeszła w fazę pozycyjną, co z kolei oznacza, że nieuprawniony jest hurraoptymizm. Całkiem niedawno szeroki rezonans wywołała jego diagnoza, w której myśl Ukraina powinna się pogodzić z faktycznym brakiem szans na wejście do NATO. Załużny swego czasu kwestionował też sensowność inwazji na obwód kurski. „Cena takich działań nie jest mi znana, jednak oczywiste jest, że była zbyt wysoka" – mówił.

NADMIERNA PEWNOŚĆ SIEBIE

Większość dawnych współpracowników Zełenskiego odeszła z jego otoczenia bynajmniej nie z powodu wojny. Najpotężniejszy człowiek prezydenta musiał odejść z powodu korupcji. Andrija Jermaka – bo to o nim mowa – zatopiła afera Mindicza. Zatopiła przynajmniej oficjalnie. Jermak otrzymał zarzut prania brudnych pieniędzy. Z aresztu wyszedł za kaucją, nosi elektroniczną bransoletkę. Jednak – jak donosiła „Ukraińska Prawda" – były szef Biura Prezydenta mimo formalnego odejścia próbuje odzyskać dawne wpływy. Zapewne gdyby nie afera, wciąż byłby drugą najpotężniejszą osobą w państwie. Jego poprzednikiem na stanowisku szefa Biura Prezydenta był Andrij Bohdan, prawnik, bliski współpracownik Zełenskiego. A przede wszystkim człowiek Ihora Kołomojskiego. W imieniu oligarchy miał był nieoficjalnym „kuratorem" prezydenta. Stanowisko stracił po konflikcie z Jermakiem w 2020 r. Od tamtej pory stał się krytykiem Zełenskiego. Jego zdaniem prezydent popełnił ogromny błąd, uzależniając się od Jermaka. Bohdan zarzucał Zełenskiemu, że dobiera on ludzi nie z uwagi na kompetencje, tylko osobiste zaufanie. 2 maja tego roku były współpracownik głowy państwa został objęty sankcjami, ponieważ „zagraża interesom narodowym, bezpieczeństwu, suwerenności i integralności terytorialnej Ukrainy". Na liście sankcyjnej znalazł się wcześniej m.in. Arestowycz, ale również Poroszenko (za udział w handlu węglem z separatystami). Za co ukarany został Bohdan? Oficjalnie nie wiadomo. Nieoficjalnie, według ustaleń mediów, za udostępnienie mediom taśm Mindicza… Sam Bohdan zaprzecza, by miał do tych kompromitujących materiałów dostęp. Przekonuje natomiast, że został ukarany za krytykę władz. Poza Bohdanem z dawnej ekipy Zełenskiego wskutek konfliktu z prezydentem zniknęło jeszcze kilku jego najbliższych współpracowników. Dmytro Razumkow był jednym z liderów obozu Sługi Narodu w 2019 r. Stanął na czele partii, został też przewodniczącym Rady Najwyższej. Z czasem jednak zaczął podkreślać własną niezależność. Forsowaną przez Zełenskiego ustawę deoligarchizacyjną wysłał do Komisji Weneckiej, co dla prezydenta było zdradą. W październiku 2021 r. parlament odwołał go z funkcji przewodniczącego, również głosami Sługi Narodu. Razumkow nazywał potem państwo rządzone przez Zełenskiego „republiką biurowo-prezydencką", nawiązując do potężnej roli Jermaka. Krytykował też korupcję oraz niewłaściwą jego zdaniem politykę budżetową podczas wojny czy sposób prowadzenia mobilizacji. Pierwszym premierem czasów Zełenskiego był Ołeksij Honczaruk, mający opinię młodego, energicznego technokraty. Potężnym zgrzytem była publikacja nagrań, na których premier stwierdza, że prezydent „ma prymitywne rozumienie gospodarki". Co ciekawe, Zełenski wtedy się nie obraził – nie przyjął dymisji Honczaruka. Zwolnił go w momencie, gdy doszedł do wniosku, że rząd muszą tworzyć doświadczeni politycy, nie zaś idealiści technokraci spoza polityki.

Wybuch wojny nie zatrzymał „czystki" w otoczeniu prezydenta. Tak jak Jermak musiał odejść z powodu korupcji, tak szef SBU Iwan Bakanow, wieloletni przyjaciel Zełenskiego, musiał odejść z powodu nieudolności służby, którą kierował. SBU była bowiem mocno zinfiltrowana przez Moskwę, co przejawiło się w licznych przypadkach zdrady i kolaboracji w jej szeregach. Z analogicznych powodów ze stołkiem pożegnała się prokurator generalna Iryna Wenedyktowa.

Otoczenie Zełenskiego podlega nieustannej cyrkulacji. Po wybuchu wojny prezydent wyraźnie poczuł nadmierną pewność siebie. Wymuszone odejście Jermaka może ją tylko wzmocnić. Zełenski najpierw zrozumiał, że nie potrzebuje technokratów, potem – że nie potrzebuje ludzi, którzy apelują o pokój. Zmuszony sytuacją musiał pożegnać się z politykami skompromitowanymi. Coraz wyraźniej widać, że do kierowania Ukrainą nie potrzebuje już nikogo. Poza samym sobą.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7580d17964



FOT. ADOBE STOCK

Mięso armatnie elit

Po kanałach z karabinem
Nie biegałabym
Nie oddałabym ci, Polsko
Ani jednej kropli krwi [...]
Płacę abonament
I za bilet płacę
Chodzę na wybory
Nie jeżdżę na gapę
Tylko nie każ mi umierać
Tylko nie każ, nie każ mi
Nie każ walczyć, nie każ ginąć
Nie chciej, Polsko, mojej krwi



Łukasz Warzecha

Czy zobowiązania obywatela wobec jego kraju mogą być jednostronne? Czy państwo ma prawo traktować obywateli lekceważąco, arogancko, korzystać jedynie z ich pieniędzy do wspierania budżetu, ale nie dawać wiele w zamian, aby później, gdy wybuchnie wojna, domagać się spełnienia „obywatelskiego obowiązku”?

To fragment tekstu piosenki „Sorry Polsko”, która znalazła się na płycie Marii Peszek z 2012 r. „Jezus Maria Peszek”. Autorka tak mówiła o tej piosence w wywiadzie dla „Dziennika Bałtyckiego” 14 lat temu: „Nazywanie tego tekstu antypatriotycznym jest bardzo dużym uproszczeniem. Oczywiście forma tego tekstu jest mocno wkurzona i walcząca, ale nie ma tam nienawiści. Wystarczy się trochę uważniej wsłuchać, żeby przekonać się, że to jest apoteoza patriotyzmu, tylko trochę inaczej rozumianego. Patriotyzmu małych spraw, moim zdaniem jedynego dziś możliwego – płacenia podatków, chodzenia na wybory [...]. Nie dezawuuję tej krwawej walki, ale odmawiam życia w cieniu tego mitu. Odmawiam stawiania śmierci powyżej życia. Bo śmierć za ojczyznę, za ideę, za Boga czy w imię czegokolwiek innego jest u nas jednak traktowana jako coś wyższego niż życie dla ojczyzny albo po prostu dla samego siebie. Ten model jest obecny w naszej kulturze i historii, kładzie się cieniem na współczesności. Ilekroć dochodzi w Polsce do jakiejś katastrofy czy

eprasa.pl 7580d17964

wypadku, ludzie, którzy w nich umierają, już z samego faktu tej tragicznej śmierci stają się bohaterami. To dla mnie zupełnie niezrozumiałe. Wydaje mi się, że bohaterstwem jest czasem życie tutaj".

Działo się to 14 lat temu, gdy zaledwie dwa lata wcześniej zdarzyła się katastrofa smoleńska i Peszek – nieodrodna przedstawicielka klasy „młodych, wykształconych, z dużych ośrodków" – nawiązywała oczywiście i do tego wydarzenia. Poza tym powtarzała zgraną już dzisiaj lewicową kliszę, zgodnie z którą „patriotyzm codziennych spraw" to płacenie podatków i zbieranie kup po psie. Jej tekst wywołał natomiast oburzenie po prawej stronie z powodu zakwestionowania obowiązku obrony kraju nawet z poświęceniem własnego życia. Trzeba jednak pamiętać, że płyta Marii Peszek ukazała się dwa lata przed pierwszą napaścią Rosji na Ukrainę i zajęciem przez Rosjan – niemal bez walki – Krymu. A to ważna cezura.

LODOWATY PRYSZNIC

Mamy rok 2026 i wiele wskazuje na to, że coraz więcej osób podpisałoby się pod podejściem Peszek. Na początku sierpnia, wraz z rocznicą wybuchu powstania warszawskiego, Radio Zet opublikowało sondaż przeprowadzony przez IBRiS, w którym zadano pytanie: „Czy w sytuacji zagrożenia wojną zgłosisz się do obrony kraju?". „Zdecydowanie tak" odpowiedziało zaledwie 11,7 proc. respondentów, „raczej tak" – 15,3 proc., „raczej nie" – aż 34,7 proc., a „zdecydowanie nie" – 23,4 proc. Zdania nie miało 14,9 proc. W sumie zatem obronę kraju deklaruje jedynie 27 proc., a przecząco odpowiada aż 58,1 proc. – ponad dwukrotnie więcej. Lodowaty prysznic powinien lunąć na głowy osób, które tkwią w przeświadczeniu, że Polacy uniesieni patriotycznym uczuciem w razie czego masowo podejmą się obrony państwa.

Przeglądając historyczne sondaże podobne do opisanego wyżej oraz te z innych krajów, trzeba pamiętać, że duże znaczenie może mieć dokładne brzmienie zadawanego pytania. Czym innym są jednak bowiem pytanie, czy dana osoba zgłosiłaby się do obrony kraju i możliwość odpowiedzi ograniczona do „tak", „nie", „nie wiem", czym innym danie kilku możliwości odpowiedzi (np. „broniłbym Polski z bronią w ręku", „starałbym się pomagać w inny sposób", „szukałbym możliwości ucieczki za granicę"), a jeszcze czym innym pytanie, czy w razie wojny byłoby się gotowym w razie potrzeby nawet oddać za ojczyznę zdrowie albo życie.

Przekonanie, że w przeciwieństwie do zgniłego Zachodu Polskę wciąż zamieszkują w większości gotowi do walki patrioci, miało swoje podstawy wiele lat temu. W 2008 r. ośrodek GfK Polonia przeprowadził dla dziennika „Rzeczpospolita" sondaż, w którym zadano pytanie w formie ekstremalnej: „Czy byłbyś gotów oddać życie w obronie niepodległości Polski?". Twierdząco odpowiedziało aż 71 proc., jedynie 16 proc. było zdania przeciwnego.

Rok 2014 to radykalna zmiana otoczenia międzynarodowego: następuje uderzenie Rosji na Ukrainę i zajęcie Krymu. Polacy mocno odczuwają ten fakt – wtedy też nastąpiła pierwsza fala wzrostu zainteresowania strzelectwem i posiadaniem broni. Reakcję na wydarzenia w naszym sąsiedztwie widać w ówczesnym sondażu Homo Homini dla „Rzeczpospolitej", ale uwaga – sondaż został opublikowany w pierwszej połowie lutego tamtego roku, podczas gdy uderzenie rosyjskie na Ukrainę nastąpiło nocą z 27 na 28 lutego. Mógł więc najwyżej uwzględniać niepokój związany z narastającym napięciem na linii Moskwa – Kijów, ale nie sam wybuch konfliktu. W tym sondażu pytano, co respondenci gotowi byliby poświęcić dla Polski. Odpowiedź „życie lub zdrowie" wybrało jedynie 19 proc., 17 proc. było gotowych na poświęcenie majątku, lecz aż 41 proc. odpowiedziało, że nie poświęciłoby niczego.

Sondaż z podobnym pytaniem wkrótce potem, ale już po rosyjskim ataku, w marcu, przeprowadził ośrodek Millward Brown dla TVN24. Zadano pytanie: „Czy osobiście byłbyś gotowy do poświęcenia, oznaczającego ryzyko utraty życia lub zdrowia dla obrony kraju?". Odpowiedzi nie są całkiem spójne z sondażem wcześniejszym o zaledwie kilkanaście dni, choć pytanie było przecież podobne. Tym razem twierdząco odpowiedziało w sumie 43 proc., przecząco – 49 proc. Przewagę ponownie mieli ci niechętni poświęceniom.

Bardziej zniuansowane było pytanie, które zadano po najnowszej inwazji Rosji na Ukrainę, w marcu 2022 r. Sondaż przeprowadził ten sam ośrodek Millward Brown dla Warsaw Enterprise Institute i portalu Defence24. Respondentom przedstawiono trzy możliwe odpowiedzi na pytanie, jak zachowaliby się w razie konfliktu zbrojnego. 17 proc. wybrało odpowiedź „zaangażowałbym się włącznie z walką na froncie", 49 proc. odpowiedziało „zaangażowałbym się, ale bez walki na froncie", a 34 proc. stwierdziło, że nie angażowałoby się wcale i zostawiłoby to „odpowiednim służbom".

Aby umieścić odpowiedzi Polaków w kontekście międzynarodowym, sięgnijmy po duże badanie, prowadzane cyklicznie w wielu państwach: World Values Survey. Jedna z fal badania przeprowadzana była w latach 2010–2014. Zadane w jego trakcie pytanie było proste: „Czy w razie wojny byłbyś gotów walczyć za swój kraj?". W Niemczech twierdząco odpowiedziało 40,9 proc., a przecząco 53,4 proc. W Holandii odpowiednio 42,4 oraz 43,3 proc. W Rosji – 52,7 i 21,5 proc. W Szwecji 69,4 i 22 proc. W USA 57,7 i 40,6 proc. Badano także Polskę i tu „tak" odpowiedziało 71,4, a „nie" – 20,3 proc.

Kolejną falę ankiety przeprowadzono w latach 2017–2022. Polska oraz Szwecja nie znalazły się tym razem wśród badanych państw. W Niemczech twierdząco odpowiedziało 47,6, a przecząco 42,3 proc. W Holandii – 28,4 i 27,2 proc. Bardzo duża grupa, 29 proc., wybrała tym razem odpowiedź „nie wiem". W Rosji 67,9 i 23,5 proc. W USA 59,6 i 38,6 proc. Interesujące jest, że największy odsetek deklarujący walkę za swój kraj pojawiał się w przypadku krajów azjatyckich, z których część uwikłana była i nadal jest w długotrwałe konflikty zbrojne z sąsiadami. W Pakistanie było to 85,9 proc., w Bangladeszu 89,8 proc., w Armenii 82,6, rekord zaś bił Wietnam: 96,4 proc.

Spójrzmy jeszcze na sondaż Gallupa z 2023 r., w którym zapytano: „Gdyby wybuchła wojna, w którą zaangażowany byłby twój kraj, czy byłbyś gotowy za niego walczyć?". Średnia we wszystkich badanych państwach to 52 proc. odpowiedzi twierdzących i 33 proc. przeczących. W Niemczech tylko 23 proc. deklarowało gotowość do walki, aż 57 proc. było przeciwnego zdania. W Rosji

eprasa.pl 7580d17964

stosunek wynosił 32 do 20 proc., w Hiszpanii 29 do 53 proc., w Wielkiej Brytanii 33 do 50 proc., a w USA 41 do 34 proc. Pytanie zadano także w Polsce. „Tak" odpowiedziało 45 proc., „nie" 32 proc.

KONIEC POLSKIEGO WYJĄTKU

Jakkolwiek by na te dane patrzeć, jedno staje się jasne: czas, gdy ponad 70 proc. Polaków deklarowało gotowość do najwyższych poświęceń, dawno minął. Pod tym względem Polska przypomina dzisiaj wiele państw Zachodu, choć odsetek gotowych do jakiejś formy poświęcenia jest u nas nadal wyższy. Nie jest to już jednak różnica porażająca.

Pomstowanie na spadającą ochotę do obrony kraju nie jest wyjściem

Tu pojawiają się dwa pytania. Pierwsze: Co i dlaczego się zmieniło? Drugie: Jak Polacy postrzegają relację z własnym państwem w kontekście obowiązku obrony ojczyzny? Proste badania ankietowe nie dają tutaj wyjaśnienia, a pogłębionych, tzw. fokusowych, badań nikt nie zrobił. Pozostają spekulacje.

Pierwsza przyczyna zmiany to kontekst międzynarodowy. Na razie pytanie o gotowość do obrony było abstrakcyjne, a świat wciąż wydawał się stabilny, przynajmniej w naszym regionie łatwo było składać patriotyczne deklaracje. Gdy jednak nastąpił wybuch realnej wojny całkiem blisko nas, perspektywa się zmieniła w stronę większego sceptycyzmu – tu widać radykalny kontrast z państwami takimi jak Pakistan czy Armenia, gdzie przecież militarne napięcie czy ostre starcia (Pakistan z Indiami, Armenia z Azerbejdżanem) są od lat codziennością.

Drugi czynnik to kontekst wewnętrzny. Paradoksalnie największe szkody przypadają prawdopodobnie na okres sprawowania rządów przez „formację propolską", jak uwielbiało o sobie samo mówić Prawo i Sprawiedliwość. To PiS, szczególnie w swojej pierwszej kadencji, wdrożył turbopatriotyczną narrację, której natarczywość nie miała nic wspólnego z wcześniej spontanicznymi zjawiskami, takimi jak obywatelskie upamiętnienia żołnierzy podziemia niepodległościowego. Ta narracja zamiast mobilizować, mogła wiele osób wręcz zrażać do uznawania patriotyzmu za wymagający najwyższych osobistych poświęceń.

Znacznie istotniejsze może było jednak to, co zaczęło się po 24 lutego 2022 r. W marcu tamtego roku uchwalono ustawę o obronie ojczyzny, zastępującą wcześniejszą ustawę o powszechnym obowiązku obrony RP. Szczególną uwagę zwracało, jakie kategorie osób zostały zwolnione z mobilizacji na wypadek wojny (art. 541). Niektóre kategorie zwolnień nie powinny budzić wątpliwości – to posłowie, senatorowie czy osoby pełniące kierownicze funkcje państwowe. W tym gronie są jednak również radni, co już znacznie trudniej zrozumieć, a przede wszystkim osoby „ze względu na posiadane kwalifikacje lub zajmowane stanowiska […] niezbędne dla zapewnienia obrony lub bezpieczeństwa państwa". Biorąc pod uwagę, jak niskie jest zaufanie obywateli do polskiego państwa, trudno się dziwić, że wiele osób podejrzewa, iż dzięki tak ogólnikowemu i nieprecyzyjnemu zapisowi można będzie uchronić przed wojskiem każdego znajomego, krewnego czy partyjnego kolegę – pod warunkiem, rzecz jasna, że będzie się miało układy w aparacie władzy lub samemu będzie się jego częścią.

Wojna na Ukrainie zamiast zmobilizować do postawy proobronnej, pokazała części Polaków coś innego: że w państwie, będącym „własnością" elit, mięso armatnie robi się ze zwykłych ludzi, podczas gdy ci zamożniejsi albo ustosunkowani (na ogół idzie to w parze) wygodnie przeczekują zły czas na Zachodzie. Co więcej, postawa rządu Morawieckiego wobec wojny na Ukrainie była odbierana przez dużą część obywateli jako wręcz prowokacyjna wobec Rosji. Te osoby postawiły sobie zatem pytanie: Jeśli Polska zostanie wciągnięta w konflikt zbrojny z powodu własnych nieroztropnych zachowań, to czy powinienem czuć się w obowiązku za nią umierać?

Ostatnie lata zrodziły coś nowego: rzec by można – prawicowy pacyfizm. Ten trend zaczął się pojawiać wraz z powiększającymi się środowiskami protestu i antysystemu. Jego podstawą jest narastające przekonanie, że elity urządziły się wygodnie, a swojego dobrobytu w razie potrzeby każą bronić zwykłym ludziom. To oczywiście wizja bardzo uproszczona, może nawet prymitywna, z pewnością jednak jest powodem, dla którego mniejsza niż dawniej część obywateli byłaby gotowa spełnić swój obowiązek obrony kraju.

PAŃSTWO ŻĄDA, OBYWATEL ROZLICZA

Jednak kwitowanie tej postawy prostym stwierdzeniem, że z założenia obowiązek walki w obronie kraju jest bezwarunkowy, nie jest rozwiązaniem problemu. „Prawicowy pacyfizm" każe bowiem postawić fundamentalne pytanie: Czy zobowiązania obywatela wobec jego kraju mogą być jednostronne? Czy państwo ma prawo traktować obywateli lekceważąco, arogancko, korzystać jedynie z ich pieniędzy do wspierania budżetu, ale nie dawać wiele w zamian, aby później, gdy wybuchnie wojna, domagać się spełnienia „obywatelskiego obowiązku"? Odpowiedź wcale nie jest prosta. Gdy kolejne osoby pytają: „Dlaczego miałbym umierać za państwo, które potrafi mnie tylko wyzyskiwać i nie uznaje mnie za podmiot?", nie da się tego pytania zbyć wzruszeniem ramion. Dylemat wzmacniają sceny z ulic ukraińskich miast, gdy rekruterzy ukraińskiej armii próbują łowić poborowych wśród przechodniów, co spotyka się nierzadko z gwałtownymi reakcjami przygodnych świadków i zdarzało się, że wojskowi musieli wycofywać się jak niepyszni w obawie przed linczem.

Pomstowanie na spadającą ochotę do obrony kraju nie jest wyjściem. Politycy powinni uwzględnić, że coraz mniejsza część Polaków czuje, że jest za co walczyć. Można im oczywiście w razie Godziny „W" zabronić wyjazdu z kraju, ścigać na ulicach, zmuszając do stawienia się w wojsku, i grozić surowymi karami za dezercję. Jednak armia złożona z niechętnych obywateli, nieprzekonanych do walki za swoje państwo i szukających okazji do uniknięcia tego obowiązku, nigdy nie będzie tak skuteczna jak armia poborowych w większości walczących z głębokim przekonaniem, że warto.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7580d17964



Rafał A. Ziemkiewicz

Ciszej nad tym zamachem

Kultywowanie smoleńskiej poprawności jest w PiS drogą do łaski Jarosława Kaczyńskiego, a tym samym do partyjnej kariery. Wiele wskazuje, że zaplątanie w chybioną narrację dotyczącą katastrofy z roku 2010 było jednym z istotnych czynników rozłamu w tej formacji i odejścia z niej za Mateuszem Morawieckim licznego grona polityków

Rozłam w PiS, dla wielu nieoczekiwanie, znowu ustawił w centrum politycznego sporu kwestię „zamachu w Smoleńsku". Tym razem jednak już nie dotyczy to sporu między PiS a obozem rządzącym, a wzajemnego obciążania się winą za rozłam i dyskredytowania w oczach „pisowskiego ludu" przez niedawnych jeszcze kolegów z samego Prawa i Sprawiedliwości. Ludzi Mateusza Morawieckiego oraz jego samego pozostający u boku Kaczyńskiego działacze i publicyści oskarżyli m.in. o to, że „nigdy nie wierzyli w zamach w Smoleńsku" i nie używali wobec ofiar tragedii określenia „polegli" – co w połączeniu z „doradzaniem Tuskowi" uwiarygodnić miało narrację, iż były premier właściwie zawsze był w PiS agentem obcych sił. Narracje skądinąd absurdalną, ale pozostawmy to na boku; rzeczą charakterystyczną i wymagającą uwagi jest, że w chwili kryzysu jednym z kryteriów wierności formacji uczyniono spontanicznie „poprawność smoleńską". Łatwo się domyślić, dlaczego – upór, z jakim Jarosław Kaczyński brnie w celebrowanie kolejnych „miesięcznic" pod pomnikiem smoleńskim, i jego liczne wypowiedzi pokazują, że wiara, iż życie jego brata zakończył zamach, a nie tragiczny wypadek, a już szczególnie nie taki, który byłby skutkiem bałaganu i wielu pomyłek, stanowi dla prezesa swoisty test wierności wobec pamięci śp. prezydenta i wobec jego dziedzictwa.

Łatwo też się domyślić, dlaczego w tej sytuacji do sprawy zamachu wraca „Gazeta Wyborcza", publikując konkluzje prac zespołu eksperckiego, powołanego przez Prokuraturę Krajową w roku 2019. Zespół zakończył pracę rok temu, jego raport, jakkolwiek poufny, przedstawiony został uprawnionym – m.in. rodzinom ofiar – kilka tygodni później, ale „Wyborcza" z właściwym sobie „tajmingiem" dotarła do niego właśnie teraz. Znając gazetę, redaktor Kublik po prostu przechodziła z tragarzami przez archiwum Prokuratury Krajowej i jak raz zupełnym przypadkiem potknęła się o wypełnione ekspertyzami skoroszyty.

DWA WYBUCHY

Żarty żartami, ale trudno się dziwić, że medium od zawsze z takim zapałem mieszające w politycznym kotle podchwyciło dokument, który stawia PiS w tak złym świetle. W istocie nie trzeba wyliczonych w „Wyborczej" opinii renomowanych ośrodków badawczych i utytułowanych ekspertów, zgodnych co do tego, że na pokładzie tupolewa nie doszło do wybuchu, że nie ma żadnych charakterystycznych śladów, który taki wybuch musiałby spowodować, i że wszystko – zarówno dostępne badaczom elementy wraku, jak i badania ekshumowanych na polecenie prokuratury zwłok – wskazuje na klasyczną katastrofę komunikacyjną. Problemem PiS, i to coraz poważniejszym, jest, że opowieść o zamachu, podyktowana przez Antoniego Macierewicza, zwyczajnie nie trzyma się kupy i do wykazania tego wystarczy elementarny zdrowy rozsądek.

Sam Macierewicz i jego zwolennicy skupiają się bez reszty na kwestiach szczegółowych, w których człowiekowi niekształconemu w materiałoznawstwie łatwo się zagubić i łatwo ulec wmówieniu. Ale pozostawmy na chwilę na boku niezliczone zdjęcia krawędzi porozrywanych blach i szkice rozproszenia po terenie katastrofy szczątków, a spójrzmy na sprawę szerzej. Dwa wybuchy – to podstawowe hasło, z wierności któremu egzaminują się dziś skłóceni pisowcy. Dlaczego dwa? Nigdy w dziejach lotniczych zamachów nie trafił się jeszcze terrorysta, który by podłożył w samolocie dwie bomby; płatowiec to konstrukcja filigranowa i jeden niewielki ładunek wybuchowy wystarczy do jego zniszczenia aż nadto. Dwa to tylko podwójne prawdopodobieństwo wykrycia bomby podczas rutynowej kontroli pirotechnicznej, którą każdy samolot przechodzi dziś przed startem, a czułość elektronicznych „nosów" wykrywających cząsteczki niebezpiecznych substancji od czasu Lockerbie znacznie wzrosła. Tymczasem owe dwie bomby podłożone być miały miesiąc wcześniej, podczas ostatniego przeglądu obu rządowych samolotów w Samarze, musiały więc niezauważone umknąć wielu takim kontrolom. Co i tak byłoby mniejszym cudem niż fakt, że sprawca zamachu wiedział, którym z dwóch tupolewów poleci za miesiąc prezydent, a którym premier Polski, choć ten ostatni decyzję o rozdzieleniu wizyt podjął dopiero dwa tygodnie później. A może na wszelki wypadek podłożył bomby w obydwu maszynach? Co w takim razie stało się z tymi z drugiego tupolewa?

Jedyne wyjaśnienie, skąd w pracach komisji pojawiły się dwa wybuchy, nie

eprasa.pl 7580d17964

jeden, jest takie, że jeden nie rozsypałby szczątków maszyny w odnotowany, wachlarzowaty sposób. Na tę wątpliwość wyznawcy mitu o zamachu odpowiadają szyderstwami o „pancernej brzozie". Ale uderzenie skrzydłem w brzozę było wszak tylko jednym z wielu zderzeń z kolejnymi drzewami (nie rosła ona przecież samotnie) i założenie, że chaotyczny układ odłamków jest wypadkową tych zderzeń, a nie dwóch wybuchów, jest o niebo rozsądniejsze. Jeśli nie mamy tu do czynienia z naginaniem faktów pod z góry założoną tezę, to już nie wiem, co by zasługiwało na taką nazwę.

PREZENT TUSKA DLA PUTINA

Zakładając jednak, że na pokładzie istotnie umieszczono dwie bomby – co miało się właściwie z nimi stać? Kiedy i w jaki sposób miały być zdetonowane i dlaczego wybuchły właśnie wtedy, gdy samolot zszedł ze ścieżki lądowania i znalazł się nad zarośniętym drzewami obniżeniem terenu 100 metrów od niej? Jak zdołał domniemany sprawca zamachu przewidzieć na miesiąc z góry tak dogodną sytuację do zdetonowania ładunków i jakim magicznym detonatorem się posłużył, by ją wykorzystać? Bo przecież gdyby w feralnym dniu nie było mgły, rozpad samolotu w powietrzu widziany byłby zewsząd, a możliwe nawet, że sfilmowany przez którąś z towarzyszących wizycie telewizji. Poza tym żadne bomby nie tłumaczą, dlaczego tupolew nadlatywał po ścieżce równoległej do pasa, na którym miał wylądować, zamiast w jego osi. Według Michała Fiszera, doświadczonego pilota i eksperta, popełniono głupi błąd, wprowadzając do amerykańskiego systemu nawigacyjnego dane zdjęte z rosyjskiej mapy, opartej na innym odwzorowaniu kartograficznym. Tupolew leciał tak, jak leciał, bo piloci widzieli go na przyrządach o ok. 100 metrów bardziej na północ, niż był w istocie. Gdyby nie mgła, skorygowaliby pomyłkę bez trudu. Gdyby Rosjanie naprowadzali samolot właściwie, gdyby mieli tam nowoczesny system ILS, jak kilka dni wcześniej, podczas wizyty Donalda Tuska i Władimira Putina, a nie tylko własne oczy i jakiś – podobno – muzealny radar z błędem plus minus trzysta metrów, nic by się nie stało.

Gdyby z kolei małostkowość i brak politycznego rozumu, którymi wykazał się w tym historycznym momencie Tusk, nie skłoniły go do odrzucenia rosyjskiej propozycji wspólnej komisji śledczej, do zignorowania faktu, że jako maszyna specjalna, wojskowa, rządowy tupolew nie podlegał konwencji chicagowskiej, a tym bardziej załącznikowi do niej, przebieg wydarzeń zostałby wyjaśniony wiele lat temu i mielibyśmy sprawę za sobą. Ale Tusk panicznie bał się, żeby tragedia się do niego nie przykleiła i nie doprowadziła do utraty władzy, dlatego wykoncypował sobie, że jak wszystko odda Putinowi i obieca mu, że nawet nie pozwoli otworzyć w Polsce trumien, to rosyjski (wówczas) premier sam najuważniej zadba o to, by odsunąć od swego kraju wszelkie podejrzenia. Była to skrajna głupota: Putin szybko zorientował się, jak fantastyczną okazję otrzymał, i nie zmarnował jej. Upokarzając Polaków przejęciem wraku i zaoraniem miejsca tragedii bez elementarnych badań, prowokacyjnym raportem Tatiany Anodiny, wypuszczaniem części ze śladami trotylu i zdjęć z profanowania zwłok, powrzucanych do trumien byle jak, po trzy nogi w jednej, za jednym zamachem na długo podgrzał emocje wojny polsko-polskiej do czerwoności i pokazał całemu światu, a zwłaszcza obszarowi posowieckiemu, że każdego swego wroga, choćby był prezydentem kraju NATO z całą swą generalicją, dopadnie i zabije, tak jak zapowiadał, „nawet w kiblu", i nikt mu nic nie zrobi.

Dlaczego PiS nie domagał się prawdy, tylko poszedł w zamach? Bo ktoś – sam Jarosław Kaczyński najprawdopodobniej – stwierdził, że ujawnianie, jaką szaloną improwizacją był ów lot i ile przepisów bezpieczeństwa beztrosko zlekceważono, rzuci cień także na nieżyjącego prezydenta. Zamach pozwalał wszystkie niekorzystne okoliczności pominąć, a zarazem śmierć Lecha Kaczyńskiego i całej delegacji uwznioślić. Narodowy bohater nie może ginąć wskutek skumulowania się polskiego bałaganu z rosyjskim bardakiem i niekorzystnej pogody, która odegrała rolę słomki przetrącającej grzbiet wielbłąda. Narodowy bohater musi dla narodu polec. „Polegli pod Smoleńskiem" – to brzmi zupełnie inaczej, niż „zginęli śmiercią tragiczną". Tylko że jest zwykłym fałszem. Byłoby nadużyciem, nawet gdyby przyczyną katastrofy rzeczywiście była bomba – nikt przecież nie mówi o „poległych w World Trade Center" czy innym zamachu: to słowo przysługuje wyłącznie tym, którzy w imię wyższych wartości świadomie podjęli ryzyko śmierci, a nikt nie spodziewał się w locie do Smoleńska takiego ryzyka, wszyscy zamierzali na kolację być w domu.

Niestety, na tym fałszerstwie i na micie swego poległego bohatersko brata postanowił Jarosław Kaczyński zbudować tożsamość nie tylko PiS, lecz także całej przyszłej Polski, którą zamierzał, po wyrwaniu jej z rąk współczesnej targowicy, zbudować wedle romantyczno-patriotycznego wzorca. Lech Kaczyński stanąć miał w narodowym panteonie obok Józefa Piłsudskiego, Romualda Traugutta, księcia Józefa Poniatowskiego i Tadeusza Kościuszki. Jako człowieka trudno za to Jarosława Kaczyńskiego potępiać. Jako polityka – trzeba. Wiara, że da się mitem zamachu smoleńskiego „przebudzić" społeczeństwo i je, wedle wskazania Juliusza Słowackiego, „w aniołów przemienić", była po prostu przejawem kompletnego oderwania od społecznych realiów i od czasów.

Problemem PiS, i to coraz poważniejszym, jest, że opowieść o zamachu smoleńskim, podyktowana przez Antoniego Macierewicza, zwyczajnie nie trzyma się kupy i do wykazania tego wystarczy elementarny zdrowy rozsądek

BRNIĘCIE W CORAZ WIĘKSZY RADYKALIZM

Ale w partii neosanacyjnej nikt przecież nie odważył się zwrócić Komendantowi uwagi, że brnąc we wmawianie Polakom zamachu, stopniowo zamienia tragedię w groteskę. Że komisja Macierewicza, usiłując udowodnić za wszelką cenę oczywistą nieprawdę (kto jest otwarty na tę dyskusję, niech sięgnie po książkę byłych członków tej komisji „W innym świecie – za kulisami Podko-

eprasa.pl 7580d17964



Antoni Macierewicz, Mateusz Morawiecki, Jarosław Kaczyński jeszcze w jednej partii

FOT. DAWID WOLSKI/EAST NEWS

misji Smoleńskiej" lub po świadectwo Glenna A. Jørgensena), kompromituje nie tylko PiS, lecz także wszelkie, uzasadnione przecież, wątpliwości wobec ustaleń Anodiny i Laska – a nieszczęsna comiesięczna szarpanina z jakimiś patologicznymi zadymiarzami pod smoleńskim pomnikiem pogrąża pamięć narodowej tragedii do reszty.

Liczni natomiast zdali sobie sprawę, że kultywowanie smoleńskiej poprawności jest drogą do łaski prezesa, a tym samym do partyjnej kariery. Jeszcze liczniejsi zaś uznali – że lepiej milczeć, na miesięcznicach stać w tylnych szeregach i się nie wychylać, i generalnie udawać, że sprawy nie ma, licząc, że z biegiem czasu i w miarę, jak Macierewicz posuwa się w latach, jakoś przyschnie. Nie przyschła – i choć wśród powodów tak licznego odejścia za Morawieckim nikt nie wymieniał zaplątania partii w chybioną narrację, to wiele wskazuje, że była ona jednym z istotnych czynników rozłamu.

Ponadto w żelaznym elektoracie PiS domaganie się „prawdy o zamachu" istotnie stało się częścią politycznej tożsamości. Argumenty, które streściłem wyżej, a które mnie wydają się zdroworozsądkowe, wśród części odbiorców „prawicowych" mediów budzą nieodmiennie furię – typowy objaw psychologicznego wyparcia i podświadomej obrony przed „dysonansem poznawczym". Kiedy raz „zawiesiło się niewiarę", dużo łatwiej każdego, kto kwestionuje tożsamościową tezę, uznać za wroga i agenta, niż przyznać się do błędu. Z kolei kultywując wiarę w zamach, można już tylko brnąć w coraz większy radykalizm i zamykać się w coraz węższym kręgu ortodoksyjnych wyznawców „jedynej prawdy", jak w sekcie. Swoje mają tu za uszami wspomniane przed chwilą, oddane pisowskiej sprawie media, dla których radykalny przekaz o „drugim Katyniu" był doskonałym sposobem zgromadzenia wokół siebie oddanych i ofiarnych odbiorców.

Trudno teraz się z tego wszystkiego wygrzebać. Ale przecież trzeba, bo brnięcie w nietrafiony mit, którego większość wyborców PiS i innych partii umownej prawicy, nie mówiąc już o większości wyborców w ogóle, zwyczajnie „nie kupuje", jest drogą do zaniku formacji Jarosława Kaczyńskiego. I jej przeciwnicy doskonale o tym wiedzą, podbijając sprawę, jak wyżej wspomniana „Wyborcza". Czy wiedzą państwo, co to takiego „małpia pułapka"? Nazwa budzi skojarzenia niestosowne do tragedii, ale ten właśnie mechanizm, wielokrotnie opisany, działa obecnie przeciwko PiS. Albo rozczaruje tych, którzy najgłębiej mu uwierzyli, albo będzie nadal marniał i słabł.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7580d17964



Z Anną Marią Siarkowską, polityk Konfederacji, przewodniczącą Parlamentarnego Zespołu do spraw Sanitaryzmu w Sejmie IX kadencji
rozmawia Ryszard Gromadzki

Rachunek za COVID



FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

RYSZARD GROMADZKI: W ostatnich dniach przed komisją Kongresu USA zeznawał dr Anthony Fauci, główny architekt lockdownów i ograniczeń praw obywatelskich w Stanach Zjednoczonych, w czasie tzw. pandemii COVID-19. Fauci odmówił odpowiedzi na pytania kongresmenów, zasłaniając się 5. poprawką amerykańskiej konstytucji. Dochodzenia w sprawie działań rządów w okresie COVID-19 trwają także przed parlamentami kilku państw europejskich. W Polsce mamy ciszę. Czy to dlatego, że poza Konfederacją wszystkie pozostałe ugrupowania były po uszy „umoczone" w sanitaryzmie, przejawiającym się łamaniem prawa i wymuszaniem na Polakach obowiązkowych szczepień?

ANNA MARIA SIARKOWSKA: Odpowiedź na to pytanie jest oczywista. Dzisiaj władza jest w rękach ówczesnej opozycji, która popierała działania rządu Mateusza Morawieckiego w zakresie polityki covidowej, prowadzonej z pogwałceniem praw obywatelskich. Koalicja Obywatelska i jej poplecznicy nawoływali wtedy do wprowadzenia paszportów covidowych i usankcjonowania segregacji sanitarnej. Nic dziwnego zatem, że obecnie nie są zainteresowani rozliczeniem łamania prawa w tym obszarze.

W sprawie łamania prawa w okresie COVID-19 mieliśmy do czynienia z klasycznym „porozumieniem ponad podziałami". Poza grupą kilkunastu sprawiedliwych posłów z Konfederacji i Prawa i Sprawiedliwości, wśród których była pani, cała reszta ślepo wspierała sanitaryzm wymierzony w Polaków i gospodarkę. Jak w tym kontekście odebrała pani wypowiedź byłego premiera Mateusza Morawieckiego, który w rozmowie z Bogdanem Rymanowskim oświadczył, że był przeciwny obowiązkowym szczepieniom?

Słuchając go, byłam po prostu zażenowana. Mateusz Morawiecki jako premier był osobą bezpośrednio odpowiedzialną za wdrażanie restrykcji pandemicznych w Polsce. Pilnował, żeby Polska podążała tą samą drogą, którą szły inne państwa na świecie, implementując szalone pomysły proponowane przez Anthony'ego Fauciego czy Światową Organizację Zdrowia. To polityczne rekomendacje międzynarodowe były dla niego realnym punktem odniesienia, a nie oceny polskich niezależnych ekspertów. Obowiązkowe maski noszone przez wszystkich i wszędzie, lockdowny zatrzymujące życie gospodarcze i społeczne, zamykanie Polaków w domach, bez możliwości wyjścia do parku czy lasu czy dezorganizacja systemu ochrony zdrowia dokonana pod hasłem walki z pandemią nie były decyzjami medycznymi, a stricte politycznymi. Oczywiście premier powołał Radę Medyczną, ale pełniła ona funkcję listka figowego dla restrykcji pandemicznych już politycznie uzgodnionych na forum międzynarodowym. Dał się w tym kontekście zapamiętać jako pozbawiony emocji dogmatyk sanitaryzmu, gotowy podporządkować

eprasa.pl 7580d17964

walce z epidemią całe życie społeczne, gospodarcze i religijne w Polsce, a zarazem jako osoba pozbawiona wyrzutów sumienia z powodu tego, że wdrażane przez niego działania, rujnujące polską gospodarkę oraz dewastujące prywatne i społeczne życie Polaków, nie przynoszą żadnych wymiernych efektów. Trzeba to powiedzieć jednoznacznie: Mateusz Morawiecki dążył do wprowadzenia obowiązkowych szczepień na COVID-19, choć publicznie deklarował, że mają zostać dobrowolne. Widać było to po działaniach jego rządu, gdy bez umocowania ustawowego próbowano wprowadzić obowiązkowe szczepienia dla kolejnych grup zawodowych – lekarzy, nauczycieli, studentów szkół medycznych czy służb mundurowych. Morawiecki dążył także do wprowadzenia tzw. paszportów covidowych, czyli dowodu szczepienia, oraz poddania ich rygorystycznej weryfikacji przez pracodawców. Innymi słowy, przygotowywał przepisy, które niezaszczepionych obywateli pozbawiałyby możliwości pracy. Dzisiaj liczy na krótką pamięć Polaków i próbuje wybielać niechlubne karty swojej politycznej aktywności.

Jednak w Polsce nie udało się wprowadzić obowiązkowych szczepień i paszportów covidowych. Oprócz sprzeciwu wielu lekarzy i autorytetów życia publicznego potrzebna była decyzja polityczna. Kto ją podjął?

Rzeczywiście, w Sejmie zorganizowała się grupa posłów, bardzo aktywnie sprzeciwiająca się polityce lockdownów, segregacji sanitarnej i łamaniu konstytucyjnie gwarantowanych praw obywatelskich. Pisaliśmy listy do premiera Morawieckiego, ministra zdrowia Adama Niedzielskiego czy wewnętrznie – do szefa klubu PiS Ryszarda Terleckiego, domagając się rzetelnej debaty publicznej, politycznej czy też zniesienia sanitarnych obostrzeń. Kilkunastu posłów klubu PiS wspólnie z Konfederacją złożyło też projekt ustawy „Stop segregacji sanitarnej", a od marszałek Elżbiety Witek domagało się poddania go procedowaniu. Założyliśmy też Zespół do spraw Sanitaryzmu, jako forum rzetelnej i merytorycznej debaty o pandemii. Najbardziej aktywni w tym obszarze byli posłowie tacy jak Teresa Hałas, Sławomir Zawiślak, Maria Kurowska, z którymi na co dzień w tym obszarze współpracowałam i którzy potrafili zagłosować za zdrowym rozsądkiem, choć wbrew instrukcjom partyjnym. To był poseł Janusz Kowalski, pierwszy polityk z klubu PiS, który wsparł moje wezwanie, by skończyć z szaleństwem lockdownu. Ten wygenerowany w klubie PiS sprzeciw, choć przez władze partyjne odnotowany, okazał się jednak niewystarczający. Gdy dowiedzieliśmy się o tym, że w Sejmie ma być procedowana tzw. ustawa Hoca, sankcjonująca de facto paszporty covidowe jako element weryfikacji przez pracodawców statusu szczepiennego wśród pracowników, wiedzieliśmy, że nie możemy na to pozwolić. Że to przekroczenie przez władzę granicy, której przekraczać nie wolno.

I co wówczas się stało?

11 lutego 2022 r. doszło do naszego spotkania w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów z prezesem Jarosławem Kaczyńskim, pełniącym wówczas obowiązki wicepremierem, i z Mateuszem Morawieckim. Byli tam również obecni Ryszard Terlecki, Zbigniew Ziobro oraz kilkunastu posłów, którzy w różny sposób sprzeciwiali się polityce covidowej rządu. W trakcie owego długiego, bo niemal trzyipółgodzinnego spotkania, wykazywaliśmy bezprawność podejmowanych przez rząd działań i przekonywaliśmy o bezsensie segregacji sanitarnej. Sprzeciwiliśmy się także zdecydowanie obowiązkowym szczepieniom, paszportom covidowym i „ustawie Hoca". Daliśmy panu prezesowi Jarosławowi Kaczyńskiemu jednoznacznie do zrozumienia, że jeżeli te przepisy, mimo naszego sprzeciwu, zostaną wprowadzone, to będzie to dla nas przekroczenie Rubikonu. Innymi słowy, opuścimy klub PiS, a w konsekwencji pozbawiony większości sejmowej rząd upadnie. Świadomi konsekwencji, postawiliśmy więc na szali wszystko. Zadziałało. Na upadek własnego rządu Jarosław Kaczyński nie mógł sobie pozwolić.

Czy z perspektywy wiedzy, którą dziś dysponujemy, decyzje podejmowane w latach 2020–2022 przez premiera Morawieckiego i jego rząd kwalifikują się do pociągnięcia ich do odpowiedzialności? Nie mówię tu tylko o skandalicznej sprawie zamówienia nikomu niepotrzebnych szczepionek przeciw COVID-19 od Pfizera, za które dziś trzeba zapłacić amerykańskiemu koncernowi blisko 6 mld zł. Mam na myśli ponad 200 tys. ponadnormatywnych zgonów, dramatyczne skutki dla zdrowia publicznego czy doprowadzenie do zapaści wielu gałęzi gospodarki.

Pierwszym warunkiem koniecznym uczciwych rozliczeń jest to, aby władza znalazła się w rękach tych, którzy będą chcieli dochodzić sprawiedliwości. Wszystko rozegra się zatem podczas przyszłorocznych wyborów. Kluczowe będzie to, jakie siły polityczne stworzą przyszłą koalicję, która będzie rządzić Polską. Po drugie, musi być to prawnie możliwe. O ile jednak w USA odchodzący prezydent Joe Biden ułaskawił prewencyjnie swojego naczelnego doradcę do spraw medycznych dr. Fauciego, uniemożliwiając pociągnięcie go do odpowiedzialności za politykę covidową, prowadzoną z pogwałceniem praw obywatelskich, o tyle w Polsce bezkarność urzędnicza nie została prawnie usankcjonowana. Rząd Mateusza Morawieckiego starał się wprawdzie to zrobić w marcu 2022 r., gdy w trakcie prac nad ustawą o pomocy obywatelom Ukrainy próbował przemycić poprawkę rządową, wyłączającą odpowiedzialność karną urzędników i funkcjonariuszy publicznych za działania podejmowane m.in. w stanie epidemii. Poprawka jednak została odrzucona. Doszło do tego dzięki poseł Teresie Hałas i posłowi Sławomirowi Zawiślakowi, którzy wspólnie ze mną zagłosowali za przyjęciem poprawki Senatu wykreślającej ten haniebny zapis. Zwyciężyliśmy w tym głosowaniu o włos, bo do wprowadzenia „Bezkarności Plus" premierowi Morawieckiemu zabrakło jednego głosu. Żywię więc nadzieję, że prędzej czy później za dezorganizację systemu ochrony zdrowia, zniszczenie gospodarki i łamanie praw obywatelskich pod hasłem walki z pandemią, ci, którzy podejmowali takie decyzje w Polsce, zostaną pociągnięci do odpowiedzialności politycznej i karnej.

Kiedy na początku naszej rozmowy zapytałem panią, dlaczego w Polsce nikt nie jest realnie zainteresowany rozliczeniem polityków za decyzje pandemiczne, odpowiedziała pani, że wynika to z tego, iż w tej sprawie polski rząd, z nielicznymi wyjątkami, działał ręka w rękę z ówczesną opozycją. Mam jednak wrażenie, że przyczyn braku

eprasa.pl 7580d17964

rozliczeń za COVID-19 można upatrywać także w niechęci społeczeństwa do takiego procesu. Z czego to wynika?

Rzeczywiście, wydaje się, że mamy do czynienia ze zjawiskiem społecznym, polegającym na ignorowaniu, pomijaniu milczeniem czy wręcz próbie wypierania ze społecznej świadomości czasu pandemii. To był czas ogromnej destrukcji życia społecznego, w którym ludzie żyli w ciągłym lęku o siebie i bliskich, o swoją przyszłość. Wielu z nas straciło wówczas swoich bliskich, którzy nie otrzymali koniecznej pomocy lekarskiej z powodu zamkniętych przychodni i szpitali. Wielu potraciło pracę i swoje biznesy wskutek wprowadzonych lockdownów. Perspektywa tzw. nowej normalności, którą na polskim gruncie zaszczepiał osobiście premier Mateusz Morawiecki, działała paraliżująco i destrukcyjnie na psychikę obywateli, bo przekonywano ich, że do normalności nie będzie już powrotu. Jak wielu ludzi wówczas targnęło się na swoje życie? Jak wielu ma problemy psychiczne do tej pory? Ludzie nie domagają się obecnie rozliczenia polityków, bo działa mechanizm społecznego wyparcia traumy, której wówczas doświadczyli. Żądając rozliczenia polityki covidowej, musieliby także przyznać przed samymi sobą, że dali się zmanipulować politykom i mediom, wprowadzić w błąd. Dotyczy to znacznej części naszego społeczeństwa. Nie ma się co jednak temu dziwić, ponieważ był to czas bankructwa autorytetów politycznych, społecznych i niestety także kościelnych. Presji i manipulacji oparło się bardzo niewiele osób i środowisk. A przecież ludzie, podejmując decyzje w obszarach, w których nie mają wystarczającej wiedzy, opierają się właśnie na autorytetach.

Rozliczenia są jednak konieczne, bo konsekwencje podejmowanych działań były dramatyczne. System ochrony zdrowia został kompletnie zdezorganizowany. Ludziom wmówiono, że nie otrzymywali koniecznej pomocy, bo w szpitalach brakowało miejsc. Tymczasem liczby są bezwzględne. Porównując dane z lat 2019 i 2020, dotyczące zajętości szpitalnych łóżek, można zauważyć, że od momentu wybuchu pandemii w marcu 2020 r. poziom zajętości łóżek w polskim systemie ochrony zdrowia spadał. W kolejnych miesiącach zajętość szpitalnych łóżek była niższa w porównaniu rok do roku od kilkunastu do nawet kilkudziesięciu procent. Ogółem zatem w systemie ochrony zdrowia było mniej pacjentów. Czy to znaczy, że ludzie rzadziej potrzebowali pomocy lekarskiej? Oczywiście, że nie. Po prostu nie otrzymywali jej w szpitalach. Wyznaczono bowiem szpitale jednoimienne i to w nich, na oddziałach covidowych, kumulował się cały ruch. Pozostałe oddziały, a nierzadko i całe szpitale, stały właściwie puste. Ludzie zaś nie mogąc otrzymać niezbędnej pomocy ani w szpitalach, ani w zamkniętych przychodniach, umierali w domach. To śmiertelność w domach wzrosła o kilkadziesiąt procent. Taki był efekt działań politycznych rządu Mateusza Morawieckiego w czasie pandemii.

Obowiązkowe maski noszone przez wszystkich i wszędzie, lockdowny zatrzymujące życie gospodarcze i społeczne, zamykanie Polaków w domach, bez możliwości wyjścia do parku czy lasu czy dezorganizacja systemu ochrony zdrowia dokonana pod hasłem walki z pandemią nie były decyzjami medycznymi, a stricte politycznymi

Mateusz Morawiecki, który dziś zaprzecza swojej roli w czasie pandemii COVID-19, buduje właśnie środowisko polityczne, które być może będzie osią przyszłej koalicji. Jak brać za dobrą monetę jego deklaracje wobec ucieczki od odpowiedzialności za decyzje podejmowane w latach 2020–2022?

Brak wiarygodności Mateusza Morawieckiego to jedno. Moim zdaniem groźniejsze politycznie jest jednak wyrażane przez niego przekonanie, że wojna cywilizacyjna, która dziś przetacza się przez Polskę, jest już przegrana i że wobec tego należy się skoncentrować wyłącznie na kwestiach gospodarczych. Takie diagnozy Morawieckiego nie są nowe, mówił o nich posłom już w 2020 r.

A skoro tak, to pewnie należy postawić na dostosowanie się do sił, który budują nowy porządek świata, swoiste aggiornamento...

Dokładnie tak. Polska zaś w tej chwili jest jednym z niewielu krajów na świecie zdolnym do przeciwstawienia się siłom rewolucyjnym, chcącym obalić naszą cywilizację i budującym nowy porządek. O co toczy się ta cywilizacyjna walka? O to, w jakim duchu czyje dzieci wychowa. Polska od momentu przyjęcia chrztu przynależy do cywilizacji łacińskiej. A ona opiera się na trzech filarach – filozofii greckiej, prawie rzymskim i etyce chrześcijańskiej. To ta unikalna synteza ukształtowała kulturę, system wartości i prawa świata zachodniego. Dziś jesteśmy świadkami ataku na porządek właściwy dla naszego świata. Społeczeństwa zachodnie uczone są, że nie ma prawdy obiektywnej, że prawo stanowione (lex), przyjmowane przez władze państwowe, nie jest ograniczone słusznością i sprawiedliwością, tj. zasadami prawa naturalnego (ius), że dobro i zło nie istnieją obiektywnie, bo są jedynie konstruktem społecznym. A skoro to jedynie konstrukt, to nie istnieją czyny obiektywnie złe, lecz jedynie niezgodne z aktualnymi normami, więc moralność może być zmieniana decyzją większości. Rewolucjoniści nowego porządku uznają, że skoro nie ma obiektywnego dobra, to prawo może je dowolnie definiować. W efekcie przyznają państwu prawo do tego, by definiowało rzeczywistość. W ten sposób państwo stawia się na miejscu przynależnym Panu Bogu. Tymczasem my, Polacy, wychowani w cywilizacji łacińskiej, wierzymy, że istnieją prawa, których państwo nie może człowiekowi odebrać. Że moralność nie jest względna i zależna od sytuacji, lecz istnieją stałe drogowskazy, którymi należy podążać. Nasz kręgosłup moralny został ukształtowany przez chrześcijaństwo. To ono definiuje, kim jesteśmy. Tocząca się obecnie walka cywilizacyjna jest zatem znacznie ważniejsza od tego, czy podatki będą wynosić 20 czy 25 proc. Bo to walka o nasz świat. A jak podkreślił niegdyś prof. Ryszard Legutko, Polska jest dziś jednym z niewielu krajów, które mogą ocalić wolność. Bo my, Polacy, wolność ukochaliśmy. I jesteśmy gotowi o nią walczyć. W bitwie cywilizacyjnej, która dziś toczy się w świecie, to właśnie Polacy są na pierwszej linii frontu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7580d17964

Cicha rewolta katolików



Nikt nie jest w stanie oszacować, ilu ludzi zgromadziły jasnogórskie uroczystości w sierpniu 1956 r.

FOT. ARCHIWUM POLSKIEJ PROWINCJI DOMINIKANÓW



Piotr Semka

Prymas Stefan Wyszyński doskonale rozumiał, że brutalna podwójna okupacja lat 1939–1945, a potem następujący po niej 12-letni okres brutalnego stalinizmu pod względem moralnym porównać można jedynie z najgorszymi momentami upadku narodu w okresie najpierw potopu szwedzkiego, a potem rozbiorów. Stąd inicjatywa ponowienia i wypełnienia przez Polaków swoich ślubowań wobec Matki Boskiej

Tegoroczna 70. rocznica odnowienia Ślubów Narodu Polskiego na Jasnej Górze uczczona zostanie dziękczynną Mszą w Klasztorze Paulinów na Jasnej Górze z udziałem czołówki polskiego Episkopatu. Zakonnicy wysłali też zaproszenie na to święto dla prezydenta Karola Nawrockiego.

Jednak znaczenie tamtej duchowej rewolucji sprzed siedmiu dekad wciąż pozostaje zbyt mało uświadamiane w polskiej świadomości zbiorowej. Jest to element szerszego zjawiska. Pamięć o etapach polskiego oporu wobec komunizmu po wojnie była długo kształtowana jedynie przez wybuchy społecznego niezadowolenia, które wydostawały się na ulicę.

Szczególnie ta część opozycji w PRL, która wywodziła się z obozu postmarksistowskiego, całkowicie nie zauważała katolickiej linii oporu duchowego przeciw powojennemu zniewoleniu. Dobrą ilustracją tego zjawiska była opowieść jednego z działaczy Solidarności w Poznaniu, który relacjonował mi kiedyś dyskusje z 1981 r. wokół kształtu pomnika zrywu czerwca 1956 r. Doradcy Solidarności reprezentowali wówczas dwa różne środowiska: tzw. grupę korowską, która poglądami orientowała się na środowisko Adama Michnika i Jacka Kuronia w Warszawie, oraz część, która była pod wpływem środowisk narodowych, m.in. Ruchu Młodej Polski.

Gdy zaczęto zastanawiać się nad kształtem pomnika, ustalono, że postawione zostaną dwa krzyże, a na nich będą widnieć kolejne lata: na pierwszym 1956, a na drugim 1968, 1970, 1976, 1980. Ktoś z konserwatywnych doradców zapytał, co z rokiem 1966. Wtedy przedstawiciele lewicy Solidarności byli szczerze zdumieni. A co takiego się wtedy zdarzyło? – padło pytanie. W odpowiedzi usłyszeli, że uroczystości

eprasa.pl 7580d17964

milenijne pod przewodem prymasa Stefana Wyszyńskiego były taką samą datą protestu jak np. wypadki marcowe 1968 r. Druga strona dalej nie rozumiała, o co chodzi. „Ale to były przecież wyłącznie uroczystości religijne!" – odpowiedziano ze szczerym zdziwieniem.

Nie było w tym żadnej złośliwości, jedynie głębokie przekonanie, że nie sposób porównywać Millennium z wystąpieniami studentów czy protestem robotników Wybrzeża. Gdzieś w tle był też wyniesiony z marksizmu nawyk myślowy stawiający na piedestale wystąpienia proletariatu lub co najwyżej inteligencji przy całkowitym niedocenianiu siły duchowego oporu osób wierzących,

Podobnie sytuacja wygląda z pamięcią o 1956 r. W naturalny sposób najbardziej wysuwa się tu na pierwszy plan bunt poznańskich robotników, za który zapłacili oni krwawą cenę 58 ofiar i 239 osób rannych. Ale w latach 90. środowisko „Gazety Wyborczej" próbowało uczynić równoważny symbol z Października 1956 r. – z wieców i mobilizacji robotników Żerania jako pierwszego punktu tradycji wolnościowej po wojnie. Oczywiście krąg „GW" miał do tego prawo, ale jednocześnie rzucało się w oczy całkowite pominięcie w kontekście tamtej daty wielusettysięcznego zgromadzenia wiernych 26 sierpnia 1956 r. wokół jasnogórskiego klasztoru. To był dzień chóralnego złożenia wierności kolejnym punktom Ślubowania Narodu napisanego w wieszczym natchnieniu przez uwięzionego wówczas prymasa Stefana Wyszyńskiego.

SIŁA BEZSILNEGO

Jesienią 1955 r. prymas Wyszyński przebywał już dwa lata w odosobnieniu, które zwykli Polacy definiowali jako więzienie. Władze PRL, ciągle zaniepokojone wizją jakiejś podziemnej akcji odbicia prymasa z niewoli, stosowały taktykę przerzucania swego więźnia numer jeden do kolejnych klasztorów. I tak po pobycie w Stoczku Warmińskim prymasa przewieziono do byłego Klasztoru Franciszkanów w Prudniku na Opolszczyźnie.

Po przybyciu w to nowe miejsce prymas uświadomił sobie, że decyzja władz rzuciła go na Śląsk Opolski, który w pierwszej fazie potopu w 1655 r., czyli dokładnie 300 lat wcześniej, był miejscem schronienia króla Jana Kazimierza w momencie największego upadku politycznego i moralnego narodu.

W 1957 r., czyli już po uwolnieniu Prymasa Tysiąclecia, tak odtwarzał swoje ówczesne myśli: „Dzieje narodu niekiedy się powtarzają. Czytając »Potop« Sienkiewicza, uświadomiłem sobie właśnie w Prudniku, że trzeba pomyśleć o tej wielkiej dacie. Byłem przecież więziony tak blisko miejsca, gdzie król Jan Kazimierz i prymas Leszczyński radzili, jak ratować Polskę z odmętów. Pojechali obydwaj na południowy wschód, do Lwowa; drogę torowali im górale, jak to pięknie opisuje Henryk Sienkiewicz. Gdy z kolei i mnie przewieziono tym samym szlakiem z Prudnika na południowy wschód, do czwartego miejsca mego odosobnienia w góry jechałem z myślą: musi powstać nowy akt Ślubowań Odnowionych! I powstał właśnie tam, na południowym wschodzie, wśród gór. Tam został napisany i stamtąd przekazany na Jasną Górę. Myśli o odnowieniu Kazimierzowych Ślubów w ich trzechsetlecie rodziły się w mej duszy w Prudniku w pobliżu Głogówka, gdzie król i prymas przed trzystu laty myśleli nad tym jak uwolnić naród z podwójnej niewoli: najazdu obcych sił i niewoli społecznej".

Intuicja Wyszyńskiego była niemal prorocza. Przywódca polskiego Kościoła doskonale rozumiał, że brutalna podwójna okupacja lat 1939–1945, a potem następujący po nich 12-letni okres brutalnego stalinizmu pod względem moralnym porównać można jedynie z najgorszymi momentami upadku narodu w okresie najpierw potopu, a potem rozbiorów.

Na dodatek jeśli ktoś w tym trudnym czasie traktował Kościół jako punkt oparcia, to potem wręcz żenujące zachowanie Episkopatu po aresztowaniu prymasa mogło zachwiać wiarą nawet najsilniejszych duchowo jednostek. Z tej refleksji narodziła się idea odwołania się do najbardziej znanego przykładu inicjatywy odrodzenia duchowego w chwilach beznadziei – ślubów króla Jana Kazimierza z 1 kwietnia 1656 r. Ponieważ ta data nie utkwiła głęboko w świadomości Polaków, prymas na ogłoszenie odnowionych ślubów wybrał 26 sierpnia – mocno już wrośnięte w polską tradycję święto Matki Boskiej Częstochowskiej.

Kolejną okolicznością, która sprzyjała tej idei, był fakt, że grupa najbardziej zaufanych współpracowniczek prymasa przebywających „na wolności", czyli tzw. ósemki, na czele z Marią Okońską, po aresztowaniu prymasa, obawiając się o swoje bezpieczeństwo, zamieszkały za zgodą paulinów na terenie najsłynniejszego sanktuarium Polski. Jasna Góra była także miejscem, o którym nie bez powodu Jan Paweł II wypowiedział słynne słowa: „Tu zawsze byliśmy wolni". Poświadcza to raport częstochowskiego komitetu PZPR skierowany do Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Stalinogrodzie (jak wówczas nazywane były Katowice). „Paulini prowokacyjnie zawiesili obok portretu papieża i opata (Kordeckiego) – portret kardynała Wyszyńskiego".

Ta część opozycji w PRL, która wywodziła się z obozu postmarksistowskiego, całkowicie nie zauważała katolickiej linii oporu duchowego przeciw powojennemu zniewoleniu

Ale był też kolejny element sytuacji, który wpłynął na atmosferę przełomu lat 1955 i 1956. Następował rosnący spadek autorytetu ówczesnego Episkopatu, który pod przewodnictwem bp. Michała Klepacza bardzo stracił w oczach wiernych z racji swojej milczącej akceptacji dla izolowania przez władze kard. Wyszyńskiego. Na tym tle można mówić o zjawisku cichego buntu proboszczów i zakonników. Lud Kościoła w Polsce trwał w cichej wierności wobec aresztowanego przywódcy. Zjawisko to nasilało się tym bardziej, im mocniej Polacy wyczuwali, że kruszy się powoli pozycja ekipy stalinowskiej Bolesława Bieruta. Audycje doskonale znane w Polsce dzięki Radiu Wolna Europa zbiegłego na Zachód pułkownika UB Józefa Światły wywołały w elitach władzy panikę. Polacy zrozumieli, że nadchodzi kres epoki Bieruta. A to jeszcze bardziej umacniało ich w przekonaniu, że jedynym autory-

eprasa.pl 7580d17964

tetem pozostaje prymas. Jego niezłomna postawa skłaniała bardziej chwiejnych i zastraszonych kapłanów do powrotu na drogę uczciwości i odwagi.

AKCJA PÓŁKONSPIRACYJNA

Przez pewien czas prymas przeżywał rozterki. Nie był pewny, czy godzi się podejmować inicjatywę odnowionych Ślubów z więzienia. Sam siebie pytał, czy nie powinien złożyć Ślubów dopiero jako człowiek w pełni wolny. Zmienił zdanie po wizycie w miejscu odosobnienia w Komańczy liderki „ósemek", Marii Okońskiej. Ta, doskonale rozumiejąc znaczenie odnowionych Ślubów, gorąco namawiała go do podjęcia tego wyzwania. „Swoje najpiękniejsze listy św. Paweł napisał właśnie w rzymskim więzieniu" – argumentowała Okońska.

Tekst Ślubów powstał 16 maja 1956 r. Prymas dał go do przepisania jednej z sióstr, która potem spowodowała, że tekst trafił do Częstochowy. I teraz zaczyna się w całej tej historii element najmniej znany, ale najbardziej poruszający. Oto zaczyna się prawdziwa półkonspiracyjna akcja wysyłania z Jasnej Góry listów do polskich parafii w najróżniejszych punktach Polski z zaproszeniami na sierpniowe uroczystości 26 sierpnia 1956 r. O tym, jak wyglądała w praktyce ta przedziwna narodowo-katolicka konspiracja, mówi świadectwo jednej z „ósemek", Jadwigi Jełowickiej.

„Wiadomo było, że śluby [na Jasnej Górze] będą, ale nie mówiono jakie. Wszyscy myśleli, że chodzi o Śluby Kazimierzowe. Marysia [Okońska] postanowiła, że napiszemy list do każdego proboszcza w Polsce, a więc około siedmiu tysięcy egzemplarzy. Pomagały nam siostry, ktoś z poczty dał nam znać, że nie ma mowy, aby taką ilość wysłać z jednego miejsca. Że to zaraz będzie zablokowane. No więc każda z nas wzięła paczkę i pojechałyśmy do różnych miast, by stamtąd listy powysyłać. Ja byłam w Tarnowie i Przemyślu. I raptem 26 sierpnia [1956] cała Polska wali na Jasną Górę".

Historycy, którzy badają dziś archiwa UB, poświadczają, że władze coś podejrzewały na temat obchodów, ale nie znały szczegółów. To swoisty komplement dla tamtej cichej konspiracji proboszczów, którzy ufając jedynie w autorytet jasnogórskich paulinów, zrozumieli, że szykuje się coś niezwykle ważnego, i zmobilizowali grupy chętnych w swoich parafiach do wyjazdu na maryjne sierpniowe święto do Częstochowy. Zachował się raport Wojewódzkiej Rady Narodowej z 20 sierpnia z ostrzeżeniem dla władz Warszawy, że z dużej liczby parafii wybierają się na pielgrzymki do Częstochowy. Pod presją wiernych lokalne dyrekcje z kolei zgodziły się nawet dostarczyć dodatkowe pociągi, aby zaspokoić nagłe potrzeby komunikacyjne. Polacy masowo ruszyli na Jasną Górę. Ilu ich było, zobaczyli dopiero po przybyciu do miasta pod Jasną Górą. Najstarsi Częstochowianie wspominają, że miejski dworzec był wówczas wypełniony gęsto kolejnymi grupami, które wysiadały z przybywających pociągów z całej Polski. Jak wspomina paulin o. Jerzy Tomziński, tłum wypełnił tak gęsto główną trasę z dworca na jasnogórskie wały, że przejście trasy Aleją Najświętszej Marii Panny – z okolic dworca na Jasną Górę – czyli ok. 2 km, trwało prawie tyle samo, co przebycie pociągiem trasy kolejowej z Warszawy do Częstochowy, czyli 2,5 godziny.

MILLENNIUM, POLAK NA TRONIE PAPIESKIM, WYBUCH SOLIDARNOŚCI

Nikt nie jest w stanie oszacować, ile ludzi wówczas przybyło pod Jasną Górę. W jednej z relacji czytamy: „Wszędzie pełno było pielgrzymów. Oblegali wszystkie konfesjonały. W zakrystii spowiadali się księża [...]. Zabrakło konfesjonałów. Księża słuchali spowiedzi na stopniach i w załomach murów. W jednym czasie spowiadało dwustu kapłanów".

Po latach część paulinów, oczywiście przy zachowaniu tajemnicy spowiedzi, dawała znać, jak straszne były niektóre z tych wyznań, szczególnie w wypadku księży. Lata stalinizmu pełne upadków kapłańskich, zgód na współpracę z UB, a nawet łamania pod naciskiem ubeków tajemnicy spowiedzi – wszystko to teraz we wzniosłej atmosferze duchowego obudzenia wyznawane było ze skruchą Bogu.

26 sierpnia 1956 r. o godz. 10 odbyła się Msza pontyfikalna, której przewodniczył bp Michał Klepacz. Tłum wypełniał nie tylko wszystkie błonia, lecz także sięgał głęboko w Aleję NMP. Historyk, prof. Andrzej Paczkowski, szacował po latach liczbę przybyłych pielgrzymów na prawie milion ludzi. Z ust do ust powtarzano sobie, że przy głównym ołtarzu stoi pusty fotel czekający na uwięzionego prymasa Polski, na którym złożono wspaniały bukiet kwiatów. Gdy o godz. 10 rozpoczęła się Msza, dopiero wtedy większość wiernych, a także część biskupów usłyszała, że intencją Mszy jest, aby naród polski ponowił i wypełnił swoje ślubowania. „Aby Polska stała się rzeczywistym królestwem Maryi i jej Syna".

Na zakończenie Mszy nastąpiło uroczyste odczytanie Jasnogórskich Ślubów Narodu Polskiego autorstwa prymasa. Po kolejnych akapitach Ślubów wielusettysięczny tłum uroczyście powtarzał: „Królowo Polski, przyrzekamy". Zwraca po latach uwagę głęboko pedagogiczny tekst prymasa. Poruszał on wszystkie najważniejsze zagrożenia duchowe, przed którymi stawali wtedy Polacy.

Prymas Wyszyński w tym samym czasie za pomocą modlitwy ze swego miejsca internowania w Komańczy łączył się duchowo z zebranymi w Częstochowie. Profesor Paczkowski tak zdefiniował znaczenie tamtego wydarzenia: „Społeczeństwo wciąż obolałe po klęsce Powstania Warszawskiego, po likwidacji przedwojennych elit stało się wielkim niemową. Ale ten niemowa był zdolny do demonstracji siły. To nie był tylko poznański czerwiec. Z raportów bezpieki wyziera rosnące napięcie społeczne. Jego manifestacją była uroczystość odnowienia Ślubów Jasnogórskich [...]. Do Częstochowy przybyło prawie milion pielgrzymów. Czy nie była to milcząca demonstracja u stóp pustego fotela prymasa Polski?".

Dwa miesiące później prymas Wyszyński triumfalnie powrócił do Warszawy, aby prowadzić polski Kościół przez kolejne 24 lata. Ten proces leczenia psychicznych ran Polaków znalazł swój kolejny punkt w postaci obchodów Millennium w 1966 r., a 12 lat później – wypełnienie w powołaniu Karola Wojtyły na tron papieski. Wreszcie w roku 1980 wybuchł ruch Solidarności, który można uznać za ostateczny triumf dzieła duchowego odrodzenia narodu zapoczątkowanego właśnie wtedy, 26 sierpnia 1956 r.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7580d17964



Braden Peters, znany jako „Clavicular”
FOT. INSTAGRAM/@CLAVICULARO

Życie na maksa



Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska

„Maksowanie” wyglądu, zdrowia, relacji międzyludzkich i potencjału finansowego to nowy trend podbijający Internet. „Lifemaxxerzy” chcą doznać spełnienia na każdym polu

Najbardziej atrakcyjnym mężczyzną na świecie, to bardzo obiektywne, a nie oparte na mojej opinii, jest aktor Matt Bomer – stwierdził internetowy influencer, guru „lookmaxxerów” Braden Peters, znany jako „Clavicular”. Zasłynął z pokazywania swojej własnej, fizycznej przemiany. „Przełam schemat dziś albo jutro powtórzy się błędne koło” – zachęca fanów, prezentując zdjęcia „przed” i „po”. Kiedyś zwyczajny, ciemnowłosy chłopak. Obecnie – szeroka, kwadratowa szczęka, wyraźna muskulatura, wybiegi, profesjonalne sesje zdjęciowe i milionowa społeczność na Instagramie. Według forów tzw. manosfery, czyli użytkowników skupionych na problemach i roli mężczyzn we współczesnym świecie (wywodzących się z ruchu inceli, ale to temat na osobny tekst), idealny męski kąt szyjno-bródkowy ma rozwartość od 105 do 120 stopni. Stosunek szerokości do długości twarzy 1:1,8, a oczy powinna dzielić szerokość jednego oka. Choć sylwetka, włosy, zarost i cera są dziś dość proste do modyfikacji, to nie każdy ma naturalnie idealne proporcje. „Lookmaxxerzy” zalecają więc np. ciągłe żucie gumy dla rozbudowania szczęki. W najbardziej skrajnych przypadkach, co dotyczy także „Claviculara”, mężczyźni przyjmują testosteron. Dodatkowo praktykuje się uderzanie młotkiem w szczękę, w celu zmiany jej kształtu na bardziej pożądany. Jaki jest cel „lookmaxxingu”? Najczęściej zwrócenie na siebie uwagi kobiet. Zgodnie z nurtem światopoglądowym „blackpill” (również pochodzącym od inceli”) o powodzeniu mężczyzny u kobiet decyduje głównie wygląd. Pozafizyczne cechy nie mają większego znaczenia. Obok wyglądu ważna jest pozycja społeczna i finansowa, ale to również można osiągnąć dzięki „staniu się najlepszą wersją siebie”. Peters monetyzuje swoją transformację. Za 2,5 tys. dol. sprzedaje „protokoły” dotyczące „facemaxxingu”, postawy i prezencji, „dietmaxxingu”. Swoje produkty reklamuje mocnymi hasłami: „Większość ludzi narzeka na swój wygląd i niczego nie zmienia. Już sama codzienna konsekwencja sprawia, że z automatu wyprzedzasz 95 proc. z nich”; „Genetyka wyznacza twój punkt wyjścia, a nie granicę możliwości. Większość facetów nigdy nie wykorzysta-

eprasa.pl 7580d17964

ła nawet tych 80 proc., na które faktycznie ma wpływ"; „Ludzie traktują cię inaczej, kiedy poprawiasz swój wygląd. Randki, praca, szacunek – wszystko się zmienia. Udawanie, że tak nie jest, w niczym ci nie pomoże". „Treści takich influencerów jak Clavicular wyciągnęły looksmaxxing z niszowych, podziemnych subkultur i uczyniły go zjawiskiem masowym" – zauważa w BBC Ruth Clegg. „Media społecznościowe stworzyły środowiska, w których twarze i ciała są nieustannie oceniane poprzez zdjęcia, polubienia, komentarze i algorytmy. W tym sensie looksmaxxing odzwierciedla szerszą kulturę optymalizacji, w której ciało traktowane jest jako nieustający projekt" – mówi z kolei w rozmowie z portalem TVN24+ francuski antropolog społeczny, Ozan Felix Sousbois.

POCHWAŁA NIEWYGODY

„Lookmaxxing" to tylko początek „maxxowania" życia. Bo dlaczego poprzestać na wyglądzie? „Lifemaxxing" pochodzi od angielskiego „to max out", czyli „wyciśnięcia maksimum". Oczywiście koncepcje brania z życia garściami i wykorzystywania każdej chwili nie są niczym nowym, jednak Internet sprawił, że docierają one do mas, a każda potrzeba znajduje rozwiązanie. W większości w „maksowaniu" codzienności nie ma niczego złego. – Nie chcę wspominać później tego lata jako spędzonego w większości na gapieniu się w telefon. Stawanie się najlepszą wersją siebie poprzez drobne nawyki, budowanie dyscypliny, spędzanie mniej czasu on-line i po prostu bycie obecnym tu i teraz – tak swoją „lifemaxxing era" opisuje w wideoblogu youtuberka Rebekah Joy. – Postanowiłam wejść w lifemaxxing, bo moje zdrowie nie miało się najlepiej. Porównywałam swoje życie do wymarzonego ideału. Dla mnie to proces stopniowego pozbywania się tego, co mnie wyniszcza, i dodawania tego, co sprawia, że znowu czuję się połączona z prawdziwą sobą. Chcę zacząć żyć wymarzonym życiem już teraz – mówi. Jak wygląda jej dzień? Pobudka o godz. 6.20, ścielenie łóżka, zdjęcie założonych na noc wałków. Później Rebekah odbywa sesję z antystarzeniową maską LED na twarz. Kolejne w planie jest pisanie dziennika, jedna z najmodniejszych obecnie pasji, która ma działać terapeutycznie i pomóc ułożyć swoje myśli. Przed pracą koniecznie pożywne śniadanie. Po pracy czas na „meal prep", czyli przygotowanie posiłków na kolejne dni. Rebekah zaleca, aby wrócić do podstaw. – Sen, odżywianie, nawodnienie, ruch – wylicza, wskazując, że codzienna realizacja tych czterech punktów to świetny początek „lifemaxxingu". Influencerka zaleca romantyzowanie swojego życia – kawa w uroczej kawiarni w roboczy dzień, a nie tylko od święta, stylowe dodatki do domu, piknik zamiast zwykłego lunchu. Życie ma być długie i zdrowe, ale też przyjemne. Z kolei Veronika Mark, również na YouTube, opisuje sześć swoich „lifemaxxingowych" nawyków. Jak mówi, pozwalają one zredukować stres i skupić się na sensie życia. Mark radzi, aby wychodzić z domu na zaplanowane spotkanie/do pracy 10 minut wcześniej niż zazwyczaj, dzięki temu obniżamy ryzyko spóźnienia. Stara się czerpać jak najwięcej radości z codziennych nawyków – uprawia „joymaxxing". Influencerka zaleca posiadanie planera, który pomaga uporządkować dzień, a także m.in. regularne sprzątanie przestrzeni wokół nas, co również wpływa na zachowanie porządku. Główny nurt „lifemaxxingu" to rady, które brzmią w większości sensownie (choć – rzecz jasna – dużo łatwiej jest wcielać je w życie bezdzietnym singielkom niż matkom lub ojcom, którzy na dodatek pracują zawodowo). Ciekawym zjawiskiem jest też „frictionmaxxing". „Friction", czyli z języka angielskiego „bariera", „przeszkoda", może być rozwijająca. – „Frictionmaxxing" to świadome zdecydowanie się na większą niewygodę na rzecz rozwijania relacji międzyludzkich. Zamiast zamawiać zakupy w Internecie, idziesz do sklepu spożywczego. Zamiast Ubera wsiadasz w metro, gdzie spotkasz innych ludzi. Firmy technologiczne wmówiły nam, że życie ma być tak proste i wygodne, jak tylko się da. Kiedy pozbędziesz się przeszkód, będziesz szczęśliwy. To kłamstwo – przekonywała w podcaście Jaya Shetty'ego zajmująca się relacjami damsko-męskimi pisarka Logan Ury.

„Lifemaxxing", jak większość wyrosłych w mediach społecznościowych trendów, staje się z czasem karykaturą samego siebie

ŻYCIE ZOPTYMALIZOWANE DO ABSURDU

Jednak „lifemaxxing", jak większość wyrosłych w mediach społecznościowych trendów, staje się z czasem karykaturą samego siebie. Na TikToku można znaleźć mnóstwo nagrań, których autorzy „maksują" najdrobniejsze czynności. Popularny jest „hobbymaxxing", czyli zrobienie z pasji nowej tożsamości. Należy uczynić zastrzeżenie – o ile samo dzierganie czy praktykowanie jogi nie jest niczym złym, to „maksowanie" ich do stopnia, w którym siedzi się z drutami na studenckich wykładach lub wydaje całą wypłatę na markowe ciuchy do jogi, już tak. Nuda stała się passé, a poszukiwanie nowych hobby, najlepiej takich, które wyglądają dobrze na Instagramie, samo w sobie staje się celem. Jednocześnie może być trudno połączyć „hobbymaxxing" z „moneymaxxingiem", czyli wykorzystywaniem każdej szansy dla uzyskania finansowej niezależności. Uważać trzeba na „maksowanie" w zakresie żywienia. Dla większości dorosłych dzienna dawka błonnika to ok. 25–30 gramów błonnika (dokładne zalecenia zależą m.in. od płci, wieku i źródła wytycznych). Jednak i tutaj pojawia się ekstremum, czyli „fibermaxxing". – Większość trendów żywieniowych przychodzi do nas zza oceanu i często są one głupie, jak np. ten, że owsianka jest dla konia. Ale przyszła miła odmiana i pojawił się trend na „maksownie" ilości błonnika w diecie. Jest to trend pozytywny, ale nie bez zagrożeń. Pomimo że nie wchłaniamy błonnika, to jest on dla nas bardzo ważny […], ale u niektórych fibermaxxing może spowodować takie problemy jak wzdęcia, gazy, biegunki lub odwrotnie. Może to się stać szczególnie u takich osób, które są predysponowane do problemów jelitowych. Jeśli z diety opartej na bułkach i parówkach jednego dnia przejdziemy na dietę opartą o kaszę gryczaną i ciecierzycę, to możemy to zrobić zbyt gwałtownie – wyjaśnia popularny na TikToku dietetyk dr Damian Parol.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7580d17964

Feministki z pędzlem



Wystawa „Kwestia kobieca 1950–2025” FOT. ROBERT GŁOWACKI

Wiesław Chełminiak

Według Ewy Kuryluk „sztuka kobiet to temat dynamit”. Bywalcy muzeów mają coraz więcej okazji, by zweryfikować tę opinię

W Gandawie urządzono retrospektywę 40 artystek, żyjących w złotym wieku malarstwa flamandzkiego. Paryż, Malaga, Madryt i Los Angeles składają hołd surrealistkom. U nas dobre recenzje zebrała wystawa „Co babie do pędzla?!” poświęcona twórczości Polek czynnych w drugiej połowie XIX i pierwszej XX w. Rzecz jasna, wabikiem były gwiazdy: Olga Boznańska, Zofia Stryjeńska, Mela Muter, Tamara Łempicka i Katarzyna Kobro. Większość prac sygnowały jednak autorki dziś znane tylko specjalistom.

Już wtedy słyszało się, że ekspozycja w Lublinie, aczkolwiek zajmująca, to zaledwie przystawka. Główne danie zaserwuje zaś stołeczne Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Rzeczywiście, „Kwestia kobieca 1950–2025” jest przedsięwzięciem ambitnym, adresowanym nie tylko do wąskiego kręgu estetów. Nawiązanie do tytułu objazdowej wystawy „Women Artist 1550–1950”, zorganizowanej przed półwieczem przez amerykańskie feministki, sugeruje, że mamy do czynienia z sequelem, dalszym ciągiem narracji o paniach, które doścignęły i wyprzedziły mężczyzn.

Zwiedzających witają dwa artefakty. Pierwszym jest okaleczona socrealistyczna rzeźba Aliny Szapocznikow „Przyjaźń” z 1954 r. (obecność w muzeum dzieła usuniętego z warszawskiego Pałacu Kultury dała asumpt do złośliwych komentarzy). Drugim – świeżutka praca urodzonej w Zanzibarze Lubainy Himid, przedstawiająca żonę Posejdona jako czarnoskórą imigrantkę. Zaiste, imponujący rozrzut stylistyczny i tematyczny.

JAK ZADZIWIĆ PAPIEŻA

Sztuki piękne długo pozostawały domeną płci brzydkiej. Zdarzały się wyjątki od tej reguły, córki artystów lub arystokratki, lecz akademie odmawiały kształcenia niewiast. Amatorkom trudno zaś było porywać się na tzw. wielkie tematy inspirowane grecko-rzymską mitologią, Biblią tudzież literaturą. O prestiżowe zamówienia rywalizowali panowie. Jeszcze w XIX w. marszandzi usuwali z obrazów podpisy artystek w przekonaniu, że odstraszają klientów. Rzecz dotyczyła martwych natur, pejzaży i konterfektów o charakterze prywatnym. Jak na ironię te „drugorzędne” gatunki lepiej zniosły

eprasa.pl 7580d17964

próbę czasu niż monumentalne dzieła, sławiące sojusz ołtarza i tronu.

Jak wiemy, od każdej zasady są wyjątki. W renesansowej Italii damom sprawnie posługującym się pędzlem nikt wstrętów nie czynił. Sofonisba Anguissola zasłynęła z umiejętności odtwarzania na płótnie wspaniałych dworskich strojów. Dzięki hojności dworu hiszpańskiego mogła się utrzymać ze swojej pracy, a nawet pomagać rodzinie. Decydującą rolę w karierze artystki z Cremony odegrali mężczyźni: ojciec, który zadbał o wykształcenie córek, oraz sędziwy Michał Anioł, który udzielił jej fachowych porad. „Gra w szachy", bodaj najsłynniejsze płótno Włoszki, znajduje się w Polsce. Poznańskie Muzeum Narodowe odrzuciło prośbę o wypożyczenie.

Nie pomieszało to szyków kuratorkom wystawy. Wszystko wskazuje bowiem, że od scen rodzajowych wolą autoportrety. Rekordzistka Anguissola popełniła ich aż 13 (dorównując pod tym względem Rembrandtowi). Utorowała drogę Lavinii Fontanie z Bolonii. Ta wyjątkowo pracowita córka freskanta namalowała co najmniej 200 obrazów i urodziła 11 dzieci. Sam papież był pod wrażeniem. Sprowadzony z Rzymu „Autoportret przy szpinecie" to arcydzieło autoreklamy. Lavinia przedstawia się kandydatowi na męża jako panna sympatyczna, niebrzydka, muzykalna i dobrze sytuowana. Puste sztalugi, umieszczone na drugim planie, informują epuzera, że wybranka może zarobić jeszcze więcej.

BEZ GŁOWY, BEZ RAMION

Fontana przyjęła reguły gry ery patriarchatu. Artemisia Gentileschi jawi się jako buntowniczka. Żartobliwe słowa Rzymianki, że ma „duszę Cezara zamkniętą w sercu kobiety", służą za klucz do zrozumienia jej twórczości. Właściwie za jeden z kluczy, drugi to gwałt, którego ofiarą padła jako nastolatka. Według popularnej tezy artystka przez resztę życia dokonywała symbolicznej zemsty na mężczyznach. Jeśli tak, to do ruchu #MeToo mogliby aspirować inni caravaggioniści. Oni również tworzyli dzieła, epatujące cielesnością i okrucieństwem.

Powiedzmy sobie jasno: takie były upodobania ówczesnych mecenasów. Gentileschi malowała kobiety tragiczne. Z 50 przypisywanych jej płócien



Betty Tompkins, „Kobiety słowa" FOT. ALICJA SZULC

siedem przedstawia Judytę, tyle samo Batszebę, sześć – Marię Magdalenę, po trzy – Zuzannę i Madonnę, po dwa – Lukrecję i Kleopatrę. Czy to dowód na sadomasochistyczne skłonności artystki? Pisarka Mia Kankimäki ubolewa, że „feministyczne okulary" zniekształcają wizerunek jej ulubienicy. Tymczasem z zachowanych listów Artemisii wyłania się dama zaradna, nieoczekująca od nikogo współczucia, świadoma swych przewag i ograniczeń. Szybko popadła w zapomnienie, bo naturalizm wyszedł z mody. Dopiero rehabilitacja Caravaggia sprawiła, że w ślad za mistrzem z cienia wychynęli jego naśladowcy.

Płeć Artemisii stała się dodatkowym atutem. W rankingach popularności wyprzedziła Riberę, Honthorsta i Caracciola, na co rynek dzieł sztuki zareagował z entuzjazmem. Dwa miesiące temu niewielki autoportret artystki, wystylizowanej na św. Katarzynę Aleksandryjską, sprzedano na aukcji w Christie's za niemal 6 mln dol. W Wiedniu zaś doszło do zaciętej licytacji o pozbawioną głowy i ramion „Świętą Marię Magdalenę". Płótno, paskudnie uszkodzone podczas drugiej wojny światowej, wstępnie wyceniono na 100 tys. euro. Anonimowy kolekcjoner kupił je za 837,5 tys.

Listę niewiast, które przełamały męski monopol, zyskując powszechne uznanie, uzupełniają: Wenecjanka Rosalba Carriera zwana „królową pasteli", urodzona w Szwajcarii Angelica Kauffmann i Paryżanka Élisabeth Vigee-Lebrun, ulubienica królowej Marii Antoniny, którą do intensywnej pracy zmuszały karciane długi małżonka. W XIX w. widok kobiet stających za sztalugami spowszedniał. Pojawiły się nawet rzeźbiarki.

NAGA BROŃ

Biblią pań zaangażowanych w kulturową rewolucję jest „Historia sztuki bez mężczyzn" Katy Hessel. W księgarniach jest sprzedawana jako „Historia sztuki", pełnego tytułu nie uświadczysz na okładce i grzbiecie, pojawia się dopiero wewnątrz. Autorka od 10 lat walczy na Instagramie i łamach „Guardiana" z płciowym wykluczeniem. To ona nagłośniła fakt, że w londyńskiej National Gallery prace pań stanowią zaledwie 1 proc. kolekcji. Sposobem na zmianę tych proporcji jest marsz przez instytucje. Kobiety coraz częściej zarządzają publicznymi zbiorami. Warszawskie Muzeum Sztuki Nowoczesnej chlubi się, że zatrudnia tylko jednego mężczyznę.

Według Hessel dawne malarki „tworzyły dzieła przełomowe", „przekraczały granice" oraz „przemycały feministyczne treści". Mniemam, że prawda wygląda inaczej. Artyści – bez różnicy płci – byli dziećmi epoki. Ulegali wpływom i panującym trendom, przede wszystkim zaś musieli respektować gust i oczekiwania klientów. Nowatorstwo nie gwarantowało

eprasa.pl 7580d17964

sukcesu, wręcz przeciwnie. Ideałem był obraz efektowny, lecz konwencjonalny. Pragnąc odejść od schematu „żona-muza-modelka", piszący o utalentowanych kobietach wpadli w objęcia prezentyzmu. Historyk stara się unikać oceniania przeszłości ze współczesnej perspektywy. Publicyst(k)a takich zahamowań jest pozbawiony.

Hessel z impetem wyważa drzwi otwarte już jakiś czas temu. W 1985 r. w Nowym Jorku zawiązała się grupa Guerilla Girls. Panie w maskach goryli protestowały przeciw nierówności, piętnując kolegów, którzy wystawiali swe prace w instytucjach celebrujących kulturę patriarchatu. Najsłynniejsze dzieło kolektywu – plakat z pytaniem „Czy kobiety muszą być nagie, by dostać się do Met. Museum?", szydzący z nadreprezentacji żeńskich aktów w galeriach, jest jednym z eksponatów warszawskiej wystawy. Sąsiaduje z pracami artystek feministek, które z golizny uczyniły broń w walce o publicity.

Pięćdziesięcioośmioletnia Lisa Brice, urodzona w południowoafrykańskim Kapsztadzie, „poprawia" twórczość klasyków z zamiarem upodmiotowienia kobiet. Ciemnoskóra Somaya Critchlow z Londynu (rocznik 1993) tworzy miniaturowe wizerunki niekompletnie ubranych, śmiałych dziewcząt. Modelki emanują pewnością siebie także w twórczości Claudette Johnson i Sonii Boyce, uznanych i nagradzanych artystek rodem z Karaibów. Pierwsza para się wielkoformatową grafiką, druga wykłada czarną sztukę i design w stolicy Zjednoczonego Królestwa.

JEST MOC

Hessel ma nadzieję, że tradycyjna narracja, faworyzująca białych samców, trafi na śmietnik historii („trzeba wyciszyć męski hałas"). Za jeden z dowodów nadzwyczajnej kreatywności kobiet uznaje haftowane narzuty. Być może stąd wzięła się obecność na stołecznej ekspozycji tzw. chusteczek zalotnych, którymi na początku XX w. opoczyńskie panny obdarowywały zalotników. O „malarstwie igłą" z pogardą wypowiadał się sir Joshua Reynolds. Słowom założyciela brytyjskiej Royal Academy of Arts kłam zadała Faith Ringgold – córka krawcowej, urodzona w nowojorskim Harlemie. Zaangażowana



Vanessa German, „Krew i zwierzęta, lustro i niebo: Oda do niewysłowionej prawdy istnienia" FOT. MUZEUM SZTUKI NOWOCZESNEJ

w zwalczanie rasizmu i seksizmu rozgłos zawdzięcza wizerunkowi amerykańskiej flagi, z której kapie krew, oraz plakatom z napisem „WOLNOŚĆ KOBIET JUŻ".

W wieku dojrzałym odkryła nowe medium: tkaninę. Do Warszawy sprowadzono jedną z „kołder narracyjnych" zmarłej dwa lata temu artystki. To patchwork, ozdobiony portretami abolicjonistów tudzież prekursorów czarnego nacjonalizmu. Narzuty z motywami autobiograficznymi i biblijnymi są natomiast specjalnością Yvonne Wells z Alabamy (rocznik 1939). Jedyną Polką wspomnianą w książce jest Alina Szapocznikow, zapewne dlatego, że zrobiła międzynarodową karierę. Na wystawie prac rodaczek mamy sporo, zwłaszcza w sekcji Autoportrety. Uwagę zwracają Nikifor w spódnicy, czyli Maria Korsak, tudzież Ewa Kuryluk upozowana na kobietę nowoczesną (z papierosem w ustach i za kierownicą samochodu).

Znalazło się nawet miejsce dla salonowej lwicy – Łempickiej. Co prawda, nasza krytyka jeszcze niedawno postponowała twórczość „baronowej z pędzlem", jednak „Głowa Jana Chrzciciela" dialoguje z innymi eksponatami: sprowadzoną z Chicago nagą „Salome" Maceny Barton tudzież z pracą Cindy Sherman, która utożsamiła się ze starotestamentową Judytą. Pamiętajmy, że podstępna zabójczyni śpiącego wodza Holofernesa jest dla feministek „alegorią kobiecej sprawczości". Na szczęście karą dla męskiego szowinisty nie musi być dekapitacja. Współczesne damy, choć pamiętliwe, mają w sobie więcej empatii niż skłonności do brutalnej przemocy.

Brytyjska malarka Celia Paul, związana za młodu z portrecistą Lucianem Freudem (wnukiem Sigmunda), pozowała mu do aktu. Wiązało się to z pewnym dyskomfortem. „Czułam się tak, jakbym była u lekarza albo w szpitalu, a nawet w kostnicy" – wspominała ten epizod. Mistrz był o 37 lat starszy, miał tuzin dzieci pozamałżeńskich, ale była uczennica dopiero w 2022 r. zrewanżowała mu się „Duchem dziewczyny z jajkiem". Freud już tego nie doczekał.

WALKA Z TRUPEM

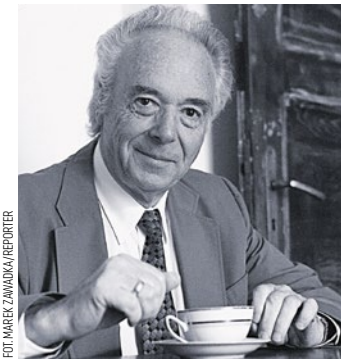
Artystki feministki, idąc w ślady awangardy z początku XX w., angażują się w politykę i różne protesty. Walczą o „inkluzywność i sprawiedliwość społeczną", a także o państwowe dotacje. Cóż, doświadczenie podpowiada, że akcje afirmatywne pomyślane jako zadośćuczynienie za historyczne krzywdy rzadko osiągają cel. W PRL dodatkowe punkty przyznawane za pochodzenie nie wystarczyły, by uczelnie zostały zdominowane przez potomstwo chłopów i robociarzy, ogarniętych marksistowsko-leninowskim szałem. Rasizm w Ameryce ma się dobrze, a niektórzy twierdzą, że coraz lepiej.

Estetyczny rewizjonizm też zakończy się klęską. Odkrycie i wylansowanie nawet tysiąca zapomnianych malarek niczego nie zmieni. Tworzyły przecież w tym samym duchu, co płeć brzydsza. Poza tym oddziaływanie społeczne sztuk plastycznych jest dziś, z różnych przyczyn, znikome. Artyści dobrze o tym wiedzą, więc chcąc zwrócić na siebie uwagę, skandalizują lub odwracają kota ogonem. Faith Ringgold i jej koleżanki uznały, że kobiety zasługują na „coś więcej niż tylko miejsce za plecami jakiegoś przyzwoitego faceta". Można to zrozumieć. Pastwienie się nad zwłokami patriarchatu, bardzo rzucające się w oczy na warszawskiej wystawie, prowadzi jednak donikąd. Dawne osie kulturowych konfliktów się zdezaktualizowały. Sztuka nie goni już za ideałem piękna ani nie próbuje imitować rzeczywistości. Walczy o przetrwanie w coraz mniej życzliwym dla niej świecie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7580d17964

Kto nam wtedy grał, pamiętasz może?



FOT. MAREK ZAWADKA/REPORTER



Krzysztof Masłoń

W wieku 93 lat zmarł w Warszawie jeden z najbardziej uroczych ludzi, których w życiu poznałem – Jarosław Abramow-Newerly, prozaik, dramaturg, scenarzysta, radiowiec, kompozytor i autor tekstów. Współzałożyciel STS (legendarnego Studenckiego Teatru Satyryków) i redaktor naczelny powstałego na fali odwilży po październiku 1956 r. tygodnika „Od Nowa", zamkniętego przez komunistyczne władze za rzekome, bagatela, naruszenie polskiej racji stanu. Twórca tak świetnych, w dużej mierze wspomnieniowych książek, jak „Lwy mojego podwórka" (2000) i „Lwy wyzwolone" (2003) czy sztuk „Anioł na dworcu" (1962) i „Derby w pałacu" (1966). W jego dorobku są takie piosenki jak „Piosenka o okularnikach", „Widzisz mała" i „Mówiłam żartem", skomponowane do słów Agnieszki Osieckiej.

Ale na koncie Jarka znalazły się też utwory w pełni autorskie (muzyka i tekst), jak dziwnie nostalgiczny numer wykonywany przez Irenę Santor i Jerzego Połomskiego „Wszystko prawie tak jak w starym kinie", którego tekst („Przez zniszczony plac i ruin morze / Kto nam wtedy grał, pamiętasz może?") koresponduje z tym, co mówił autor po wydaniu „Lwów wyzwolonych": „Już nie zdajemy sobie sprawy, jak to miasto wyglądało. Nie było żadnego całego mostu, wszędzie chodziło się pieszo, niezburzony Mokotów był enklawą. Na terenie getta rosły góry gruzu. Na ulicy Muranowskiej […] stał samotny, pięciopiętrowy dom, reszta była pustynią aż do placu Bankowego. Każdy przyzwoity człowiek brał się do odbudowy i nie było ważne, kto nią kierował: diabeł czy komuniści. Chodziło o naszą Warszawę".

To była jego Warszawa, jego Żoliborz, gdzie się wychował, przeżył okupację niemiecką i do którego wracał z dalekiej Kanady, dokąd pojechał w latach 80. W ślad za swoją żoną Wandą (zmarłą w roku 2016), która otrzymała tam stypendium naukowe. W Toronto przez jakiś czas redagował „Związkowca", tam też publikował felietony zebrane później w tomie „Pan Zdzich w Kanadzie" (1991). Do Polski pisarz przyjeżdżał regularnie. Dbał też Jarek o pamięć o ojcu, znanym pisarzu Igorze Newerlym.

Status książki absolutnie wyjątkowej uzyskały w Warszawie „Lwy mojego podwórka". Marek Nowakowski tak pisał o nich: „Autor przywołuje malowniczą wyrazistą galerię mieszkańców swojego małego świata, poczynając od woźnej z przedszkola. Janiny Bierutowej (tak, tak, małżonki przyszłego prezydenta Polski Ludowej), sąsiada i cichego adoratora matki, Teodora Cołojewa, dumnego czerkiesa z Kaukazu, po rotmistrza Pileckiego, bohatera Polski Podziemnej".

Jarkowi zdawało się, że świadectwo zawarte w jego książce stanie się podstawą do pośmiertnego nadania Witoldowi Pileckiemu medalu Sprawiedliwy wśród Narodów Świata, przyznawanego przez jerozolimski Instytut Yad Vashem za pomoc ukrywającym się Żydom. „Jak napisałem w »Lwach…« – wyjaśniał – Witold Pilecki uwolnił mnie i moją Mamę od prześladowań żydowskiego szmalcownika Saula, który groził nam wydaniem w ręce gestapo, jeśli nie otrzyma odpowiedniej zapłaty. Szantażowana Mama powiadomiła o tym Majora i ów szmalcownik zniknął z naszego życia. Byliśmy uratowani. Najpewniej na rozkaz Majora został przez podziemie zlikwidowany".

Okazać się jednak miało, że świadectwo w Jerozolimie uznane zostało za niewystarczające – zastanawiam się, czy gdyby szmalcownik nie był narodowości żydowskiej, trudności byłoby może mniej. A jako komentarz do całej sprawy niech posłużą słowa Jarka:

„Nigdy nie przypuszczałem, że skromny pan w cywilu, nienoszący się po wojskowemu jak inni chłopcy z konspiracji w bryczesach i oficerkach, którego poznałem na obiadach w mieszkaniu Palińskich w 1943 r., będzie kiedyś tak sławny, a moje spotkanie z Nim okaże się tak ważne. Ten przykład najlepiej świadczy o tym, że warto pisać o ludziach, których się kiedyś poznało, bo nigdy nie wiadomo, co się po latach z nimi stanie".

No cóż, gdy przedłużył sobie pobyt w Paryżu, to zamieszkał w Maisons-Laffitte, w domu „Kultury", zaprzyjaźniając się z Zygmuntem Hertzem. Z kolei na włoskim festiwalu w Spoleto podpuszczony przez kolegów ze Zbigniewem Herbertem na czele tańczył z żoną Luisa Armstronga, a nawet imitował trębacza w jego orkiestrze, w „Le Monde" zaś – jak pisał – „[…] stało jak byk, że znany polski satyryk Monsieur Jarosław Abramoff, bawiący obecnie w Paryżu, został przyjęty przez księżnę Grace i księcia Rainiera III na specjalnej prywatnej audiencji w ich pałacu w Monako".

Niespecjalnie dziwiło więc, że w nagrodę za te zagraniczne występy cofnięto mu paszport. Na osiem lat. Chciał nie chciał, musiał zabrać się poważnie do pisania. Ale niczym stachanowiec rozpisał się dopiero w Kanadzie, czego plonem stała się trylogia, powiedziałbym kanadyjsko-ukraińska, a może inaczej, po prostu, kresowa: „Nawiało nam burzę" (2000), „Granica Sokoła" (2001), „Młyn w piekarni" (2002).

Pasjonująco potrafił opowiadać o czasie mu danym. Prawdziwie, ale zawsze ze swadą i z tym jedynym niepowtarzalnym uśmiechem, gdy pytał, jak w cytowanej już tutaj piosence:

Gdzie ten dziwny świat i tamta era
Gdy do tańca grał zespół Cajmera
A w miłości naszej nie był tylko tłem
Kandelabr z MDM? ©℗

eprasa.pl 7580d17964



Katastrofy popularnych franczyz hollywoodzkich niczego nikogo nie nauczyły FOT. COLIN HUTTON

Dziewczyny górą?



Piotr Gociek

Twórcy „Teda Lasso" robili przez długi czas serial zabawny i wzruszający. Teraz, niestety, postanowili zrobić serial słuszny

Przy okazji premiery pierwszego sezonu serialu „Ted Lasso" pisałem na łamach „Do Rzeczy" (nr 39/2020): „Apple TV+ ma w dłoniach skarb, który odpowiednio pielęgnowany może zamienić się w sukces rozciągnięty na kilka telewizyjnych sezonów". Tak też się wydarzyło, świat ogarnęła lassomania, nawet na trenera piłkarskiego Adriana Siemieńca z sukcesami prowadzącego Jagiellonię Białystok niektórzy zaczęli wołać „Ted Podlasso" – bo z Podlasia i równie sympatyczny oraz znający się na ludzkich charakterach jak telewizyjny oryginał.

IDEOLOGICZNE ZACIETRZEWIENIE

Wszystko to kończy się w kiepskim stylu – po trzech sezonach, z których dwa pierwsze były świetne, a trzeci kontrowersyjny, przyszła pora na premierę sezonu czwartego, który poprzednim nie dorównuje. Gdyby tylko chodziło o spadek formy scenarzystów, można byłoby machnąć ręką. Kłopoty z nowymi odcinkami są jednak symptomem choroby poważniejszej – ideologicznego zacietrzewienia i politycznej perswazji, które królują w Hollywood. Twórcy „Teda Lasso" robili przez długi czas serial zabawny i wzruszający. Teraz postanowili zrobić serial słuszny.

Wróćmy na chwilę do prapoczątku, bo jest on iście amerykański. Ted Lasso pojawił się po raz pierwszy w reklamówce nagranej dla NBC Sports i wcale sympatii nie budził. Z zawodu trener futbolu amerykańskiego, trafiający jednak do Anglii, by uczyć futbolu europejskiego, a przy tym arogancki, gadający bzdury, po prostu irytujący. Na potrzeby serialu postać przerobiono, i to mocno. To zresztą stało się kluczem do sukcesu. Irytujących trenerów gadających bzdury i symbolizujących tym samym tępotę środowiska sportowego bywało na ekranie wielu. Ted okazał się bohaterem z zupełnie innej bajki. W czasach, gdy w streamingu i w telewizjach królują cynizm, autoparodia, rutynowa przemoc i postmodernizm, naraz dostaliśmy gościa, który ma dobre intencje, troszczy się o innych, sam jest wrażliwcem, a w dodatku swoją rolę jako trenera rozumie w sposób staromodny: najpierw ma uczynić ze swoich podopiecznych lepszych ludzi. Dopiero potem lepszych sportowców.

I staje się cud: Ted wynajęty, by w Anglii trenować fikcyjny zespół Premier League AFC Richmond, zamiast katalizatorem katastrof staje się fundamentem sukcesu wielu osób – od właścicielki klubu, po gościa od noszenia pachołków za piłkarzami. A przecież była to pułapka: Rebecca Welton (Hannah Waddingham) od swego niewiernego męża wydębiła podczas rozwodu grubą gotówkę oraz klub piłkarski, który z zemsty na swoim byłym postanowiła doprowadzić do ruiny. Stąd szatański pomysł ściągnięcia do klubu kompletnego ignoranta.

Jason Sudeikis, doświadczony komik i aktor, stał się doskonałym odtwórcą roli

eprasa.pl 7580d17964

Teda Lasso. Wszystko zależało od jego charyzmy i uniósł trudne zadanie. Stał się symbolem telewizyjnego bohatera pozytywnego trzeciej dekady XXI stulecia. Ukoronowaniem światowego sukcesu tej komedii stał się występ Sudeikisa – oczywiście jako Teda Lasso – w przerwie finału mistrzostw świata w piłce nożnej. U boku Madonny, Shakiry, BTS, Justina Biebera, Ronaldo i Ronaldinho. Robi wrażenie.

LEKCJE ŻYCIA

Skoro było tak dobrze, to czemu nagle jest tak źle? I na czym polega katastrofa? Wróćmy do oryginalnej historii, przedstawionej w pierwszych trzech sezonach. Ted Lasso nie tylko przechodzi przyspieszony kurs futbolu brytyjskiego, lecz także musi radzić sobie z rozpadem małżeństwa, tęskni za synem mieszkającym z matką w Ameryce. Mimo wszystko dochodzi do ładu sam ze sobą, a na otaczające go postacie ma wpływ wręcz zbawienny. Wszyscy wokół właśnie dzięki lekcjom życia wedle Teda Lasso odkrywają, co sprawiało, że byli nieszczęśliwi, co robili źle, jakie nawyki zmuszały ich do powtarzania błędów przeszłości. Nieszczęśliwa i zgorzkniała właścicielka klubu staje się dumną, pełną energii i optymizmu bizneswoman. Gasnący boiskowy twardziel Roy Kent uczy się panować nad swoim wybuchowym temperamentem i z zawodowego ponuraka staje się mądrym mentorem dla innych. Młody, arogancki i bezczelny bawidamek, napastnik Jamie T, odkrywa zalety gry zespołowej, a pomiatany przez poprzednią ekipę chłopak od czyszczenia sprzętu okazuje się samorodnym geniuszem piłkarskiej taktyki itd.

Sam Ted Lasso też pobiera od innych ważne lekcje, które prowadzą jego historię do logicznego finału: swoje zadanie wykonał, klub AFC Richmond ocalił, pokazał innym, jak być dobrym człowiekiem – teraz czas na naprawę własnej rodziny. W finale trzeciego sezonu podejmuje więc decyzję o powrocie do Ameryki, by czas poświęcany dotąd obcym ludziom poświęcić wreszcie własnemu synowi. Historia ma logiczny, wzruszający finał, jest, jak należy, słodko-gorzka, świat stał się lepszym miejscem, bo drogi bohaterów serii się skrzyżowały. Oby tak zawsze w prawdziwym życiu!

Ano właśnie. W prawdziwym życiu wiadomo – liczą się pieniądze. Bardzo szybko (już po sezonie drugim „Teda Lasso") zaczęły się dyskusje na temat możliwych sequeli, prequeli i spin-offów. Koncepcji pojawiło się wiele, niemal każdy z mocno zarysowanych bohaterów drugiego planu mógł unieść osobną serię: na pewno srogi Roy Kent, na pewno najbliższy współpracownik Teda, czyli ekscentryczny trener Beard. Igrano nawet z koncepcją osobnej serii o wspomnianym już domorosłym taktyku imieniem Nate. Minęły trzy lata i dostaliśmy to samo, ale inaczej. Niestety, w tym przypadku „inaczej" oznacza dużo gorzej.

BIEDNE DZIEWCZYNKI

Ted Lasso pracuje w supermarkecie: wykłada towar, pomaga przy kasach, doradza klientom. Szok jest spory – zamiast inspirującego przywódcy widzimy faceta pogodzonego z życiem, by nie powiedzieć: przegranego. W całości poświęcił się opiece nad synem. Rola rodzica – ważna rzecz. Ale czy musi oznaczać rezygnację ze wszelkich ambicji? Z Wielkiej Brytanii przybywa niespodziewana odsiecz: Rebecca, Higgins (dyrektor klubu) i Keeley (szefowa marketingu i promocji) lecą do Kansas City, by ponownie zaproponować trenerowi pracę. Założyły żeńską drużynę futbolową i chcą, by się nią zaopiekował.

Pomysł jak pomysł – problem z wykonaniem. Pamiętacie film „Podkręć jak Beckham" (2002)? Był świetny. Kilka lat temu powstał ciekawy dokument „Destined to Play: The Untold Story of Saudi Women's Football" (2023). Ale zaraz, zaraz… Czy naprawdę współczesny Zachód to miejsce, w którym dziewczynki prześladowane są przez opresyjny patriarchat niepozwalający im trenować – tak jak w kulturze sikhów lub jak w muzułmańskiej Arabii Saudyjskiej? W czwartym sezonie „Teda Lasso" dostajemy nawet sugestię, że los dziewcząt i kobiet grających dziś w piłkę jest równie ciężki, jak niegdyś sportowców z czarnej mniejszości w USA, walczących z rasizmem, by móc zagrać u boku białych w najważniejszych ligach.

Naprawdę? Wątpię. Chadzam często na boisko koszykówki nieopodal mego osiedla, żeby trochę sobie porzucać, i na Orliku obok zawsze ktoś gra w piłkę. Często są to dziewczynki rozstawiające po kątach chłopców. A gdy widzę reklamę kampanii społecznej „The Game Is Ours" sponsorowanej przez Dove i Nike, mam wrażenie, że ktoś mną manipuluje. Oparta jest na badaniach, z których ponoć wynika, że niemal połowa dziewczynek rezygnuje ze sportu przed 14. rokiem życia „z powodu niskiej samooceny i krytyki ich typu sylwetki". A ja doskonale pamiętam hasła typu „gruby na budę" nie tylko z dzieciństwa w latach 70., lecz także z niedawnego wydania jednego z programów na kanale YT „Weszło".

Dzieciaki bywają okrutne wobec rówieśników, którzy się odróżniają, wobec dzieci w okularach, z nadwagą, z jakimś fizycznym defektem itd. Wyróżnianie akurat dziewczęcego futbolu jako czegoś w rodzaju niemalże nowoczesnego apartheidu jest absurdem.

W dodatku dialogi są w czwartym sezonie „Teda Lasso" drugiej świeżości i daleko im do błyskotliwości dawnych odcinków. Twórcy udają, że czas nie tyka bohaterów, więc twarz Sudeikisa, by była równie gładka jak kiedyś, pokrywana jest coraz cięższym makijażem. Drugoplanowe postacie, które pokochaliśmy w pierwszych sezonach, nie wracają. Powtarza się za to łopatologia: biedne dziewczynki, biedne dziewczynki, ratuj Ted, tyś jedynym dobrym facetem. Katastrofy popularnych franczyz hollywoodzkich niczego nikogo nie nauczyły. A przecież wiedźmy lesbijki z „Akolity" zatopiły „Gwiezdne wojny", She-Hulk, prawniczka o bicepsach nosorożca, zadała ciężkie straty kinowemu uniwersum Marvela, a katastrofa „Supergirl" postawiła pod znakiem zapytania dalsze losy kinowych projektów DC Studios. Twórcy „Teda Lasso" żerują na nostalgii, ładują w projekt niepotrzebny przekaz o girl power, a wiarygodność historii okazuje się nagle mniej ważna od żartów o tym, że nie należy ludziom pozwalać na oglądanie Fox News. Wypada więc pożegnać się z Tedem. Było fajnie. A reszta – cóż, to już nie twoja wina.



SERIAL APPLE TV „TED LASSO" SEZON 4

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7580d17964



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

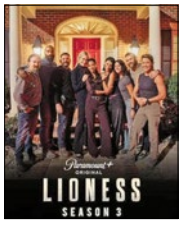


PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

SKYSHOWTIME

Wojny cienia



★★★★★★

SEZON 3
„LIONESS” („SPECIAL OPS: LIONESS”)
USA 2026

wyst. Zoe Saldaña, Laysla De Oliveira, Nicole Kidman

W pierwszym sezonie „Lioness” śledziliśmy wyrafinowaną operację szpiegowską wymierzoną w bankiera bliskowschodnich terrorystów. W drugim widzieliśmy bezkarność meksykańskich karteli narkotykowych, za których plecami kryli się oficerowie służb specjalnych Chin. W trzecim Taylor Sheridan, twórca i scenarzysta serialu, dogania rzeczywistość jeszcze bardziej: już w pierwszym odcinku trafiamy do Donbasu. Niebo kontrolują drony, a amerykańscy specjalsi walczą z żołnierzami wysłanymi na front ukraiński przez Koreę Północną. Ani chybi w sezonie czwartym (nie wątpię, że zostanie nakręcony) przeniesiemy się do Iranu.

Sheridan, najbardziej rozchwytywany twórca telewizyjny ostatniej dekady („Yellowstone”, „Landman”, „Król Tulsy”), z dwóch sprzecznych fal nastrojów ścierających się w USA skomponował hitowy serial. Jedna fala to tęsknota za pochwałą amerykańskiego munduru, honoru i zaradności żołnierzy; to możliwość kibicowania naszym (z amerykańskiego punktu widzenia) chłopcom – a w „Lioness” bardziej „naszym dziewczynom”. Druga fala to rosnąca popularność izolacjonizmu, łączącego się z obawą przed kolejnymi wojnami bez końca.

Sheridan oferuje świetny serwis zwolennikom pierwszego poglądu, a tych z drugiego obozu próbuje umiejętnie reedukować. Z wrogiem najlepiej walczyć na jego ziemi – im dalej od granic Ameryki, tym lepiej. Świat pełen jest bezlitosnych drani, więc ktoś musi skopać im tyłki, zwłaszcza że tamta strona za nic ma amerykańskie wartości. Jest to w istocie powrót do przekazu, który płynął z klasycznych thrillerów Toma Clancy’ego i jego naśladowców w latach 80. i 90., czyli w epoce dumy z Ameryki napędzanej przez reaganowską dekadę sukcesów gospodarczych i politycznych.

Czy to znaczy, że Sheridan jest narzędziem propagandy Trumpa? Otóż niekoniecznie. Poglądy ma bardziej konserwatywne, woli pójść do podcastu Joe Rogana niż do tzw. mainstreamowych telewizji. Ale jednocześnie bohaterki i bohaterowie „Lioness” pozostają głęboko podejrzliwi wobec knowań establishmentu (słusznie), CIA oraz prawdziwych intencji ludzi pociągających za sznurki. A dziś – cóż, dziś to Trump i jego ekipa są establishmentem. ©℗

GRA TYGODNIA: „LIES OF P”

Pinokio w mrocznej odsłonie belle époque. Znakomita gra, doceniona przez graczy i recenzentów, trafiła na Nintendo Switch 2. Wygląda pięknie (gdy działa w 30 – za to stabilnych – klatkach) i trochę gorzej, gdy wybierzemy tryb wydajności w 60 klatkach. Jest i pośrednia opcja – 45 klatek – przy zadokowanej konsoli. Sama gra to znakomity soulslike. I jako przedstawiciel gatunku jest dość trudna, choć nie tak, jak zmierzający również na NS2 „Elden Ring”. Wersja na Nintendo od razu w zestawie z DLC. ©℗



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★★

Radosław Wojtas

- ***Gatunek:*** *RPG, soulslike TPP*
- ***Platforma:*** *Nintendo Switch 2*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Round8 Studio, Neowiz*

eprasa.pl 7580d17964

Wampir komunista

YouTube



★★★☆☆☆
REŻ. FLORIN LEPAN
„BELA LUGOSI. UPADŁY WAMPIR" („BELA LUGOSI. VAMPIRUL CĂZUT")
RUMUNIA 2007

Lat temu 70 zakończyła się ziemska wędrówka najsłynniejszego filmowego Draculi. Béla Ferenc Dezső Blaskó, bardziej znany jako Bela Lugosi, najpierw zagrał księcia krwiopijcę na Broadwayu. Powtórzyć ten wyczyn w Hollywood nie było łatwo. Wytwórnia miała bowiem do dyspozycji pewniaka: Lona Chaneya. Dopiero gdy „człowieka o tysiącu twarzach" zabił nowotwór, Universal zdecydował się postawić na imigranta. Słabiutka angielszczyzna nie przeszkodziła Beli w zrealizowaniu planu: zamiast potwora zagrał lubieżnego dandysa. Premiera „Draculi" odbyła się w walentynki. Opowieść o namiętności silniejszej od śmierci spodobała się żeńskiej części publiczności. Było to zresztą zgodne z naturą aktora, nałogowego kobieciarza. Satanizmu nie wyznawał, wywiad, którego udzielił w celach promocyjnych, świadczy jednak, że z rozmysłem roztaczał wokół siebie aurę niesamowitości.

Lugosi, naśladując inne gwiazdy ekranu, konfabulował. Nie urodził się w Transylwanii, ale w Banacie. Na Oksfordzie mógł studiować tylko z Nikodemem Dyzmą, gdyż w rzeczywistości edukację zakończył na węgierskiej podstawówce. Arystokratę tylko udawał, jego ojciec był piekarzem. Zanim trafił na scenę, pracował w kopalni węgla. Miał talent, w teatrze w Budapeszcie grał Hamleta i Jezusa, lecz gdy wybuchła wojna domowa, postawił na złego, komunistycznego konia. Musiał wyemigrować. Ponoć gdy rewolucyjna przeszłość księcia horroru wyszła na jaw, Amerykanie umieścili go na czarnej liście. Zdaje się jednak, że Lugosiego do upadku doprowadziły raczej rozrzutność, morfina i hołdowanie staroświeckim aktorskim środkom wyrazu. Pochówek w kostiumie Draculi zwiastował narodziny legendy. Wśród gadających głów, komentujących życie i karierę Węgra, są jego syn, zwycięski rywal do korony króla horroru – Boris Karloff – i reżyser István Szabó. Film pozostawia niedosyt. Pomija milczeniem wojenne przygody Beli w Galicji i szczegóły jego brawurowej ucieczki z ojczyzny (może też są wymysłem?). Woli drążyć wątek rumuńskich zwyczajów pogrzebowych. Ostatni przypadek przebicia serca umarlaka zdarzył się tam w 2007 r. Czy sprawca był tradycjonalistą czy fanem strasznych filmów? Oto jest pytanie. ©℗

Wiesław Chełminiak

CHŁOPAKI TEŻ PŁACZĄ

KINO

Filmy o robieniu filmów kręcą ich autorów, ewentualnie ludzi z branży. Normalni widzowie unikają takiej twórczości jak zarazy. Szczęśliwie „Kandydaci śmierci" są z innej bajki. Maciej Cuske wzorem Richarda Linklatera latami dokumentował życie syna i jego kolegów z przedszkola. Rytuałem stały się wakacyjne wypady, podczas których Staś, Rafał i Adi zamiast zbijać bąki, pichcili amatorskie horrory. Keczup lał się gęsto, aktorzy wypadali z ról lub odnosili kontuzje, jednak zaangażowania mogliby pozazdrościć im zawodowcy. Film zadaje kłam opinii, że faceci (starzy i młodzi) potrafią rozmawiać tylko o piłce kopanej tudzież polityce. „Kandydatów śmierci" na wyższy poziom windują zdjęcia, montaż, równowaga między humorem i melancholią. Spragnieni pozytywnych wibracji – marsz do kin! Finałowy sing-rap doda wam energii. ©℗



★★★★★☆
REŻ. MACIEJ CUSKE
„KANDYDACI ŚMIERCI"
POLSKA 2026



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Mundur powstańca

Jeszcze jednym z wielu powodów, dla których warto wybrać się do Muzeum Powstania Warszawskiego, jest wystawa czasowa zorganizowana z okazji 82. rocznicy zrywu. Temat niecodzienny – ubiór.

Wystawa „Splot. Czy sukienka może być mundurem? O tym, jak wojna zmieniła strój Warszawiaków" ukazuje chronologiczną przemianę ubioru mieszkańców stolicy. Punktem wyjścia są lata 30. XX w., gdy strój wyraźnie definiował status społeczny. Kolejna część skupia się na realiach okupacji niemieckiej. Ówczesne braki materiałowe wymusiły na mieszkańcach powszechne przeróbki odzieży, recykling i rozwój chałupnictwa. Ubiór musiał stać się narzędziem przetrwania, jednak – jak zauważają twórcy – dbałość o schludny wygląd stanowiła jednocześnie dla Warszawiaków formę społecznego oporu wobec okupanta.



FOT. MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO/FACEBOOK

Kluczowy fragment ekspozycji dotyczy samego powstania. Ochotnicy walczyli w codziennych ubraniach, dodając biało-czerwoną opaskę, a z czasem elementy zdobycznego umundurowania. A kiedy nastała kapitulacja, z powrotem trzeba było wrócić do ubrań czysto cywilnych, a symbole ukryć przed wrogiem. ©℗

GDZIE? ***Muzeum Powstania Warszawskiego***
KIEDY? ***do czerwca 2027 r.***

eprasa.pl 7580d17964

MOJA PÓŁKA

Kiedy w mózgu śpiewa ptaszyna



KRZYSZTOF MASŁOŃ

Kim była autorka „Zapisków niepublikowanych", wiedzą w Polsce nawet dzieci. Kim był adresat tych ni to listów, ni to notatek pisanych od roku 1964 do 1980 – Janusz Minkiewicz? Z krótkiej noty wydawniczej czytelnik dowie się, że ten zmarły w 1981 r. poeta i satyryk, stały bywalec restauracji SPATiF w Al. Ujazdowskich, był bliskim przyjacielem autorki „Niech żyje bal", „cieszącym się w środowisku artystycznym nieposzlakowaną opinią".

Nie wdając się w szczegóły, przypomnę tylko, że w 1955 r. ten o 22 lata starszy od Osieckiej twórca został laureatem Nagrody Państwowej za „twórczość satyryczną w minionym dziesięcioleciu". Jak wiadomo, okres stalinowski satyrze sprzyjał jak żaden inny, a z dorobku pisarskiego Janusza Minkiewicza najbardziej dał się zapamiętać śliczny wierszyk „Lenin w Poroninie", którego fragment przypomnę:

Na małej stacji w wiosce Poronin,
Gdy pociąg stanął wśród zgrzytu szyn,
Wysiadł z wagonu ojciec, a po nim
Raźno wyskoczył na peron syn.

No pewnie. Jakby inaczej zejść w Poroninie na peron? Tylko „raźno". A będzie mu jeszcze radośniej, gdy tata dokształci swą latorośl:

Tu po tych dróżkach, dawno już temu
Za moich młodych dziecinnych lat
Chodził na spacer człowiek, któremu
Nową epokę zawdzięczał świat [...].
Wiesz o kim mówię? „Wiem, o Leninie.
Czy Lenin tutaj mieszkał, tu żył?"
Tak, na tej ziemi, tu, w Poroninie
Przed żandarmami cara się krył [...].
Z tych fundamentów, z owych podwalin,
Które przez życie swe Lenin kładł,
Gmach socjalizmu zbudował Stalin.
Stalin, to Lenin dzisiejszych lat.

Marek Hłasko tak pisał o Minkiewiczu: „[...] nie wiem, dlaczego zrobił na mnie wrażenie najbardziej smutnego ze wszystkich ludzi, a kiedyś złożyło się tak, że piliśmy razem do rana. Janusz się nieco zalał i odwiozłem go do domu, co jak dotąd stanowi w moim życiu najpotężniejszy sukces pod każdym względem, gdyż Minkiewicz ma pojemność cysterny lotniczej i nikomu z Polaków nie udało się dotąd zobaczyć go w takim stanie, kiedy w mózgu śpiewa ptaszyna...".

No ale że sama Irena Szymańska, która – zdaniem Jerzego Urbana – decydowała o tym, kto dostanie literackiego Nobla, a kto nie, nazwała go „sentymentalnym cynikiem", uznajmy, że był człekiem zacnym, co tłumaczy, dlaczego Osiecka darzyła go uczuciem najpiękniejszych z pięknych, życzliwie kończąc epistolarne wyznania radą: „Nie pij tyle". Dbali o siebie zresztą wzajemnie, stanowiła bowiem Osiecka ozdobę SPATiF-owskiego stolika Janusza Minkiewicza, cóż że pospołu z Adamem Ważykiem. Młodzi, którzy nie wiedzą, kim był ten ostatni, niech sobie poczytają.

W powodzi książek Osieckiej i o Osieckiej takiej jak ta nie było. W przeciwieństwie do „Dzienników" poetki, rażących po części infantylizmem, po części poddaną autocenzurze nudnawą rejestracją prowadzonego życia, z książki „Kochany Misiu" wyłania się inny, niezafałszowany, a wręcz porażająco szczery autoportret kobiety wyjątkowej, niekoniecznie jednak szczęśliwej, za to borykającej się z tym samym alkoholizmem, przed którym – trochę półżartem – przestrzegała swojego przyjaciela. Dla czytelników te „Zapiski niepublikowane" będą też kopalnią wiedzy o życiu – powiedzmy, że kulturalnym – Warszawy lat 60. i 70. A także zaskakującymi często opiniami dotyczącymi ważnych wydarzeń politycznych i konkretnych osób, także tych z najbliższego otoczenia autorki. Smakowitych anegdot na 600 stronach książki Osieckiej napisanej „o sobie, piciu i całej reszcie" jest mnóstwo. Dla zaostrzenia czytelniczego apetytu zacytuję opis pewnego wieczoru w SPATiF ze stycznia 1976 r.:

„W szatni – loża endecka. Zawieszony na telefonie, skupiony intelektualnie Filler informuje pilnie, że przyjechali Litwini.

Za ladą – porucznik Franio gotów do czynu.

W pierwszej sali koło pieca – mniejszości narodowe z posłem Ważykiem.

Koło bufetu opozycja, ale same płotki – Markusz, Kreczmar itp.

Jak wiadomo, opozycja tak samo jest zhierarchizowana i zasnobowana jak partia rządząca. A więc dopiero w dużej Sali, przy białych stołach, elita opozycji – profesorowie, uczeni i wieszcze. Jest więc marszałek Słonimski, Julek Stryjkowski – Kaden Polski Ludowej, trzeźwa jak Piwowski Halina Mikołajska – rodzaj Mickiewiczowskiej Maryli dla dorosłych.

Żal, że nie posiedziałam dłużej, ale byłam z kobietą".

Wiele zapisków Osieckiej wymaga dziś przypisów i dobrze, że takie są. Gorzej, że znajdują się w nich domniemania autorki tych apendyksów, a i popełnione przez nią rażące błędy. W zmartwienie wprawiła mnie np. informacja o tym, że mój redakcyjny kolega Tomasz Zapert nie żyje od trzech lat, co kłóciło się z faktem, że właśnie z nim rozmawiałem. Marta Dobromirska-Passent przypisała mu napisanie w 1971 r. tekstu piętnującego rzekomo naganne zachowanie Czesława Niemena na koncercie. Trzyletni wówczas Tomek Zapert do gazet jeszcze nie pisywał, w przeciwieństwie do swego ojca, Zbigniewa Zaperta, tak jak Osiecka, znanego tekściarza. ©℗



★★★★★★

AGNIESZKA OSIECKA „KOCHANY MISIU! O SOBIE, PICIU I CAŁEJ RESZCIE. ZAPISKI NIEPUBLIKOWANE" PRÓSZYŃSKI I S-KA, WARSZAWA 2026

eprasa.pl 7580d17964



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

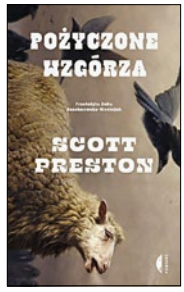
W imię owiec

Miłośnicy niezależnego kina mogli niedawno oglądać w polskich kinach irlandzki dramat „Bez przebaczenia" („Bring Them Down"), opowieść o ludziach twardych jak skały, wśród których wypasają na lichych pastwiskach swoje owce. W powieści „Pożyczone wzgórza" odnajdujemy podobny świat, choć akcja rozgrywa się na pograniczu angielsko-szkockim: jest oto rok 2001 i dochodzi do apokalipsy. Nie dlatego, że zmieniła się data w kalendarzu i wirus Y2K wyłączył świat, ale za sprawą pryszczycy. Rząd stosuje tę samą metodę, co podczas epidemii choroby szalonych krów – wybija całe stada, pozostawiając hodowców samych sobie.

Gdy w Polsce ktoś staje po stronie ludzi żyjących z pracy własnych rąk – nie mówiąc już o harówce na roli czy w hodowli – tego obwołuje się PiS-owcem lub komuchem (w zależności od tego, kto atakuje). Scott Preston, 35-latek z Windermere, pamięta jednak świat, z którego wyrosły rodziny takie jak jego własna, i pamięta o tym, jak mało zyskowne, trudne i ryzykowne było to życie. Jego debiutancka powieść ukazała się w Anglii dwa lata temu; teraz trafia do Polski. Ciekawe to skrzyżowanie. Wbrew okładkowym zachętom sugerującym zabawę w stylu Quentina Tarantino rzecz jest poważna, a realizm północnego życia oddany, jak należy – jest tu surowość, jest trochę piękna, ale przede wszystkim nieustanna troska o to, co dalej.

Gdy twój świat się skończy, próbujesz budować nowy, i oto zwaśnieni hodowcy zakopują topór wojenny, by swą krzywdę przerzucić na innych – są przecież w Anglii miejsca, gdzie stada są zdrowe, dobrze wykarmione i nikt ich hekatombie nie poddaje. Niech zatem szczęśliwi bogacze podzielą się swym skarbem – Steve i William opracowują plan zuchwałej kradzieży, ale realizacja tego przedsięwzięcia przekracza ich możliwości. Tu na scenę wkracza wpływowy i bezlitosny bandzior Tinley, dla którego nie ma rzeczy niemożliwych. Oczywiście za odpowiednią cenę. A wiemy, jaką się płaci, gdy zdecydujemy się paktować z diabłem.

Niektórzy obwołali „Pożyczone wzgórza" westernem w realiach Kumbrii, myślę jednak, że bardziej dostajemy realizm wzbogacony intrygą kryminalną i moralitetem. Nie wszystko wyszło, wątek miłosny zdaje się dołożony na siłę. Niemniej jest w tej opowieści moc i ciekaw jestem bardzo następnej książki, jaką Preston napisze. ©℗

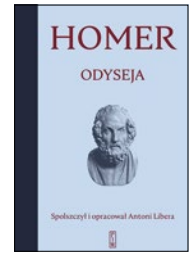


★★★★★★

SCOTT PRESTON „POŻYCZONE WZGÓRZA" CZARNE 2026

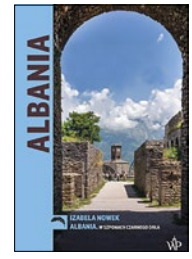
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Najpłynniejszy i najpiękniejszy z dostępnych na rynku przekładów eposu Homera, dokonany heksametrem przez Antoniego Liberę. Dodruk z okazji premiery filmu Nolana – i dobrze, bo pierwszy nakład dawno się wyprzedał.



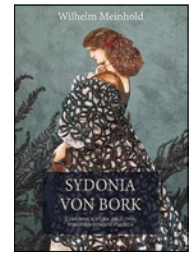
HOMER „ODYSEJA" PIW

Albania to jeden z przebojów urlopowych ostatnich lat – plaże piękne jak w Chorwacji, pogoda upalna, ludzi mniej. A odkrywanie przeszłości dwutorowe, najpierw trzeba przebić się przez skorupę pozostałości po komunizmie.



IZABELA NOWEK „ALBANIA. W SZPONACH CZARNEGO ORŁA" WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

Ścięta i spalona na stosie jako czarownica, oskarżana o zniszczenie dynastii pomorskich książąt – jej barwne dzieje przedstawia w powieści zapomniany klasyk niemieckiego romantyzmu, autor „Bursztynowej czarownicy".



WILHELM MEINHOLD „SYDONIA VON BORK" ZYSK I S-KA

Debiutancka i najsłynniejsza powieść brytyjskiego autora heroic fantasy. Gemmell opisywał brutalne światy i sięgających po przemoc bohaterów, ale sławił lojalność i honor, w odróżnieniu od późniejszych twórców antyfantasy.

recenzuje Piotr Gociek



DAVID GEMMELL „LEGENDA" VESPER

KOMIKS TYGODNIA:
SUPERGIRL NA ŚLĄSKU

Kolejny tom przedsięwzięcia zamieniającego klasykę amerykańskiego komiksu w przedsięwzięcie międzynarodowe. Podobnie jak w przypadku wydanych wcześniej antologii krótkich opowieści o Batmanie czy Supermanie swoją wizję przygód prezentują artyści z kilkunastu krajów – zachowując lokalne realia. Za polską opowieść odpowiadają Anna Krztoń i Kasia Nie.

Piotr Gociek



AUTORZY RÓŻNI „SUPERGIRL. ŚWIAT" EGMONT 2026

eprasa.pl 7580d17964

„Tolerancja” zabija i krzywdzi



Krystian Kratiuk

Gwałty, okaleczenia, pobicia, złamania i śmierć. To właśnie przyniosła szeroko rozumianemu Zachodowi „tolerancja” pojmowana w absurdalny, XXI-wieczny sposób

W niniejszym tekście będę posługiwał się słowem „tolerancja” wziętym w cudzysłów, do znudzenia przypominając, że prawdziwa tolerancja polega na znoszeniu cudzych błędów i odmienności, ale nie wymaga uznania ich za dobre ani prawdziwe. Dzisiejsza „tolerancja” oznacza natomiast obowiązek aprobaty, milczenia wobec zła i podporządkowania sumienia, a także systemu prawnego, najbardziej nawet absurdalnym żądaniom.

W imię owej „tolerancji” coraz częściej cierpią lub giną ludzie, i to wcale niekoniecznie będący przeciwnikami „tolerancji”. Całkiem niedawno, w ciągu jednego tygodnia, media opisały dwa potwierdzające to wydarzenia. Głośniejszym z nich był atak islamskiego radykała w Berlinie – zamachowiec wjechał w uczestników parady LGBT, zginęła Polka, która pojechała do niemieckiej stolicy, by wraz z córką celebrować „tolerancję”. Zamachowiec rozjechał kilkadziesiąt osób, ale i to nigdy by się nie wydarzyło, gdyby nie… „tolerancja” – w wydaniu już nie osobistym, ale wręcz systemowym.

Otóż mający libańskie korzenie Abdul B. od dawna nie powinien być na wolności, sympatyzował bowiem z Państwem Islamskim a służby podejrzewały, że może zorganizować zamach. Skazano go na rok i 10 miesięcy więzienia w zawieszeniu za „przygotowywanie poważnego, zagrażającego państwu aktu przemocy”. Jednym z warunków zawieszenia kary był udział w „programie deradykalizacji”, co jednak nie nastąpiło. Mimo tego nie został aresztowany – niemieckie służby, jak wiadomo, bardzo boją się oskarżeń o rasizm i oczywiście „nietolerancję”. Tak oto zasługą systemowej „tolerancji” stała się Polka – wielbicielka „tolerancji” – oraz kilkanaście innych osób. A niemieckie media i rządzący winnych tragedii postanowili szukać… na niemieckiej prawicy.

Ciszej było natomiast o innym przypadku, tym razem z Austrii. Oto wiedeńska opieka społeczna miała odebrać z dotychczasowego domu 12-letnią dziewczynkę, która była wcześniej wykorzystywana i maltretowana, przez co panicznie bała się mężczyzn. Zalecono, aby

eprasa.pl 7580d17964



FOT. CHRISTOPHER FURLONG/GETTY IMAGES

przewiezienie odbyło się spokojnie i żeby po dziecko przyjechała kobieta. Mimo to organizacja realizująca zadanie wysłała mężczyznę. To jeszcze pół biedy, gorzej, że ów mężczyzna był sztandarowym przykładem systemowej „tolerancji" – w pracy i w urzędzie nikomu nie przeszkadzało, że chodzi z wytatuowanym na czole pentagramem, tunelami w uszach i implantami przypominającymi rogi. Któż śmiałby zwrócić mu uwagę, w tak „tolerancyjnych" czasach? Przecież mógłby narazić się na proces, ataki medialne, a w konsekwencji społeczną infamię!

Wróćmy więc do 12-latki i mieszkania, w którym odbywała się interwencja. Gdy dziewczynka zobaczyła tak wyglądającego faceta, przeraziła się i nie chciała wyjść z pokoju. Kiedy ten zagroził, że sam wejdzie do środka, wystraszone dziecko wyskoczyło z okna na pierwszym piętrze, łamiąc rękę i nogę. Sprawę zbadały władze Wiednia – nie stwierdziły uchybień w postępowaniu opieki społecznej.

ZBRODNIE DO UNIKNIĘCIA

Przykładów takiego działania zachodniej „tolerancji" jest, niestety, znacznie więcej. Władze państwowe obawiając się oskarżeń o „nietolerancję" i zbyt szybkie pakowanie podejrzanych przybyszów do więzienia, dopuściły do co najmniej kilku zamachów.

W 2016 r. Tunezyjczyk Anis Amri przeprowadził głośny zamach na jarmark bożonarodzeniowy, również w Berlinie. Zabił 13 osób. Wcześniej odbywał karę więzienia we Włoszech, w Niemczech był znany policji jako islamista, posługiwał się wieloma tożsamościami i pozostawał pod obserwacją, a jego wniosek azylowy został… odrzucony. Mimo tego nie aresztowano go ani nie deportowano. Zrobił swoje, 12 rodzin opłakuje swych bliskich do dziś.

W roku 2017 w Manchesterze Salman Abedi wysadził się po koncercie Ariany Grande, zabijając 22 osoby, wśród nich dzieci i nastolatków. Abedi wcześniej znajdował się na radarze MI5, był związany z radykalnym środowiskiem i wrócił z Libii cztery dni przed zamachem – nie zdecydowano się go zatrzymać. W tym samym roku jednak za „mowę nienawiści" w Internecie (wpisy na mediach społecznościowych) zatrzymano lub oskarżono kilka tysięcy osób. W tym oczywiście za sprzeciw wobec „tolerancji".

W 2020 r. Kujtim Fejzulai zastrzelił w centrum Wiednia cztery osoby i ranił ponad 20. Wcześniej został skazany na 22 miesiące więzienia za próbę przedostania się do Syrii i dołączenia do ISIS, lecz wyszedł przedterminowo po… ok. ośmiu miesiącach. Można domyślać się dlaczego.

To tylko niektóre przykłady, wyłącznie z Europy. Ale tego typu skandalicznych zaniedbań w imię „tolerancji" – zaniedbań kończących się śmiercią konkretnych ludzi – nie brakowało również w USA i Kanadzie. Wszystko w imię „tolerancji" dla przybyszów, dla ich odmienności i prawa do osiedlania się tam, gdzie sobie zażyczą.

GWAŁCONE KOBIETY I DZIECI

Ale żeby zasady „tolerancji" krzywdziły ludzi, nie potrzeba zamachowców, karabinów, samochodów pułapek. W postępowych społeczeństwach szczególną troską otaczane powinny być kobiety – pod tym zdaniem podpisze się każdy postępowy obserwator życia społecznego. Ale tak nie jest – szczególną troską, znacznie większą niż kobiety, otaczani są bowiem beneficjenci systemowej „tolerancji". I to absolutnie nie jest w interesie kobiet.

Podczas pamiętnej nocy sylwestrowej z 31 grudnia 2015 na 1 stycznia 2016 r. setki kobiet zgłaszały policji molestowanie seksualne, napaści, kradzieże i otaczanie przez grupy mężczyzn. Opisywały ich szczegółowo – wszystko wskazywało na to, że to grupa z konkretnego kontynentu, nie trzeba zgadywać z którego. Niemieckie media bardzo długo milczały, tak jak policja. A inni panowie przybywający do Europy postanowili wziąć przykład z kolegów, którzy dobrze bawili się w Kolonii – do podobnych zorganizowanych, grupowych ekscesów na tle seksualnym (choć na mniejszą niż w Niemczech skalę) dochodziło potem choćby na licznych szwedzkich festiwalach muzycznych czy podczas nocy sylwestrowej 2021/2022 w Mediolanie.

W stolicy europejskiej „tolerancji", w Wielkiej Brytanii, w Rotherham, Telford, Rochdale i Oksfordzie przez wiele lat nieletnie dziewczęta były uwodzone, odurzane, gwałcone, bite i zastraszane przez zorganizowane grupy sprawców – najczęściej gangi imigrantów. Te sprawy były głośne, ale dobrze je sobie przypomnieć w jednym zdaniu. Policja i opieka społeczna traktowały ofiary tamtych wydarzeń jako… „trudne" i niegodne zaufania nastolatki. Mimo że liczni obywatele brytyjscy podkreślali, że wiedzą, kto dokonał tych aktów, urzędnicy obawiali się otwarcie mówić o pochodzeniu sprawców. Aby nie narazić się na zarzut „nietolerancyjnego" rasizmu.

W tym samym kraju głośne stały się również sprawy Karen White i Isli Bryson. White, biologiczny mężczyzna z kartoteką pełną przestępstw seksualnych, został umieszczony w… więzieniu dla kobiet, bo czuł się kobietą. A tam, co za niespodzianka, dopuścił się napaści na

eprasa.pl 7580d17964

dwie osadzone. Bryson zaś, skazany za zgwałcenie dwóch kobiet przed rozpoczęciem tranzycji, także został początkowo skierowany do zakładu kobiecego. Decyzję zmieniono dopiero po protestach. Wcześniej urzędnicy nie chcieli skrzywdzić mężczyzny gwałcącego kobiety – ale chwilowo uznającego siebie samego za kobietę – jakąś „nietolerancją".

Nieco inny charakter miała historia Banaz Mahmod. Kobieta wielokrotnie ostrzegała brytyjską policję, że krewni grożą jej śmiercią za odejście od narzuconego jej małżeństwa, lecz nie otrzymała skutecznej ochrony. Przecież nie można ingerować w rodzinne sprawy mniejszości, ktoś jeszcze mógłby usłyszeć, że nie ma w sercu „tolerancji" dla innego. Kobieta została więc zamordowana w ramach islamskiego zwyczaju zabójstwa honorowego.

ZABITE DZIECI

Jeszcze inną grupą, chronioną w nowoczesnym społeczeństwie, są oczywiście dzieci. No chyba że trzeba te dzieci – w imię „tolerancji" – oddać pod opiekę homoseksualistom. Znów przypomnijmy sobie kilka historii.

Historia pierwsza. William i Zachary Zulock z amerykańskiej Georgii adoptowali dwóch chłopców, którzy mieli wówczas ok. trzech i pięciu lat. W imię „tolerancji"! Mężczyźni przez kolejne lata wykorzystywali ich seksualnie, nagrywali przemoc i udostępniali materiały innym osobom. W 2024 r. każdy z nich został skazany na 100 lat więzienia bez możliwości przedterminowego zwolnienia.

Historia druga. Jennifer i Sarah Hart były homomałżeństwem, adoptowały sześcioro czarnoskórych dzieci. W marcu 2018 r. Jennifer celowo zjechała samochodem z klifu w Kalifornii – zginęły obie kobiety i wszystkie znajdujące się z nimi dzieci. Śledczy uznali zdarzenie za rozszerzone samobójstwo i zabójstwo. Wcześniej już jednak… pojawiały się sygnały o przemocy, a dzieci miały prosić sąsiadów o jedzenie i pomoc. Mimo tego, w imię tolerancji, dzieci nadal powierzano kobietom. Dlaczego? Ciekawe…

Historia trzecia. Trzynastomiesięczny chłopiec został umieszczony w domu brytyjskiej pary Jamiego Varleya i Johna McGowana-Fazakerleya. Proces adopcyjny jeszcze trwał. W ciągu czterech miesięcy chłopiec doznał ponad 40 obrażeń, był wykorzystywany seksualnie i wielokrotnie maltretowany. Mimo kontaktów pary z pracownikami socjalnymi, lekarzami i szpitalami dziecko nie zostało uratowane i odebrane z gejowskich rąk – znów pytanie, czy urzędnicy bali się oskarżeń o „nietolerancję". No i niech państwo zgadną, jak to się skończyło… Otóż chłopiec został w swym adopcyjnym domu zamordowany.

Utopijne wizje społeczne zawsze zaczynają się od obietnicy wyzwolenia człowieka, a kończą na przymusie zaprzeczania rzeczywistości i coraz większym zamordyzmie

I historia czwarta, ostatnia w tym tekście, ale nie ostatnia w najnowszych dziejach Zachodu. Matthew Scully-Hicks wraz z „mężem" adoptował 18-miesięczną Elsie. Niedługo po formalnym zakończeniu procesu adopcyjnego dziewczynka zmarła wskutek ciężkich obrażeń głowy. W 2017 r. mężczyzna został uznany za winnego zabójstwa. Śledztwo – tak jak w poprzednich wypadkach – wykazało, że dziecko już wcześniej miało siniaki i inne obrażenia.

No ale „tolerancja" dla „osób LGBT" przede wszystkim.

„TOLERANCJA" JEDNOKIERUNKOWA

Niniejszy artykuł jest za krótki, by wykazać, jak mocno krzywdzi dzieci również systemowa „tolerancja" choćby w kwestii promocji homoseksualizmu – ile chorób i innych nieszczęść rozprzestrzenia się tylko dzięki propagowaniu tego stylu życia przez media, parady, miesiące dumy i seksedukację.

Jeden przykład. Pamiętają państwo głośną kilka lat temu w mediach epidemię „małpiej ospy"? A pamiętają państwo, kiedy nagle media przestały o niej informować? Z dnia na dzień. Otóż zaraz po tym, jak ujawniono, że zdecydowana większość przypadków zakażeń w Europie i USA występowała wśród – jak czytamy w raportach amerykańskiego Centers for Disease Control and Prevention – „gejów, mężczyzn biseksualnych i innych mężczyzn utrzymujących kontakty seksualne z mężczyznami, szczególnie mających wielu lub przypadkowych partnerów".

O traumach i samobójstwach, spowodowanych już nie tylko „tolerancją" dla odmienności, lecz także po prostu promocją „zmiany płci", aż żal pisać. Badanie Agencji Praw Podstawowych Unii Europejskiej z 2024 r. wykazało, że ponad połowa osób uznających się za „transpłciowe", „niebinarne" i „zróżnicowane płciowo" deklarowała myśli samobójcze. Porażające są też wyniki badania amerykańskich uczniów szkół średnich z 2023 r. – otóż 52,9 proc. spośród uczniów uważających się za transpłciowych deklarowało, że poważnie rozważało samobójstwo, a 25,9 proc. deklarowało próbę samobójczą w poprzednich 12 miesiącach.

Dodajmy, że w imię systemowej „tolerancji" wielu psychologów rezygnuje – a innym wręcz zakazuje się tego – z pracowania z pacjentem inaczej, niż utwierdzając go w tym, że „zmiana płci" jest dla niego dobrą opcją. Przykładem jest brytyjska klinika Tavistock, w której część lekarzy obawiała się swobodnie badać psychiczne, rodzinne i rozwojowe przyczyny dysforii płciowej, ponieważ ich ostrożne podejście mogło zostać uznane za próbę „terapii konwersyjnej" – a ta jest absolutnie nie do pomyślenia w świecie opanowanym przez systemową „tolerancję".

REWOLUCJA WYMAGA OFIAR

Wszystkich opisanych tu śmierci i nieszczęść można było uniknąć. Nie wydarzyłyby się, gdyby nie systemowa „tolerancja" Zachodu.

Ta idea doprowadzić miała do społeczeństwa idealnego. Jednak, jak każda utopia, doprowadziła do wielkiego dramatu.

Utopijne wizje społeczne zawsze zaczynają się od obietnicy wyzwolenia człowieka, a kończą na przymusie zaprzeczania rzeczywistości i coraz większym zamordyzmie. A gdy fakty nie pasują do ideologii, poświęca się ludzi, byle ocalić samą ideologię. „Tolerancja", jak widać, wymaga ofiar, czasem zabitych, czasem zgwałconych, czasem okaleczonych, a czasem z przeoranym życiorysem.

Serio, czas się obudzić.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7580d17964



HELEN JOYCE, PRZEKŁAD: MAŁGORZATA SAMBORSKA „TRANS. GDY IDEOLOGIA SPOTYKA SIĘ Z RZECZYWISTOŚCIĄ" FUNDACJA INSTYTUT GLOBALIZACJI, GLIWICE 2024



Z dr. Tomaszem Telukiem, prezesem Instytutu Globalizacji, wydawcą polskiego przekładu książki Helen Joyce „Trans. Gdy ideologia spotyka się z rzeczywistością"

rozmawia Tomasz D. Kolanek

Zabiegi, które niszczą nieodwracalnie

TOMASZ D. KOLANEK: Czym jest ideologia „trans"? Kiedy i po co ona powstała?

DR TOMASZ TELUK: Ideologia transseksualizmu powstała w latach rewolucji seksualnej i jest rozwijana do dziś. Bazuje ona na pojęciu gender – płci kulturowej, która sugeruje, że płeć jest oderwana od ciała i może zależeć od czynników zewnętrznych – otoczenia lub własnego odczucia. Dodatkowo nie podlega ona fizycznym ograniczeniom, można ją dowolnie określać, kształtować i nazywać. Zapewne wiele razy w ciągu życia. Zresztą takie podejście postuluje wielu fałszywych proroków współczesności, np. Juwal Noach Harari.

W latach 90. XX w. furorę robiła teoria queer, powstały studia genderowe jako dziedzina akademicka, a ideologia wtargnęła szturmem na kampusy. Czerpie ona z lewicowego postmodernizmu, sugerując, że ludzie po prostu odgrywają role społeczne, kulturowe, zawodowe, charakterystyczne dla stereotypów związanych z płcią. Skoro jest to gra, przejawiająca się w ubiorze czy zachowaniach, to można się nimi wymieniać. Drugi człon tego zjawiska to samoidentyfikacja. Można ją streścić jednym zdaniem – płeć jako deklaracja. Jeśli deklarujesz się jako mężczyzna, to mimo że masz cechy kobiece – kobiece narządy płciowe – musisz być odbierany jak mężczyzna. W ten sposób deklaratywność bierze górę nad biologią. Fantasmagoria nad rzeczywistością.

Transseksualizm przez lata była postrzegany i rozumiany jako „zmiana" płci czy to przez operację, czy to przez zażywanie różnych środków farmakologicznych. Dzisiaj taka definicja to „mowa nienawiści", ponieważ seksrewolucja poszła naprzód. Kim są dzisiaj „transludzie"? Kto może nimi „zostać"?

Zacznijmy od tego, że nie można zmienić płci. Nie udało się to żadnemu ssakowi od 210 mln lat. Poza nielicznymi wyjątkami w przyrodzie, jak niektóre krokodyle czy błazenki, w przypadku człowieka istnieją tylko dwie, niezmienne płcie – żeńska i męska. Możemy co prawda pewnymi zabiegami farmakologicznymi lub chirurgicznymi próbować upodabniać się do płci przeciwnej, lecz wiąże się to z ogromnym ryzykiem zdrowotnym. Podawanie blokerów dojrzewania czy hormonów sieje spustoszenie w organizmie, natomiast nie możemy całkowicie przeszczepić narządów płciowych, lecz jedynie w sposób bardzo niedoskonały je modelować na zasadzie chirurgii plastycznej. Nie będą one spełniały swoich naturalnych funkcji.

Czy ideologia „trans" ogranicza się do dwóch przypadków, to znaczy transkobiet i transmężczyzn, czy przewiduje również „inne płcie" – tak jak ideologia gender?

Oczywiście można być niebinarnym, płeć może być płynna, można żądać określania się różnymi zaimkami, grać dowolne role. Dobrze ujęła to Helen Joyce, która zauważyła, że wiara w wielki wybuch czy reinkarnację może być sprawą indywidualną, ale ideologia „trans" wymaga potwierdzenia społecznego, często na zasadzie przymusu czy szantażu. Natomiast dyskusje o tym, że są inne płcie czy jakich zaimków używać w stosunku do kogo, pozbawione są logicznego i znaczeniowego sensu.

W książce „Trans. Gdy ideologia spotyka się z rzeczywistością", która ukazała się nakładem Instytutu Globalizacji, autorka Helen Joyce wielokrotnie zwraca uwagę na to, że osoby, które „zmieniły płeć" i w pewnym momencie dochodzą do wniosku, że popełniły błąd i chcą powrócić do „pierwotnej płci", a przy tym ostrzegają innych, aby nie szli ich drogą, są szkalowane, poniżane, a nawet prześladowane przez wyznawców ideologii „trans". Dlaczego? „Zmiana płci" działa tylko „w jedną stronę"?

Myślę, że była to jedna z głównych motywacji autorki, że ta książka w ogóle powstała. Decyzje o próbie zmiany płci często podejmowane są w okresie adolescencji, gdy dziecko przeżywa burzę hormonalną i nie wie, kim jest, także w sferze seksualnej. Później wszystko wraca do normy. Bardzo podoba mi się termin, który ukuła autorka – „zakażenie społeczne". Okazuje się, że ideologia „trans" jest bardzo zaraźliwa społecznie, głównie dzięki mediom społecznościowym.

eprasa.pl 7580d17964



Dziecko przeżywające burzę w swoim organizmie szuka akceptacji i trafia na strony transaktywistów. Tam zaczynają się pranie mózgu i nakłanianie do radykalnych działań. Takim przykładem jest np. historia Łukasza Sakowskiego, bardzo popularnego dziennikarza naukowego, autora bloga „To tylko teoria". Należy pamiętać, że jeśli ktoś decyduje się na zabiegi, których celem jest zniszczenie swojej płci – przyjmując określone preparaty lub poddając się np. kastracji – to są to zabiegi nieodwracalne. Przykłady detranzycji są dramatyczne.

Helen Joyce podkreśla, że jedną z dwóch „głównych ofiar" ideologii „trans" są kobiety, i to pomimo faktu, że to właśnie kobiety, a konkretnie feministki w dużym stopniu odpowiadają za kolejne sukcesy ideologii „trans". Dlaczego w związku z tym rewolucja spod znaku litery „T" właśnie kobiety wzięła na swój celownik?

Najciekawsze w tej książce jest to, że autorka jest nie tylko umiarkowaną feministką, lecz także prezentuje lewicowo-liberalne poglądy i z takich pozycji, używając klasycznej logiki, argumentów naukowych i konkretnych przykładów, w zasadzie niszczy ideologię działaczy transseksualnych. Oczywiście, że ideologia „trans" niszczy przede wszystkim kobiety. Dawniej problem dotyczył kilku zniewieściałych mężczyzn rocznie, których środowiska nie akceptowały jako homoseksualistów. Dzisiaj ofiarami są niemal wyłącznie młode kobiety, tworzące specyficzną subkulturę. Kobiety wzięte są na cel, ponieważ niszczy się ich dar przekazywania życia oraz seksualność. Wmawia im się, że ogrywając męską rolę, będą miały więcej szans w społeczeństwie. Wielkim kosztem. Kosztem swojego macierzyństwa oraz kosztem życia seksualnego. Osoby po zabiegach w kierunku zmiany płci skarżą się na brak orgazmów i satysfakcji z tej najbardziej intymnej sfery życia i bliskości między osobami.

Ideologia „trans" jest bardzo zaraźliwa społecznie, głównie dzięki mediom społecznościowym. Dziecko przeżywające burzę w swoim organizmie szuka akceptacji i trafia na strony transaktywistów. Tam zaczynają się pranie mózgu i nakłanianie do radykalnych działań

Drugą „główną ofiarą" ideologii „trans" są dzieci. To właśnie im Joyce poświęca najwięcej miejsca w swojej książce krytykującej ideologię „trans". Dlaczego dzieci są tak ważne dla rewolucji? Skąd to zafiksowanie na granicy szaleństwa, żeby jak najwięcej z nich zbałamucić i przekonać do „zmiany płci"?

Tak, dzieci są bezbronną i kolejną grupą wziętą na cel przez ideologów rewolucji seksualnej. Dla nich są raczej towarem, przedmiotem do wykorzystania. Na szczęście wiele krajów, głównie w Skandynawii, odeszło już od tranzycji nieletnich. Podobnie dzieje się w Wielkiej Brytanii, gdzie skandale w klinice Travistock właściwie zamknęły drogę do podobnych zabiegów. Okazało się, że przeprowadzano je niezgodnie z wiedzą naukową, procedurami medycznymi, powodując nieodwracalne szkody u jej pacjentów. Okaleczono tam setki dzieci, które były leczone z powodu dysforii płciowej. Blokery dojrzewania podawano nawet 12-latkom. Powodowało to zaburzenia hormonalne, łamliwość kości, zaburzenia wzrostu, a nawet zmiany nowotworowe.

Kwestia dzieci jest tutaj moim zdaniem kluczowa. Ideolodzy „trans" chcą je – najlepiej w jak najmłodszym wieku – faszerować różnymi farmaceutykami albo kłaść na stołach operacyjnych. Dlaczego w przypadku dzieci nie wystarczy im, żeby po prostu zadeklarowały, „jaką płeć czują", tylko od razu chcą je szprycować bądź – mówiąc kolokwialnie – kroić?

To wielki biznes, w niektórych krajach dotowany przez państwo. Zarabiają wszyscy – właściciele klinik, lekarze, biznes farmaceutyczny. Nowy rynek, nowy produkt. Ludzie stają się po prostu towarem, a kreowanie ich nowych potrzeb staje się źródłem zysku. Gra toczy się o miliardy dolarów, które płyną strumieniem od organizacji pozarządowych wspierających seksualną rewolucję do klinik medycznych oferujących omawiane zabiegi. Jeśli patrzy się całościowo – to jest to walka przeciwko życiu, tradycyjnej rodzinie, powołaniu kobiety do macierzyństwa. Jednak autorka zwraca też uwagę, że jest to przejaw homofobii, ponieważ najczęściej poszkodowane są osoby o skłonnościach homoseksualnych, którym odmawia się akceptacji i błędnie sugeruje tranzycję. Na gruncie

eprasa.pl 7580d17964



FOT. ADOBE STOCK; ZDJĘCIE WYGENEROWANE ZA POMOCĄ SZTUCZNEJ INTELIGENCJI

ideologicznym toczy się też wojna między aktywistami „trans" i „homo", obrzucającymi się wzajemnie oskarżeniami.

Ideolodzy „trans" – o czym pisze Helen Joyce – z jednej strony działają „po cichu", a z drugiej mogą liczyć na ogromne pieniądze. W pierwszej kolejności: Jak udaje im się „po cichu" forsować swoje pomysły na najwyższych szczeblach władzy?

No właśnie, z jednej strony odbywa się konsekwentna indoktrynacja na zamkniętych forach dyskusyjnych. Tam stosuje się szantaż moralny wobec dzieci i rodziców, najczęściej sugerując, że ten, kto nie zgodzi się na tranzycję, popełni samobójstwo. Podaje się zmanipulowane dane, pomijając fakt, że osoby borykające się z dysforią płciową cierpią równolegle na inne zaburzenia, depresję, psychozy czy spektrum autyzmu. Ponadto praktyka politycznej poprawności powoduje, że bardzo szybko wprowadzane są prawne regulacje wspierające ideologię „trans". To rodzi kolejne problemy. Pierwszym z nich jest przemoc ze strony mężczyzn udających kobiety, gwałty w toaletach czy więzieniach. Zresztą jawne są zeznania napastników, że celowo podjęły takie kroki, aby mieć lepszy dostęp do ofiar. Druga patologia to mężczyźni w kobiecym sporcie. Przykłady nierównych walk w boksie mieliśmy podczas igrzysk olimpijskich w Paryżu.

Skąd na to wszystko biorą się pieniądze? Dlaczego znajdują się ludzie, którzy chcą to zjawisko sponsorować? Ba, jaki interes w płaceniu na ideologię „trans" ma George Soros – człowiek przekazujący na ten cel miliony dolarów?

Wydaje się, że realizowany jest globalny plan, który znamy przecież pod hasłem Wielkiego Resetu. Zaangażowane są w niego potężne organizacje, władza oraz finansiści. George Soros jest tylko jednym przykładem. W ramach Wielkiego Resetu, mającego w sobie cechy wprowadzenia totalitarnego komunizmu, kontrolowanego przez wąskie elity władzy na szczeblu globalnym, wdrażany jest plan destrukcji tradycyjnej rodziny, naturalnej rozrodczości i seksualności. Zamiast tradycyjnej wielodzietnej rodziny, która przez tysiąclecia stanowiła trzon społeczeństwa, proponuje się wolne związki osobników o nieokreślonej płci. Dawniej proponowali to przecież Marks, Engels, Lenin, natomiast dziś rozwój techniki i nauki pozwala to wdrażać w życie. Rozrodczość natomiast będzie sztuczna – już teraz mamy sztuczne zapłodnienie, funkcje surogatek, fabryki dzieci. W ten sposób będzie się to odbywać. Dzieci będą hodowane jako dostarczyciele zamiennych narządów dla bogaczy, których będzie na to stać. Może będą pełnić jakieś funkcje zaspokojenia seksualnego dla dewiantów. Zmierza to w tę stronę – hedonizmu dla elit, zniewolenia dla mas. Stąd zapotrzebowanie na amoralne ideologie i praktyki.

Odnoszę wrażenie, że Helen Joyce to przedstawicielka starej lewicy, która mówi „tak" ideologii LGB, ale bez „T". Jak to interpretować? Czy faktycznie tylko ideologia „trans" jest zagrożeniem, a to wszystko, co kryje się pod skrótem „LGB", nim nie jest?

Cenię sobie książkę Helen Joyce z wielu powodów. Po pierwsze, doceniam ją za odwagę. Joyce przez wiele lat była znaną i cenioną dziennikarką prestiżowego tygodnika „The Economist". Pisząc tę pozycję, postawiła na włosku, za cenę prawdy, swoją karierę. I rzeczywiście tak się stało. Poniosła konsekwencje swojego wyboru, była szykanowana ze strony środowiska, które krytykowała. Po drugie, jako doktor matematyki po Cambridge autorka doskonale argumentuje swoje tezy, przedstawia jasne wywody logiczne poparte głęboką wiedzą i konkretnymi przykładami. Pokazuje historię oraz ewolucję ideologii „trans". Opisuje historię z życia ludzi i rodzin, z którymi rozmawiała. Są to więc informacje z pierwszej ręki. Materiał faktograficzny jest bezdyskusyjny i nie do podważenia. Natomiast rzeczywiście autorka jest osobą bardzo tolerancyjną. Myślę, że w dobrym tego słowa znaczeniu. Istnieje przecież jakaś niewielka marginalna liczba osób z natury homoseksualnych, które nie odczuwają potrzeby afiszowania się ze swoją orientacją czy poszerzania zakresu swoich praw. Są to osoby, które sprzeciwiają się reprezentowaniu ich przez radykalne, krzykliwe i nienawistne organizacje społeczne wspierające ruch LGBT. Ruch ideologiczny, polityczny, jednak nie reprezentujący wszystkich. Dlatego myślę, że książka spodoba się także wielu rozsądnie myślącym przedstawicielom lewicy.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone



Tomasz Teluk *– doktor filozofii, publicysta, prezes Instytutu Globalizacji, wydawca polskiego przekładu książki Helen Joyce „Trans. Gdy ideologia spotyka się z rzeczywistością", autor m.in. książek „Libertarianizm. Krytyka" i „Mitologia efektu cieplarnianego". Był ekspertem Centrum im. Adama Smitha.*

eprasa.pl 7580d17964

Scjentyzm zamiast dogmatu



Paweł Chmielewski

Nie ma duszy – głosi katolicki kapłan. Chrystus nigdy nie zmartwychwstał – twierdzi inny. Homoseksualizm jest darem od Boga – mówi trzeci. Dlaczego duchowni zaprzeczają zdogmatyzowanym prawdom w imię wierności scjentyzmowi?

FOT. ADOBE STOCK, ZDJĘCIE WYGENEROWANE ZA POMOCĄ SZTUCZNEJ INTELIGENCJI

W Kościele katolickim obowiązuje Tradycja – a zatem to, co Pan Bóg Kościołowi objawił, co jest zapisane w Piśmie Świętym, czego uroczyście nauczają papieże i sobory. Są jednak duchowni i świeccy, którzy uważają, że należy dodać jeszcze jeden „organ" Tradycji: współczesną naukę. Bywa, że posuwają się do wygłaszania niesamowitych wręcz tez, które – gdyby potraktować je poważnie – obalałyby uświęcone prawdy; tylko po to, by zachować zgodność z tym, co jawi się jako obowiązujący paradygmat naukowy.

Taka postawa jest po ludzku zrozumiała: człowiek zawsze chce być na czasie. Dzięki temu może mieć poczucie adekwatności pomiędzy własnym życiem a całym światem. Kto głosi „przestarzałe" poglądy, ten może czuć się społecznie martwy. Mówi, ale nikt go nie słucha; głosi, ale wszyscy się z niego śmieją. Kiedy wpisać się w to, co dominujące i popularne, sytuacja staje się zupełnie inna; otwiera się droga do społecznego uznania. Ten mechanizm poszukiwania adekwatności jest dość mocno wpisany w ludzkie działanie. Wystarczy pomyśleć, że wielkie cywilizacje starożytne rozwijały systemy społeczne i kulturę na podobieństwo wyobrażeń o Kosmosie: stąd tak wielka i utrzymująca się przez tysiąclecia popularność astrologii, która stwarzała złudzenie zgodności życia pojedynczego człowieka z rytmem całego Kosmosu. Chcemy być „na czasie" – to ludzka potrzeba.

W POGONI ZA „ADEKWATNOŚCIĄ"

Przykładów na folgowanie tej potrzebie w praktyce nie brakuje. Ot, dla każdego katolika, który ma jakiekolwiek pojęcie o wierze, jest jasne: akty homoseksualne są grzeszne. Wprawdzie można wskazać na różne okoliczności łagodzące i dyskutować nad moralną odpowiedzialnością tego czy innego konkretnego homoseksualisty; niemniej jednak sam akt tego rodzaju jest obiektywnie sprzeczny z porządkiem, który Pan Bóg nadał człowiekowi i światu – i dlatego nie może być moralnie zaakceptowany. Mówi o tym racjonalna refleksja nad naturą, mówi o tym Pismo, mówi Magisterium Kościoła.

Niemniej jednak są katolicy – księża, biskupi, kardynałowie – którzy głoszą coś zgoła przeciwnego. Twierdzą, że homoseksualizm należy moralnie zaakceptować, bo współczesna nauka pozwoliła nam zrozumieć prawdziwą naturę tego fenomenu. Mówią, że gdyby autorzy biblijni albo ojcowie czy doktorzy Kościoła wiedzieli na temat ludzkiej psychiki to samo, co my – to nigdy nie potępiliby homoseksualizmu; przeciwnie, zalecaliby jego przeżywanie, uznając, że to nieledwie dar od samego Stwórcy dla ludzi o „innej" wrażliwości.

W ten sposób filogejowscy duchowni uzyskują pełną zgodność między własnym światopoglądem a tym, czego wymaga od nich współczesność: mogą myśleć, że są na czasie. Stan sprzeczności z nauczaniem Kościoła jest dla nich mniej istotny niż stan zgodności z nowoczesnością.

Casus „katolickiej" apologii homoseksualizmu, wywołany oczywistą popularnością tego nurtu „naukowego", jest oczywisty i wszystkim znany. Analogiczna postawa jest jednak rozpowszechniona o wiele bardziej i obejmuje także inne, kluczowe zagadnienia.

DUSZPASTERSTWO BEZ DUSZY

Kilka tygodni temu pewien polski duchowny ogłosił, że dusza może w ogóle nie istnieć. Twierdził, jakoby dusza była konceptem czysto greckim i została wprowadzona do orbity chrześcijańskiej niejako z zewnątrz, bo w Starym Testamencie pojęcie duszy miałoby nie występować. „Nie powiedziałbym tego

eprasa.pl 7580d17964

z ambony" – zastrzegł się kapłan, choć gdyby przemawiał z prawdziwej ambony, słuchałoby go może 500 osób, a na kanale youtube'owym, gdzie zabierał głos, wyświetleń zanotował ponad 50 tys. Zaskakujące rozumienie odpowiedzialności duszpasterskiej… Wróćmy jednak do meritum. Otóż ów kapłan argumentował, że dusza może w ogóle nie istnieć, bo taki pogląd podsuwają aktualne ustalenia neuronauk. Innymi słowy, dusza byłaby grecką naleciałością, która zadomowiła się w Kościele na dobre wraz z przyjęciem fizyki Arystotelesa; jako że fizyka Arystotelesa miałaby być przeterminowana, to w związku z tym także kościelna filozofia.

Jest prawdą, że w Starym Testamencie nie ma precyzyjnego rozróżnienia na duszę i ciało. Taka była optyka ludów starożytnych. Również antyczni Grecy do pewnego momentu nie dostrzegali tego rozróżnienia. W eposach Homera człowiek był rozumiany jako jedność: wszystko się w nim chaotycznie przenika, nie ma żadnej kategorycznie ujmowalnej „duszy" różnej od ciała. Późniejsza grecka myśl religijna i filozoficzna dochodzi do odmiennych wniosków i faktycznie znajduje to swoje odzwierciedlenie w nauce Kościoła.

Dlaczego pierwotna opinia autorów Starego Testamentu miałaby być dla nas ważniejsza niż to, co głosi znający myśl Greków Nowy Testament? W przypadku istnienia duszy nie chodzi o jakiś drugorzędny pogląd: istnienie duszy jest stałym elementem przepowiadania Kościoła. Kościół uczy, że dusza jest stworzona bezpośrednio przez Boga; że w chwili śmierci dochodzi do jej rozłączenia z ciałem; że w momencie ostatecznego zmartwychwstania dusza zostanie z ciałem na powrót połączona. Innymi słowy, to nieśmiertelna „część" człowieka: człowiek jest również ciałem, ale ciało umiera i zostanie przez Boga odtworzone.

Nasz uczony kapłan, który przezwyciężył w sobie fizykę Arystotelesa, sugeruje tymczasem, że dusza jest „emergentną właściwością mózgu". Gdyby ktoś chciał powiedzieć, że to czysty materializm… miałby rację. W ten sposób w imię wierności materialistycznemu paradygmatowi scjentystycznemu kapłan neguje transcendencję: zespolenie duszy i ciała, czyli miejsce niejako cudownego stykania się rzeczywistości nieśmiertelnego Boga z rzeczywistością śmiertelnego świata, staje się tylko mitem, dziwaczną opowieścią, bo naprawdę – w imię nauki – istnieje tylko to, co śmiertelne, a co można nazwać materią. Jakie implikacje miałoby dla Kościoła przyjęcie tezy o nieistnieniu duszy, nie trzeba nawet pisać; każdy sam może to sobie łatwo wyobrazić: redefinicja pojęć zbawienia, nieśmiertelności, grzechu, odpowiedzialności moralnej… Z Kościoła nie zostałoby wiele.

Nie wiem zresztą, po co Kościół miałby jeszcze istnieć: gdyby dusza była emergentną właściwością mózgu i umierała wraz z ciałem, to właściwie… co miałoby być zbawiane? Boskie wspomnienie człowieka, który kiedyś żył? Jak skomentował jeden ze słuchaczy nieszczęsnej audycji: „Ciekawe. Fajnie się tego słucha. Jest tylko jeden problem. Ja się zajmuję programowaniem komputerów. Gdybym nie wierzył w istnienie procesora – to bym zmienił zawód. Nie wiem zatem, po co księdzu ta koloratka".

Scjentyzm usuwa także inne dogmatyczne prawdy kościelne. Wręcz „podręcznikowym" przykładem jest negacja zmartwychwstania Jezusa Chrystusa. Jak uczy Kościół od czasów św. Pawła, jeżeli ten cud się nie wydarzył – to całą wiarę można uznać za niepotrzebną. Niemniej jednak są księża, którzy zmartwychwstanie odrzucają. W końcu nikt nigdy nie widział, żeby ktoś zmartwychwstał – to rzecz empirycznie nieudowadnialna. W efekcie przenoszą relację Nowego Testamentu o podniesieniu Chrystusa z martwych do wielu pobożnych mitycznych opowieści, które nie mieszczą się w materialistycznym światopoglądzie naukowym i jako takie miałyby być całkowicie nieprawdziwe. Kilka lat temu opasłą książkę z takimi tezami wydał w Polsce pewien uczony kapłan; inny niż głosiciel nieistnienia duszy.

EWOLUCJA ZAMIAST ZBAWIENIA

Kolejny „klasyk" rozmontowywania nauk kościelnych to negacja grzechu pierworodnego. Scjentystycznie myślący duchowni odmawiają Panu Bogu możliwości stworzenia pierwszych ludzi z prochu ziemi i przekonują, że człowiek, jako produkt zwykłej ewolucji, nie mógł nigdy „pierworodnie" zgrzeszyć, bo nie było żadnych „pierwszych" ludzi. Ofiarą takiego poglądu pada od razu wiele dogmatów, choćby ten o niepokalanym poczęciu Matki Bożej – Maryja okazywałaby się dokładnie tak samo „niepokalanie" poczęta jak każdy, bo nie ma przecież grzechu pierworodnego. Duchowni Kościoła katolickiego powinni pamiętać, kim są w pierwszej kolejności: sługami Tradycji. Powinni głosić to, co głosi Kościół, a nie zajmować się rewizją dogmatów podług scjentystycznych mód.

Znajomość współczesnych nauk jest Kościołowi potrzebna i bywa bardzo przydatna. Duchowni mogą też sami uprawiać nauki – w Watykanie istnieje zresztą obserwatorium astronomiczne, które ma duże zasługi w swojej dziedzinie; działa też Papieska Akademia Nauk – lepiej lub gorzej, zależnie od aktualnego papieża, ale wypełnia zadania dialogu ze światem nauki. Kiedy jednak jakieś twierdzenie scjentystyczne w wyraźny sposób domaga się zaprzeczenia dogmatom, trzeba powiedzieć „stop". Choćby dlatego, że – w przeciwieństwie do prawd moralnych – twierdzenia naukowe są zmienne. Niekiedy okazuje się, że nowa teoria każe po prostu tak bardzo zmienić punkt odniesienia, że to, co w świetle starej teorii wydawało się niedopuszczalne, może być już jak najbardziej możliwe. Nie chodzi nawet o to, by empiryczne badania naukowe musiały cyklicznie okazywać się fałszywe; rzecz w tym, że nowe ustalenia mogą zmienić sam sposób podejścia do danej kwestii.

Byłoby dobrze, gdyby żaden katolicki kapłan nie głosił, że homoseksualizm jest moralnie dopuszczalny

Dlatego byłoby dobrze, gdyby żaden katolicki kapłan nie głosił, że homoseksualizm jest moralnie dopuszczalny, dusza nie istnieje, a Adama i Ewy nigdy nie było. Niech zastanowi się raczej, jak użyć współczesnej nauki dla lepszego oświetlenia katolickich dogmatów, a nie do ich zniszczenia. W przeciwnym wypadku może się okazać, że sprzeda się katolickie prawdy w imię wierności twierdzeniom naukowym, których już nikt nie podtrzymuje.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl 7580d17964



Aleksiej Maksimow, „Złota Orda" (1907)
FOT. DOMENA PUBLICZNA

Nie tylko Dugin



Filip Memches

Historyk Lew Gumilow i filozof Aleksandr Panarin odrzucali ideologię komunistyczną, ale byli rozczarowani demontażem ZSRS. Opowiadali się za współistnieniem Rosjan z muzułmańskimi sąsiadami. Z ich poglądów wyłania się opcja na rzecz budowy wielobiegunowego świata – przeciw uniwersalizmowi Zachodu

Gdzie leży Rosja? W Europie czy w Azji? Te pytania pozostają nierozstrzygnięte, bo dotyczą bynajmniej nie geografii, lecz tego, co stanowi cywilizacyjną tożsamość ludności zamieszkującej największe pod względem powierzchni państwo świata. I właśnie do tej kwestii odnoszą się dyskusje na temat ideologii określanej jako eurazjanizm czy też eurazjatyzm. Na wstępie trzeba zaznaczyć, że obu tych nazw można używać zamiennie, ponieważ w polskim piśmiennictwie występują jedna i druga (po rosyjsku, czyli w oryginale, zjawisko, o którym mowa, określane jest jako jewrazijstwo).

Termin „eurazjanizm" kojarzy się dziś w Polsce głównie z osobą rosyjskiego myśliciela politycznego Aleksandra Dugina. To koncepcja, wedle której Rosja stanowi względem Zachodu nie tylko osobny kraj, lecz także opartą na prymacie wartości duchowych nad życiowym materializmem oddzielną wielonarodowościową cywilizację nazywaną Eurazją. W świetle tej wizji istotny składnik rosyjskiej tożsamości stanowi dziedzictwo Złotej Ordy. Przypomnijmy: u schyłku średniowiecza ziemie ruskie były przez dwa wieki pod jarzmem Mongołów. Może się zatem wydawać, że doszło do wychwalania mongolskich najeźdźców, a więc do naruszenia jakiegoś tabu.

Koncepcja Dugina zaczęła się wykluwać u schyłku ZSRS – w latach 80. Stanowiła ona wyraz kontestacji pierestrojki. Potem – już w latach 90. – jej ostrze było wymierzone w architektów nowej Rosji, którzy czerpali – choć wybiórczo – polityczne, ekonomiczne, kulturowe wzory z zachodnich liberalnych demokracji. Skądinąd można się zetknąć z opinią, że to, co głosi Dugin, zostało opracowane w biurach KGB – jako ideologiczna alternatywa dla bankrutującego komunizmu.

Myśliciel ten długo kreował się na antysystemowca. Zmieniło się to dopiero wtedy, gdy prezydentem Rosji został Władimir Putin. Wkrótce zaczęły się odzywać głosy, że Dugin to doradca gospodarza Kremla. Tymczasem nic z tych rzeczy, on ze swoimi radykalnymi poglądami występował w roli „jurodiwego", który – gdy reżim putinowski tego potrzebował – siał ferment i mówił, na wygłaszanie czego prominentne osoby nie mogły sobie pozwolić.

Trzeba jednak uściślić samą nazwę koncepcji Dugina. To nie jest eurazjanizm, lecz neoeurazjanizm. Dodawanie przedrostka „neo" jest w tym przypadku o tyle konieczne, że – owszem – owa koncepcja została wymyślona w latach 80., ale nie od podstaw. Jej twórcy bowiem ktoś przetarł wcześniej szlak. Dlatego Dugina można uznać za epigona ruchu, który się narodził w Rosji tuż przed przewrotem bolszewickim. A na ten temat można przeczytać w książce „Rosyjski eurazjatyzm – ideologia imperium".

Autorką tej pozycji jest Marlène Laruelle, francuska historyk, politolog i socjolog, dyrektor i profesor Institute for European, Russian and Eurasian Studies na George Washington University w stolicy USA. Mimo że polskie wydanie książki ukazało się nakładem Instytutu Narutowicza – państwowej instytucji kultury, przypominającej lewicowy think tank, tyle że finansowany z pieniędzy ogółu podatników – to jednak mamy w nim do czynienia ze względnie obiektywnym obrazem tytułowego zjawiska. Niemniej, jak można się było spodziewać, nie brak tu tropienia przejawów „zawoalowanego" rosyjskiego antysemityzmu w narracjach o Żydach jako kupiecko-nomadycznym żywiole czy dyżurnych uwag dotyczących związków eurazjanizmu z zachodnią „skrajną prawicą".

POD PRĄD SŁOWIANOFILSTWU

Oczywiście Laruelle poświęca cały rozdział Duginowi, ale polskich czytelników powinny zainteresować inne, mniej im znane lub w ogóle nieznane, postaci, o których francuska badaczka pisze. Z pewnością do nich należą pierwsi eurazjaniści. W gronie tym byli przedstawiciele różnych dyscyplin naukowych – m.in. geograf Piotr Sawicki i językoznawca Nikołaj Trubieckoj. Doszli oni do wywrotowego, jak na tamte czasy (początek XX w.), wniosku, że Rosjan pod względem mentalnym więcej łączy z turkijskimi ludami Wielkiego Stepu niż z narodami europejskimi, czym poszli pod prąd także słowianofilstwu, choć westernizację, którą zaserwował Rosji car Piotr I Wielki, uważali – tak jak wcześniej słowianofile – za akt inicjujący narzucanie Rosji cudzoziemskich wzorców kulturowych. Dociera-

eprasa.pl 7580d17964



Lew Gumilow na znaczku pocztowym Kazachstanu

jące do ich kraju zachodnie ideologie – w tym komunizm – postrzegali jako coś obcego. Nic zatem dziwnego, że po dojściu do władzy bolszewików opuścili Rosję. Na emigracji jednak zaczęli przewartościowywać swoje stanowisko. Ponieważ bolszewizm oznaczał odcięcie Rosji od Zachodu, paradoksalnie ujrzeli w nowym sowieckim porządku szansę na przezwyciężenie tego, co przyniosło panowanie Piotra I i jego następców. Uznali, że za fasadą ideologii komunistycznej dojdzie do głosu rdzenna tożsamość rosyjska, która upora się zarówno ze spadkiem pozostawionym przez dynastię Romanowów, jak i z wyrosłym na gruncie zachodniej burżuazyjnej nowoczesności marksizmem.

Niektórzy eurazjaniści postanowili więc wrócić do ojczyzny. Skończyło się to jednak dla nich łagrami lub nawet śmiercią. A sowieckiej agenturze udało się za granicą rozpracować ruch eurazjanistyczny na tyle, że przestał odgrywać rolę ważnego ośrodka białej emigracji.

Tymczasem w ZSRS intelektualny spadek po eurazjanizmie przejął Lew Gumilow. To właściwie już neoeurazjanista. O historyku tym również można przeczytać w książce Marlène Laruelle. Jego rodzicami było dwoje słynnych poetów: Anna Achmatowa i Nikołaj Gumilow. Ojciec naukowca został zamordowany przez bolszewików w roku 1921. Z takim rodowodem Lew Gumilow miał trudne życie. Represjonowano go od dzieciństwa. Niemniej przetrwał prześladowania i zajął się dziejami ludów Wielkiego Stepu.

Kluczowym terminem w teorii Gumilowa jest „pasjonarność". Oznacza ona tajemniczą siłę będącą przeciwieństwem instynktu samozachowawczego. Pcha ona wyróżniające się jednostki (wśród nich historyk wymieniał m.in. Aleksandra Wielkiego, Jana Husa, Napoleona) do podejmowania dla nich osobiście ofiarnych i ryzykownych czynów wbrew kalkulacjom. Jak referuje myśl Gumilowa Laruelle, „pasjonarność" to napędzający tych ludzi „naddatek energii chemicznej lub kosmicznej". Historyk zatem głosił, w opozycji do marksizmu, prymat czynników przyrodniczych nad czynnikami politycznymi, społecznymi, ekonomicznymi, kulturowymi. Jego zdaniem to właśnie przyroda – w tym surowe warunki Wielkiego Stepu – oddziałała decydująco na relacje Rosjan z ludami turkijskimi i Mongołami, bo w wyniku ewolucyjnego procesu „etnogenezy" z niegdyś zwaśnionych „etnosów" wyłonił się spajający je cywilizacyjnie eurazjatycki „superetnos".



MARLÈNE LARUELLE, PRZEŁ. AGATA CZARNACKA „ROSYJSKI EURAZJATYZM – IDEOLOGIA IMPERIUM" INSTYTUT NARUTOWICZA, WARSZAWA 2025

OBRONA STALINA... Z POMOCĄ FREUDA

Gumilow dożył końca ZSRS (zmarł w roku 1992). I, jak twierdzi Marlène Laruelle, o ile opowiadał się on za odrzuceniem ideologii komunistycznej, o tyle demontażem państwa sowieckiego był rozczarowany. Takie stanowisko zajmował też inny neoeurazjanista – Aleksandr Panarin (przeżył Gumilowa o 11 lat). Dorobek tego filozofa jest również omawiany w książce francuskiej uczonej. W okresie ZSRS Panarin był na wpół dysydentem – m.in. wydalono go z Komsomołu. W czasach pierestrojki popierał ją. Kiedy jednak nastała Rosja postsowiecka, zaczął się w umyśle filozofa znaczący zwrot. Panarin przeszedł na pozycje osobliwie pojętego konserwatyzmu. Kładł nacisk na prawosławną tożsamość Rosji (jako kraju, nie cywilizacji), a zarazem – już rozpatrując zagadnienie w kategoriach przekraczającej dychotomię Wschód – Zachód eurazjatyckiej wspólnoty cywilizacyjnej – orędował za współistnieniem Rosjan z muzułmańskimi narodami dawnego Związku Sowieckiego.

W roku 2003 Panarin niedługo przed swoją śmiercią opublikował esej z okazji 50. rocznicy zgonu Józefa Stalina. Laruelle wzmiankuje o tym tekście. Szkoda jednak, że nie rozwija tego wątku. I tak Panarin podjął się obrony Stalina, ale zrobił to z użyciem środków... z arsenału psychoanalizy Sigmunda Freuda. Oto wywód filozofa: dyktator ZSRS uosabiał ojca dyscyplinującego swoje dzieci poprzez brutalną socjalizację ich do „zasady rzeczywistości". Nastąpił jednak bunt „złych bojarów" przeciw „dobremu carowi". W imię „zasady przyjemności" Stalina w Rosji potępiono. Tym samym podważono paradygmat ojcostwa. Stało się to najpierw podczas zainicjowanej przez Nikitę Chruszczowa odwilży, a potem – gdy nadeszła pierestrojka, co było przygotowywaniem gruntu pod instalację w Rosji liberalnej demokracji na modłę zachodnią. Można powiedzieć, że w swoim eseju Panarin wychodzi poza podział lewica – prawica: Pokoleniu '68 – zachodniej postmodernistycznej nowej lewicy, promującej infantylizm i konsumpcjonizm – przeciwstawia sowiecką (moglibyśmy dodać: „eurazjatycką") modernistyczną starą lewicę, z heroizmem i powagą traktującą trudy i wyrzeczenia podejmowane dla wykuwania lepszego świata.

LIBERALIZM – FAŁSZYWA ALTERNATYWA

Trzeba odnotować, że tytuł książki Marlène Laruelle może mylić. Przedmiotem tej pozycji jest bowiem nie tylko tytułowe zjawisko w wersji rosyjskiej. Francuska uczona niemało miejsca poświęca neoeurazjanistom z turkijskich regionów Federacji Rosyjskiej, a także z Kazachstanu i Turcji. Warto napomknąć, że Lew Gumilow został patronem założonego w roku 1996 Eurazjatyckiego Uniwersytetu Narodowego w Astanie. Jednocześnie Laruelle podnosi kwestię rozbieżności między neoeurazjanistami rosyjskimi a nierosyjskimi. Z punktu widzenia tych drugich Rosja nie może być głównym ośrodkiem Eurazji, bo to by oznaczało jej faktyczną hegemonię jako imperium.

Natomiast z tego, co łączy eurazjanistów i neoeurazjanistów ze wszystkich krajów, wyłania się opcja na rzecz budowy wielobiegunowego świata. Jest ona skierowana przeciw zachodniemu uniwersalizmowi. Niegdyś był on wyrazem misyjności katolicyzmu, obecnie stoi za nim coś zgoła odmiennego – dążenie do upowszechniania liberalnego porządku.

W tej sytuacji neoeurazjanizm legitymizuje opór Globalnego Południa wobec prób narzucania mu przez Zachód zgubnych rozwiązań. A do nich należy liberalne rozmywanie wszelkich tożsamości, granic, norm. To fałszywa alternatywa dla neoeurazjanizmu. I oznaka słabości Zachodu.

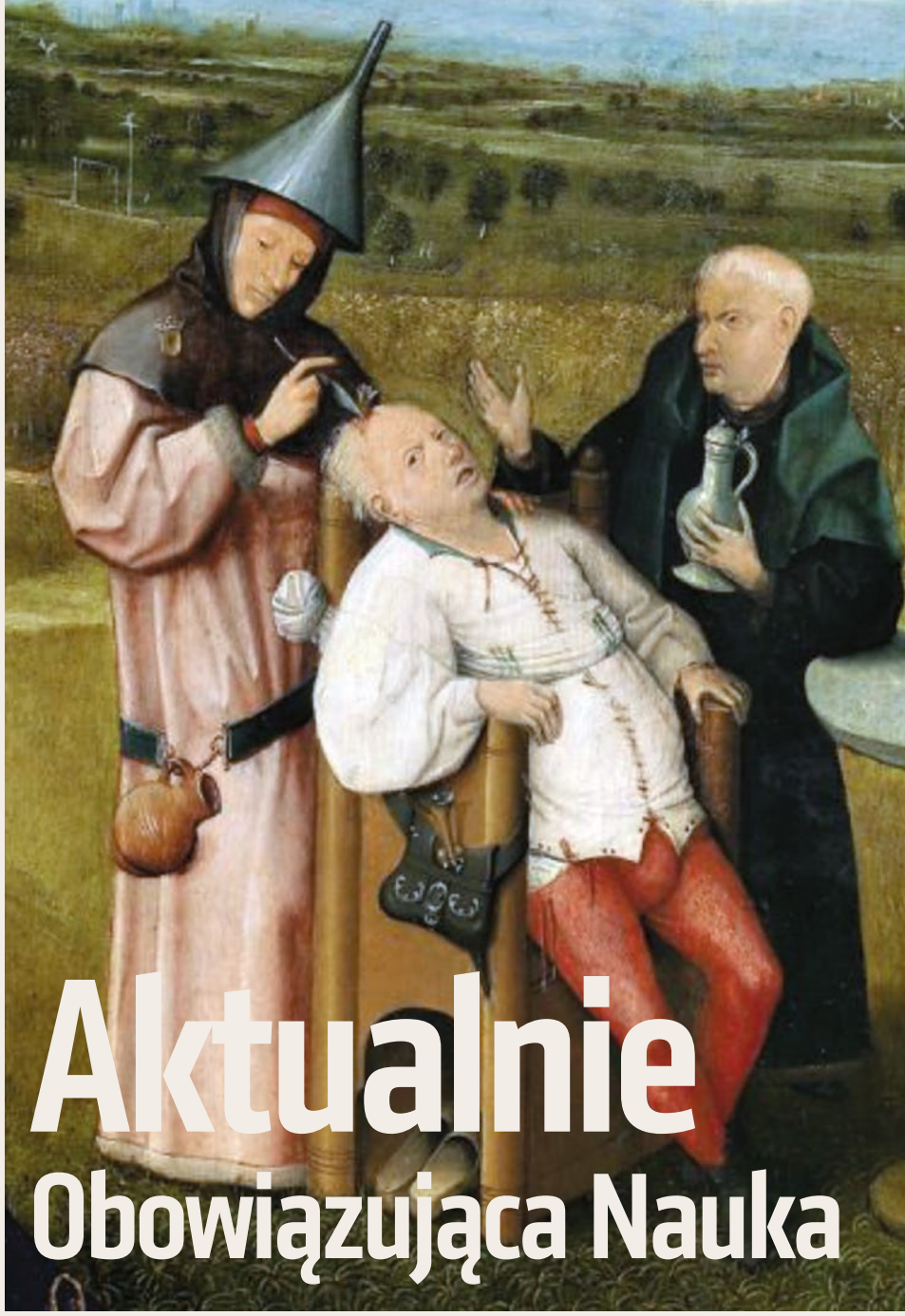
© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7580d17964



Mariusz Jagóra

Aktualnie
Obowiązująca Nauka



Historia medycyny i dietetyki to wahadło, które często wychyla się zbyt mocno w jedną stronę. Przez 2000 lat „wiedzieliśmy", że upuszczanie krwi pomaga. Przez 50 lat „wiedzieliśmy", że tłuszcz zabija. Dziś „wiemy", że mięso jest rakotwórcze, statyny chronią przed zawałem, a szczepionki mRNA chronią przed COVID

W socjologii nauki istnieje pojęcie „refleksu Semmelweisa" – jest to termin opisujący odruchową tendencję do odrzucania nowych dowodów, wiedzy lub pomysłów, które stoją w sprzeczności z ustalonymi normami, przekonaniami lub paradygmatami. Mechanizm ten jest napędzany przez strach przed utratą status quo oraz skłonność do ignorowania faktów niezgodnych z własnym światopoglądem. Historia Ignaza Semmelweisa to jedna z najsmutniejszych opowieści w dziejach medycyny. Semmelweis pracował w szpitalu w Wiedniu, w którym istniały dwie kliniki położnicze – Oddział I, obsługiwany przez lekarzy i studentów medycyny, na którym śmiertelność z powodu „gorączki połogowej" wynosiła ponad 10–15 proc., oraz Oddział II, obsługiwany przez położne, gdzie śmiertelność wynosiła zaledwie 2 proc. Semmelweis zaobserwował, że lekarze i studenci często przychodzili na porody bezpośrednio po przeprowadzaniu sekcji zwłok, nie myjąc po niej rąk, położne natomiast nie miały kontaktu ze zwłokami. W 1847 r. Semmelweis nakazał studentom mycie rąk w roztworze chlorowanego wapna. Efekt był natychmiastowy – śmiertelność na Oddziale I spadła drastycznie, niemal natychmiast zrównując się z oddziałem położnych. W nagrodę za sprzeciw „aktualnie obowiązującej nauce" Semmelweis został zwolniony, wyśmiany i ostatecznie trafił do zakładu psychiatrycznego, gdzie zmarł w wyniku zakażenia rany po pobiciu przez strażników.

W Polsce sądy lekarskie masowo odbierają prawo do wykonywania zawodu lekarzom, którzy mieli odwagę głosić opinie przeczące oficjalnej narracji, propagowanej przez przemysł farmaceutyczny. Lekarze niepokorni karani są za „głoszenie opinii sprzecznych z aktualnie obowiązującą nauką" – Okręgowy Rzecznik Odpowiedzialności Zawodowej w Krakowie wniósł o ukaranie dr. n. med. Zbigniewa Martyki, obwiniając go o to, że „publicznie propagował postawy antyzdrowotne poprzez publikację własnych poglądów i wypowiedzi niezgodnych z aktualną wiedzą medyczną", mimo że dr Martyka złożył wnioski dowodowe w postaci 700 badań naukowych (w tym tych najwyższej jakości, czyli randomizowanych oraz metaanalizy), które potwierdzają prawdziwość każdego z jego słów.

W czerwcu do Sejmu trafił rządowy projekt nowelizacji ustawy o prawach pacjenta i Rzeczniku Praw Pacjenta oraz ustawy o systemie powiadamiania ratunkowego, roboczo nazywany „lex szarlatan" przez jego zwolenników,

eprasa.pl 7580d17964



Hieronim Bosch, „Leczenie głupoty”
FOT. MUSEO DEL PRADO

a przez przeciwników „lex Big Pharma”, który w deklaracjach ma wzmocnić ochronę pacjentów przed praktykami pseudomedycznymi i dezinformacją medyczną, ale – jak zauważają krytycy – jego szeroka i nieprecyzyjna definicja dotknie nie tylko oszustów, lecz także zielarzy, akupunkturzystów, homeopatów, dietetyków, specjalistów medycyny chińskiej/tradycyjnej czy osoby promujące suplementy lub naturalne metody wsparcia zdrowia, co mocno ograniczy wolność wyboru pacjentów w zakresie metod leczenia.

Współczesny lekarz „niepokorny” mierzy się z potężnymi siłami – medycyna, która powinna opierać się na dowodach i być obiektywna, bazuje na badaniach finansowanych przez producentów leków. Lekarz kwestionujący te badania jest oskarżany o działanie na szkodę pacjenta, nawet jeśli podpiera się niezależnymi metaanalizami. Przemysł farmaceutyczny finansuje nie tylko badania, lecz także system kształcenia lekarzy oraz publikacje w prestiżowych pismach. To tworzy zamknięty obieg informacji. Odejście od procedury, nawet jeśli lekarz uważa, że to lepsze dla pacjenta, jest najprostszym punktem zaczepienia dla Rzecznika Odpowiedzialności Zawodowej. Tymczasem historia uczy nas, że jednomyślność w nauce bywa niebezpieczna. Bez prawa do błędu, bez prawa do hipotez alternatywnych i bez prawa do krytyki wielkich graczy rynkowych „aktualnie obowiązująca nauka” przestaje być nauką, a staje się dogmatem. Tym bardziej że historia wielokrotnie ośmieszyła autorytety pilnujące „naukowego” status quo.

DYM W JELITACH, MLEKO W ŻYŁACH

W XVIII-wiecznym Londynie stosowano lewatywy z dymu tytoniowego jako pomoc dla topielców. Problem utonięć w Tamizie był tak powszechny, że organizacja Royal Humane Society instalowała wzdłuż rzeki specjalne zestawy ratunkowe. „Aktualnie obowiązująca nauka” twierdziła, że skoro tytoń „pobudza” i „rozgrzewa”, to wdmuchnięcie go w dużych ilościach do wnętrza ciała powinno „przywrócić iskrę życia” osobie bliskiej śmierci. Zestaw ratownika składał się z rurek, miechów (podobnych do tych do rozpalania ognia w kominku) oraz tytoniu. Ratownik wdmuchiwał dym tytoniowy do odbytu ofiary, wierząc, że ciepło dymu i stymulujące właściwości nikotyny zmuszą serce i płuca do pracy. Poza „ratownictwem medycznym” traktowano dymne lewatywy jako uniwersalny „lek” na problemy jelitowe (działanie rozluźniające), zwalczanie pasożytów i antidotum na cholerę oraz przepuklinę.

Do końca XIX w. upuszczanie krwi przy gorączce było „aktualnie obowiązującą nauką”, uniwersalnym sposobem na „usunięcie złych humorów” i obniżenie gorączki czy stanu zapalnego. Lekarze byli przekonani o skuteczności tej metody, bo widzieli, jak pacjent po zabiegu staje się spokojniejszy i bledszy, co interpretowali jako „wyciszenie gorączki”. W rzeczywistości był to objaw wstrząsu hipowolemicznego. Ta „terapia” przyczyniła się do śmierci George’a Washingtona w 1799 r. – w ciągu zaledwie 12 godzin lekarze upuścili mu ok. 2,3 litra krwi (prawie połowę objętości krwi dorosłego człowieka), próbując wyleczyć infekcję gardła. Organizm 67-latka nie wytrzymał tego leczenia.

W latach 1850–1880 lekarze poszukiwali alternatywy dla transfuzji krwi ludzkiej, zabiegu, który niemal zawsze kończył się tragicznie. W tym czasie nie istniała wiedza o grupie krwi, dochodziło więc do masowej hemolizy i zgonów. Ówcześni lekarze wierzyli, że rozwiązaniem będzie transfuzja z mleka, że tłuszcz i białka mleka mogą w magiczny sposób przekształcić się w czerwone krwinki bezpośrednio w krwiobiegu pacjenta. Wstrzykiwano więc mleko bezpośrednio do żyły, najlepiej prosto z udoju, by było „ciepłe i żywe”. Zabiegi te stosowano w celach leczenia gruźlicy, oczopląsu i migren, a pacjentom podawano nawet do 0,4 litra krowiego mleka dożylnie. Niemal natychmiast po wstrzyknięciu pacjenci doświadczali duszności, dreszczy, utraty przytomności i w wielu przypadkach śmierci z powodu zatorów tłuszczowych, reakcji anafilaktycznych lub infekcji bakteryjnych.

W 1849 r. Charlotte N. Winslow wynalazła syrop uspokajający z morfiną, który był reklamowany jako błogosławieństwo dla zmęczonych matek, przynoszący natychmiastowe uciszenie płaczącego dziecka, łagodzący ból przy ząbkowaniu, dając spokojny sen. Głównym składnikiem aktywnym była siarczan morfiny, zmieszany z alkoholem, amoniakiem i syropem cukrowym. Efekt był taki, że dzieci rzeczywiście zasypiały natychmiast, ale często był to sen, z którego już się nie budziły – depresja oddechowa spowodowana morfiną prowadziła do cichej śmierci w kołysce. A nawet jeśli dziecko nie zmarło po pierwszej dawce, to syrop czynił z niemowląt „narkomanów”, płaczących jeszcze głośniej, gdy działanie leku mijało, co skłaniało matki do podawania kolejnych dawek. Morfina hamowała odruch ssania

eprasa.pl 7580d17964

i paraliżowała jelita, przez co dzieci cierpiały na skrajne niedożywienie mimo podawania pokarmu, leżąc w letargu całe dni, co „ówcześnie obowiązująca nauka" interpretowała jako „wyjątkowo grzeczne zachowanie". Syrop Winslow zniknął z rynku dopiero ok. 1930 r.

Od XVI do początku XX w. rtęć, podawana w formie maści, tabletek czy inhalacji, była „złotym standardem" leczenia kiły. Podanie rtęci wywoływało ślinotok, co lekarze interpretowali jako dowód na to, że organizm „wypłukuje" chorobę wraz z nadmiarem flegmy. Uważano ją za skuteczny środek przeciwbakteryjny. W rzeczywistości powodowała ciężkie zatrucie: wypadanie zębów, owrzodzenia, uszkodzenia nerek, nerwów i śmierć – często leczenie zabijało szybciej niż choroba. Obecnie „aktualnie obowiązująca nauka" twierdzi, że rtęć, stosowana jako środek konserwujący w szczepionkach, jest bezpieczna dla dzieci. A także aluminium, stosowane jako adjuwant w szczepionkach.

Po odkryciu radu przez Marię Skłodowską-Curie w 1898 r. opinia publiczna oszalała na punkcie jego rzekomych cudownych właściwości. Skoro rad świecił w ciemności i wydzielał ciepło, to uznano, że jest on „płynnym słońcem", które może naładować ludzkie ciało energią. W latach 1910–1930 promieniotwórczy rad dodawano do toników, wody, pasty do zębów, czekoladek, kosmetyków i leków jako „cudowny środek" na energię, artretyzm, impotencję czy raka. Rad dodawano do niemal wszystkiego, co miało „uzdrawiać" lub „upiększać".

NOBLOWSKI SZPIKULEC W MÓZGU

W 1949 r. António Egas Moniz otrzymał Nagrodę Nobla za „odkrycie terapeutycznej wartości lobotomii w pewnych psychozach". W latach 1930–1950 lobotomia (przecięcie połączeń w płacie czołowym) była promowana jako złoty środek w leczeniu schizofrenii, depresji i lęku. Wierzono, że zaburzenia psychiczne (lęk, obsesje, psychozy) są wynikiem „zapętlenia" impulsów nerwowych w płatach czołowych. Rozwiązaniem miało być przecięcie tych połączeń. W oparciu o „aktualnie obowiązującą naukę" amerykański lekarz Walter Freeman opracował metodę transorbitalną – wsuwał szpikulec przez oczodół pacjenta, przebijał cienką kość i poruszał nim, by zniszczyć połączenia w płacie czołowym. Procedura trwała ok. 10 minut, nie wymagała sali operacyjnej i była wykonywana masowo – Freeman osobiście przeprowadził ok. 3,5 tys. zabiegów, podróżując po USA „lobotomobilem". W 1941 r. leczeniu poddano siostrę prezydenta Johna F. Kennedy'ego, Rosemary. Dwudziestotrzyletnia kobieta cofnęła się w rozwoju do poziomu dwulatka, straciła zdolność chodzenia i mówienia, resztę życia spędziła w zamkniętych ośrodkach.

Talidomid na poranne mdłości? W latach 1957–1961 lek ten był sprzedawany jako bezpieczny środek na nudności u ciężarnych kobiet. Producent leku, niemiecka firma Chemie Grünenthal, przeprowadził testy na zwierzętach, które wykazały, że niemożliwe jest przedawkowanie talidomidu – nie zabijał on gryzoni nawet w ogromnych dawkach. Nie przeprowadzono jednak żadnych testów na ciężarnych samicach zwierząt, by sprawdzić wpływ leku na płód. Skutkiem podania leku ciężarnym kobietom było ponad 10 tys. urodzeń dzieci z wadami wrodzonymi (brak kończyn – focomelia, deformacje uszu, oczu, narządów wewnętrznych), a także tysiące poronień. Upór jednej „niepokornej" urzędniczki FDA, dr Frances Oldham Kelsey, sprawił, że tragedia nie rozlała się na USA. Mimo ogromnych nacisków ze strony producenta, który chciał wprowadzić lek na amerykański rynek, Kelsey odmawiała zatwierdzenia talidomidu, domagając się dowodów, że lek nie przenika przez łożysko. Dzięki jej nieustępliwości Stany Zjednoczone uniknęły masowej fali narodzin dzieci z wadami. Dziś pewnie izby lekarskie odebrałyby jej prawo do wykonywania zawodu.

Papierosy lekiem na podrażnienie gardła? W czasach, gdy palenie było normą społeczną, koncerny tytoniowe stanęły przed problemem – palacze zaczęli skarżyć się na kaszel i drapanie w gardle. Zamiast uznać szkodliwość dymu, firmy postanowiły przekuć wadę w zaletę. W latach 1930–1950 firmy tytoniowe (Lucky Strike, Camel, Philip Morris) reklamowały papierosy jako lek „łagodzący gardło", polecany przez lekarzy (kampania „Większość lekarzy pali Camele"). Philip Morris publikował „badania kliniczne" w prestiżowych pismach medycznych, które miały dowodzić, że ich papierosy są mniej szkodliwe dla błon śluzowych niż konkurencja. Przemysł tytoniowy wiedział o związku palenia tytoniu z rakiem już w latach 50., ale przez dekady finansował własne „instytuty badawcze", by siać wątpliwości i podważać dowody naukowe. Kampanie tytoniowe z połowy XX w. to podręcznikowy przykład inżynierii społecznej i manipulacji autorytetem naukowym.

Od XVI do początku XX w. rtęć, podawana w formie maści, tabletek czy inhalacji, była „złotym standardem" leczenia kiły. Podanie rtęci wywoływało ślinotok, co lekarze interpretowali jako dowód na to, że organizm „wypłukuje" chorobę wraz z nadmiarem flegmy

Heroina lekiem na kaszel? Niemiecka firma Bayer wprowadziła na rynek w 1898 r. lek na kaszel pod nazwą Heroin, niemal w tym samym czasie co Aspirynę, reklamując oba środki jako filary nowoczesnej apteczki. Bayer reklamował heroinę jako bezpieczną, nieuzależniającą alternatywę dla powszechnie stosowanej w tym czasie morfiny – pod koniec XIX w. problem uzależnienia od morfiny (tzw. choroba żołnierska) był powszechny. W ówczesnych gazetach i katalogach medycznych można było znaleźć reklamy przedstawiające matki podające heroinę dzieciom na łyżeczce. Sprzedawano ją w formie syropów, pastylek, a nawet nasyconych nią wat cukrowych na ból zęba, a darmowe próbki wysyłano do tysięcy lekarzy. Już po kilku latach lekarze zaczęli alarmować, że pacjenci potrzebują coraz większych dawek i reagują agresją na próby odstawienia leku.

W drugiej połowie XIX w. kokaina była uważana za „cudowny lek" – jej entuzjastą był młody Zygmunt Freud,

eprasa.pl 7580d17964



Ilustracja przedstawiająca upuszczanie krwi, XV w. FOT. DOMENA PUBLICZNA

który nazywał ją „magiczną substancją" i polecał jako lekarstwo na depresję oraz uzależnienie od morfiny. Zanim kokaina stała się nielegalnym narkotykiem, była składnikiem produktów codziennego użytku, dodawano ją do Coca-Coli, a napój reklamowano jako idealny tonik na zmęczenie, bóle głowy i „wyczerpanie nerwowe". Używano jej także jako lekarstwo na ból zęba, w kroplach, które miały pomagać w bolesnym ząbkowaniu, a także lekarstwo na katar i zatoki – sprzedawane w formie proszków do wciągania do nosa, co błyskawicznie prowadziło do uzależnienia. Pod koniec lat 90. XIX w. lekarze zaczęli dostrzegać przerażające skutki uboczne prowadzące do destrukcji osobowości (łącznie z halucynacjami i paranoją), zapaści fizycznej (skrajne wychudzenie, uszkodzenia serca i perforacje przegrody nosowej) oraz nagłych zgonów z powodu przedawkowania, które stały się plagą w dużych miastach.

Malarioterapia to metoda leczenia syfilisu za pomocą malarii. Polegała na celowej infekcji pacjentów pasożytem wywołującym malarię, co prowadziłoby do wywołania gorączki zabijającej krętki syfilis. Za opracowanie tej metody austriacki psychiatra Julius Wagner-Jauregg został uhonorowany Nagrodą Nobla w dziedzinie medycyny w 1927 r. – to jedyny przypadek, w którym lekarz otrzymał Nobla za celowe zarażenie pacjentów inną śmiertelną chorobą. Na początku XX w. kiła w stadium trzeciorzędowym (neurosyfilis) była wyrokiem śmierci. Powodowała „porażenie postępujące" – pacjenci tracili zmysły, cierpieli na paraliż i umierali w męczarniach. Szpitale psychiatryczne były pełne osób w ostatnim stadium tej choroby. Malarioterapia była stosowana powszechnie aż do lat 40. XX w. Została porzucona po odkryciu penicyliny – bezpiecznego, taniego i skutecznego antybiotyku, który zabijał kiłę bez potrzeby wywoływania wstrząsu gorączkowego.

Po drugiej wojnie światowej rząd USA zatwierdził DDT, silny środek owadobójczy opracowany podczas wojny w celu zwalczania malarii, jako „bezpieczny" środek na komary i insekty, który był masowo rozpylany w szkołach, kinach, basenach. Koncerny chemiczne i rządowe agencje prowadziły kampanie, których celem było oswojenie społeczeństwa z trucizną – do dziś można znaleźć nagrania, na których dzieci kąpią się w chmurach pyłu DDT rozpylanego przez ciężarówki, a w szkolnych stołówkach rozpylano preparat bezpośrednio nad jedzącymi uczniami, by pokazać, jak jest bezpieczny. DDT dodawano do tapet w pokojach dziecięcych, do farb, a nawet do ubrań, by chronić domowników przed molami i muchami. Podobnie jak w przypadku talidomidu pojawiła się „niepokorna" specjalistka od biologii – Rachel Carson – wyśmiewana przez współczesnych wyznawców „aktualnie obowiązującej nauki", atakowana personalnie, nazywana „alarmistką", „starą panną", ówczesna „szur i foliarz". W swojej książce z 1962 r. wykazała, że DDT kumuluje się w łańcuchu pokarmowym. Zauważyła, że pestycyd ten spowodował, iż jaja ptaków drapieżnych, takich jak bieliki amerykańskie i sokoły wędrowne, miały cienkie skorupki, które pękały przy wysiadywaniu, co doprowadziło te gatunki na skraj wyginięcia – liczebność populacji spadła o ponad 80 proc. Choć DDT nie zabijało natychmiast jak arszenik, to powodowało zaburzenia hormonalne u ludzi, prowadziło do problemów z płodnością i przedwczesnymi porodami, jest prawdopodobnym czynnikiem rakotwórczym (szczególnie w kontekście raka piersi i wątroby). Długotrwała ekspozycja prowadziła do drżenia mięśni

eprasa.pl 7580d17964

i zaburzeń rozwojowych u dzieci. Stosowanie DDT zostało zakazane w USA w 1972 r.

ZAWAŁ NA RECEPTĘ

W latach 60. i 70. ubiegłego stulecia rządy i organizacje zdrowotne zaczęły, pod wpływem badań Ancela Keysa (tzw. badanie siedmiu krajów), agresywnie promować margarynę. Masło przedstawiano jako „mordercę serc", a margaryna stała się symbolem nowoczesności i naukowego podejścia do zdrowia. Aby zamienić płynny olej roślinny w ciało stałe przypominające masło, stosowano proces częściowego utwardzania (uwodornienia), w wyniku czego powstają izomery trans kwasów tłuszczowych, które są obecnie uznawane za najbardziej szkodliwy rodzaj tłuszczów dla zdrowia człowieka. Szacuje się, że ta „zdrowa" zmiana diety mogła przyczynić się do setek tysięcy nadmiarowych zgonów na zawały serca na całym świecie. Hipoteza lipidowa Keysa, która stała się fundamentem piramidy żywieniowej przez ostatnie pół wieku, doprowadziła także do wyeliminowania tłuszczu z innych produktów żywnościowych (wtedy właśnie pojawiły się produkty typu light lub 0 proc.), przez co stały się one niesmaczne – tłuszcz jest nośnikiem smaku, przenosi i wzbogaca smaki innych składników, dzięki czemu potrawy są bardziej aromatyczne i smaczne. Aby to zrekompensować, producenci żywności zaczęli dodawać do nich cukier i syrop glukozowo-fruktozowy, co jest jednym z czynników epidemii otyłości w USA. Hipoteza lipidowa Keysa miała wpływ na jeszcze jeden aspekt „aktualnie obowiązującej nauki" – oleje roślinne z nasion, które pasowały do narracji o szkodliwości nasyconych tłuszczów zwierzęcych, stały się fundamentem nowoczesnej diety. Historia olejów z nasion,



Reklama syropu uspokajającego z morfiną dla ząbkujących dzieci
FOT. DIGITAL COMMONWEALTH

jak np. oleju bawełnianego, zaczęła się od ich wykorzystania jako smarów przemysłowych. Dopiero procesy rafinacji (wykorzystujące wysoką temperaturę i rozpuszczalniki chemiczne, jak heksan) pozwoliły uczynić je jadalnymi. Oleje roślinne (seed oils) – słonecznikowy, sojowy, rzepakowy – są od dekad promowane przez instytucje zdrowia jako zdrowa alternatywa dla tłuszczów zwierzęcych. Krytycy wskazują, że są one szkodliwe ze względu na zawartość wysokich ilości wielonienasyconych kwasów tłuszczowych omega-6, które we współczesnej diecie dominują nad omega-3, co prowadzi do przewlekłych stanów zapalnych w organizmie.

W 1966 r. amerykański ginekolog dr Robert A. Wilson opublikował książkę pt. „Feminine Forever", która stała się bestsellerem i wywarła ogromny wpływ na postrzeganie menopauzy w medycynie i kulturze. W swoim dziele Wilson przedstawił menopauzę nie jako naturalny etap życia kobiety, ale jako „chorobę niedoboru estrogenów", którą można i należy leczyć za pomocą hormonalnej terapii zastępczej (HRT). Wilson używał szokującej retoryki – nazywał menopauzę „kastracją", a kobiety po menopauzie – „żyjącymi trupami" i „kastratkami". Według niego brak estrogenów prowadził do „rozpadu fizycznego i emocjonalnego", utraty urody, atrakcyjności i przyjemności w życiu. Twierdził, że bez terapii estrogenami kobiety stają się „nudne i nieatrakcyjne", tracą płeć i nie są już „przyjemne w obyciu". Wilson (którego fundacja była finansowana przez firmy farmaceutyczne) obiecywał, że dzięki stosowaniu hormonalnej terapii zastępczej kobiety zachowają jędrną skórę, gęste włosy, popęd seksualny i unikną chorób. W 2002 r. okazało się, że długotrwałe stosowanie hormonalnej terapii zastępczej wiąże się z podwyższonym ryzykiem raka piersi, zawałów i udarów, co doprowadziło do chwilowego spadku zaufania do „aktualnie obowiązującej nauki".

Vioxx – „cudowny lek" na artretyzm? Historia leku Vioxx (produkowanego przez firmę Merck) to wręcz podręcznikowy przykład tego, jak agresywny marketing i chęć zysku korporacyjnego wygrywają z bezpieczeństwem pacjenta, tworząc „aktualnie obowiązującą naukę" mimo istniejących dowodów na zagrożenie. Wprowadzony na rynek w 1999 r. lek stał się hitem. Merck wydał setki milionów dolarów na reklamy bezpośrednie do konsumentów, wykorzystując wizerunek celebrytów, obiecując życie bez bólu. W ciągu pięciu lat lek przyjęło ponad 80 mln ludzi na całym świecie. W 2000 r. badanie VIGOR wykazało, że pacjenci przyjmujący Vioxx mieli pięciokrotnie wyższe ryzyko zawału serca niż ci przyjmujący inny lek – naproksen.

Historia medycyny i dietetyki to wahadło, które często wychyla się zbyt mocno w jedną stronę. Przez 2000 lat „wiedzieliśmy", że upuszczanie krwi pomaga. Przez 50 lat „wiedzieliśmy", że tłuszcz zabija. Dziś „wiemy", że mięso jest rakotwórcze, statyny chronią przed zawałem, a szczepionki mRNA chronią przed COVID. Żaden autorytet naukowy nigdy nie powinien być zwolniony z krytycznej analizy. To, co dziś jest „oczywistą prawdą", za kilka lat może znaleźć się na powyższej liście, obok syropu z morfiną czy dymu tytoniowego w jelitach.

Wison obiecywał, że dzięki stosowaniu hormonalnej terapii zastępczej kobiety zachowają jędrną skórę, gęste włosy, popęd seksualny i unikną chorób. W 2002 r. okazało się, że długotrwałe stosowanie hormonalnej terapii zastępczej wiąże się z podwyższonym ryzykiem raka piersi, zawałów i udarów, co doprowadziło do chwilowego spadku zaufania do „aktualnie obowiązującej nauki"

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7580d17964



LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Stanisława Sowińska

Oszałamiająca kariera Nechy Zalcman (bo tak naprawdę nazywała się Sowińska) świadczy, że nie tylko dziś ludzie prymitywni (pomijając status formalnego wykształcenia) mogą przeć na same szczyty. Przed wojną działała w Komunistycznej Partii Polski i już tylko to w Polsce Ludowej otwierało jej wszystkie bramy. Do tego doszły „zasługi" podczas działalności w PPR (1942–1945). A były one szczególne. Była ściśle związana z niejakim Ignacym Logą („Sowińskim" – czy stąd wzięła po wojnie nazwisko Sowińska?), majorem NKWD, który kierował jednym z pionów rozpracowujących polskie podziemie niepodległościowe.

Kierowała sekretariatem Oddziału Informacji PPR i GL-AL, komórką zbierającą dane o konspiracji Polskiego Państwa Podziemnego. Czemu to służyło? Podejrzenie szło w kierunku ich przekazywania do gestapo, ale z uwagi na to, jak potoczyły się losy Polski po 1945 r., nigdy nie było to solidnie badane.

Jak wyglądały szczególne osiągnięcia komunistów w tym zakresie? Sporządzane były okresowe raporty, które mówią o prawdziwym obliczu komunistów: „W czasie od I do X.1943 włącznie wciągnięto na listę 1700 nazwisk agentów g-[esta]po, rozszyfrowano w części całkowicie, w części niezupełnie 320 nazwisk działaczy reakcyjnych i 10 adresów lokali organizacyjnych". Przecież to sprawozdanie dotyczące zaledwie kilku miesięcy 1943 r.! Przez cały okres Polski Ludowej komuniści wypierali się takiej działalności, co więcej – oskarżali o to działaczy Polski Podziemnej i o współpracę z Niemcami. Dopiero Gomułka w wydanych pośmiertnie pamiętnikach (1994 r.) przyznał, że była to nieprawda. Ale w żaden sposób nie odniósł się do oskarżeń, że to jego formacja tak robiła i wydawała niepodległościowców w ręce okupantów. Przez kilkadziesiąt lat propaganda komunistyczna utrwaliła negatywny obraz konspiracji, wybielając się pod niebiosa i przypisując sobie wszystkie najważniejsze akcje polskiego podziemia.

Sowińska po wojnie, do 1948 r., była podpułkownikiem Głównego Zarządu Informacji „ludowego" WP. Związana z frakcją Gomułki (z nim też) była przez kilka lat uwięziona przez swych pobratymców. Po uwolnieniu trafiła do… Państwowego Wydawnictwa Naukowego. Była czerwoną grafomanką, o czym świadczą jej wspomnienia, powieści i „sztuki". W 1981 r. wyemigrowała do Francji, gdzie otrzymała azyl polityczny! To była kpina z Polaków i europejskiego poczucia sprawiedliwości. Z wykształcenia była „samoukiem", stan cywilny: panna (tak podawała w ankietach partyjnych), choć przypisuje się jej różnych mężów. Od 1956 r. była na sowitej „rencie partyjnej", z profesji: „zawodowy literat". ©℗



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Sierpniowe samosądy

Mieszkańcy Warszawy mieli pewne doświadczenie w wymierzaniu sprawiedliwości ludowej, czego przykładem było publiczne wieszanie zdrajców podczas powstania kościuszkowskiego. Jednak poziom wybuchu nienawiści z sierpnia 1831 r. zaskoczył wszystkich. U jego przyczyn leżały klęski ponoszone na froncie oraz kunktatorstwo przywódców powstania. Podnosiły się głosy, by przykładnie ukarać ludzi uwięzionych za szpiegostwo na rzecz Rosjan, przetrzymywanych dotychczas w areszcie bez procesu (niektórzy z nich przebywali tam od samego początku rebelii!).

Do wybuchu doszło w godzinach wieczornych 15 sierpnia 1831 r. Wzburzony tłum złożony z rzemieślników i robotników, a także z przedstawicieli inteligencji i oficerów, sforsował bramy Zamku Królewskiego. Więźniów wywlekano na zewnątrz, by wieszać ich na latarniach, ale część „na miejscu siekano".

Rozszalały tłum nie poprzestał na linczu, ciała ofiar obnażano i wieszano za nogi. Następnie skierowano się do kolejnych miejsc, gdzie przetrzymywano ludzi oskarżanych o szpiegostwo. Bez żadnego przeciwdziałania wojska czy służby więziennej wywleczono aresztowanych ze: Starej Prochowni, klasztoru dominikańskiego oraz Domu Przytułku i Pracy. Ofiary zakłuwano bagnetami, a ciała wieszano na latarniach. Łącznie tej nocy zginęło ponad 30 osób, w tym czterech generałów. Zamordowano też szczególnie znienawidzonych ewidentnych rosyjskich szpiegów: Józefa Birnbauma i Henryka Mackrotta.

Rankiem ściągnęły tłumy gapiów, oglądając ofiary samosądu. Szczególną uwagę zwracały kobiety, które „poklaskiwały i naigrywały się, niektóre nawet parasolików końce we krwi płynącej maczały, a potem chustki tą krwią napawały". Radość z linczu zadziwiała, gdyż nawet panie „wyższego wychowania i stanu z radością oglądały wiszące i porąbane trupy".

Ponownie doszło do samosądów, powieszono powszechnie znienawidzonego kuratora szkół kaliskich, Jana Kawęckiego, który w kobiecym przebraniu usiłował się wymknąć z Warszawy. Zabito też jeńca rosyjskiego, barona Kettlera, podobno był to odwet za zamordowanie jednego z polskich oficerów.

Po południu przywrócono porządek i w ciągu kilku dni rozstrzelano pięć osób biorących udział w samosądach. Władzę przejął gen. Jan Krukowiecki uważany za jedynego człowieka mogącego zagwarantować spokój. Niestety, okazało się, że łatwiej zapanować nad zrewoltowanym tłumem, niż skutecznie walczyć z Rosjanami. A samosąd wywarł bardzo negatywne wrażenie w całej Europie, o co zadbała rosyjska propaganda… ©℗

eprasa.pl 7580d17964



7 sierpnia w Mekce – najświętszym mieście islamu – następca tronu i szef saudyjskiego rządu książę Mohammed bin Salman (w środku), prezydent Turcji Recep Tayyip Erdoğan (od lewej) i premier Pakistanu Shehbaz Sharif podpisali przełomowe porozumienie militarne FOT. HANDOUT/AFP/EAST NEWS

Sojusz na beczce prochu



Jacek Przybylski

Przywódcy Turcji, Arabii Saudyjskiej i Pakistanu podpisali w Mekce pakt obronny, który zawiera zapisy zbliżone do art. 5 traktatu waszyngtońskiego. Nowy sojusz – będący odpowiedzią na współpracę wojskową Indii, Zjednoczonych Emiratów Arabskich i Izraela – może być rozszerzany na kolejne kraje arabskie z armiami liczącymi miliony żołnierzy. I już teraz stanowi wyzwanie dla NATO

Środa 8 lipca. Na czystym od chmur niebie mocno grzeje słońce. Po opuszczeniu dwudniowego szczytu NATO amerykański prezydent Donald Trump udaje się w kierunku lotniska w tureckiej stolicy. Wiadomo już, że nie odleci na pokładzie lśniącego nowością Air Force One podarowanego przez Katarczyków, którym do Ankary przyleciał. Na płycie lotniska w Ankarze czeka poprzednia wersja prezydenckiego samolotu, wyposażona w więcej systemów obronnych niż najnowsza prezydencka maszyna. Zmierzają do niej dziennikarze i pracownicy Białego Domu. Na pokład wchodzi też – śledzony przez telewizyjne kamery – prezydent Trump. Pasażerowie są więc przekonani, że odbędą lot wraz z amerykańskim przywódcą. Przed startem wszyscy proszeni są, aby szczelnie zasłonić okna. Załoga samolotu amerykańskiego przywódcy wyłącza transpondery, przez co maszyna natychmiast znika z komercyjnych stron służących do śledzenia lotów. To zasada stosowana w przypadku, gdy przywódcy odwiedzają żołnierzy w strefach działań

eprasa.pl 7580d17964

wojennych. Z Ankary po szczycie NATO z włączonymi transponderami i bez wielkich obaw wystartowali zarówno ówczesny premier Wielkiej Brytanii Keir Starmer, jak i kanclerz Niemiec Friedrich Merz.

UCIECZKA TRUMPA

Ochrona Donalda Trumpa bała się jednak, czy Irańczycy nie spróbują przeprowadzić zamachu na życie prezydenta USA. Ten scenariusz uznano za tak bardzo prawdopodobny, że ochrona prezydenta podjęła decyzję o przeprowadzeniu tajnej ewakuacji Trumpa. Według informacji podanych w ubiegłym tygodniu przez „Washington Post” i „New York Times” stary Air Force One wykorzystano więc w charakterze przynęty. Sam prezydent wraz z garstką najbliższych współpracowników na polecenie Secret Service miał zaś opuścić ten samolot przez drzwi po przeciwnej stronie i błyskawicznie wejść prosto do stojącego na podnośniku kontenera cateringowego. Sam kontener został następnie załadowany do innej maszyny należącej do amerykańskiego rządu: wojskowego C-32A, będącego zmodyfikowaną wersją Boeinga 757. Dopiero wówczas prezydent mógł w niezauważony sposób opuścić kontener i zająć miejsce na pokładzie. Aby nikt nie nabrał podejrzeń do wojskowej maszyny, tradycyjnie po zewnętrznych schodkach wszedł sekretarz obrony Pete Hegseth.

Po wylądowaniu w Wielkiej Brytanii Donald Trump znów ukradkiem dostał się na pokład starego Air Force One i opuścił go już przed kamerami telewizyjnymi, tradycyjnie schodząc po schodkach na płytę lotniska. Aby nie budzić podejrzeń, amerykański przywódca opublikował nawet zdjęcie, oznajmił, że „właśnie wylądował” i tłumaczył, że nowy Air Force One przyleciał wcześniej do Wielkiej Brytanii, aby stacjonujący w tamtejszej bazie amerykańscy żołnierze mogli go sobie obejrzeć. Następnie prezydent USA przesiadł się na pokład nowego Air Force One (daru od Katarczyków) i odleciał do Waszyngtonu. Podczas lotu zapowiedział, że najnowszy samolot Air Force One przejdzie jesienią modernizację w celu zwiększenia możliwości jego systemów obronnych. Powiedział też dziennikarzom, że zajmuje „pierwsze miejsce” na irańskiej liście celów. I zapytał retorycznie: „Ale jeśli ja zginę, wy też zginiecie. Prawda?”. „Być może pewnego dnia będziecie chcieli zmienić zawód” – ironizował przywódca najpotężniejszego mocarstwa świata.

TRAKTAT Z MEKKI

W czasach gdy liczba wrogów Ameryki wzrosła tak bardzo, że amerykański prezydent poważnie obawia się o swoje życie podczas powrotu z oficjalnego szczytu NATO, również dotychczasowi sojusznicy Stanów Zjednoczonych poszukują dodatkowych gwarancji bezpieczeństwa. W piątek 7 sierpnia w Mekce – najświętszym mieście islamu – następca tronu i szef saudyjskiego rządu książę Mohammed bin Salman, prezydent Turcji Recep Tayyip Erdoğan oraz premier Pakistanu Shehbaz Sharif podpisali pakt obronny. Negocjacje treści dokumentu trwały przez niemal rok. Hakan Fidan – turecki szef dyplomacji, były wieloletni szef Narodowej Organizacji Wywiadu (MIT) i potencjalny następca Erdoğana – ocenił, że zapisy zawartego właśnie militarnego porozumienia są porównywalne do treści paktu północnoatlantyckiego, a zwłaszcza art. 5. Napaść na jeden z krajów nowego sojuszu traktowana ma być jako atak na wszystkie sprzymierzone kraje. W rozmowie z państwową agencją prasową Anadolu Fidan zaznaczył, że w razie ataku dany kraj zdecyduje, o jaką formę wsparcia zwrócić się do innych sojuszników.

Wśród członków założycieli „muzułmańskiego NATO” miał być też Egipt. Wszystkie cztery kraje już od kilku miesięcy tworzą tzw. grupę R4, stworzoną w celu rozwiązywania problemów regionalnych (czytaj: skutków izraelsko-amerykańskiej wojny z Iranem). Egipcjanie brali też udział w negocjacjach. Na razie władze w Kairze nie dały się jednak przekonać Ankarze do zawarcia porozumienia wojskowego. Egipt – wierny sojusznik USA i jeden z nielicznych krajów arabskich, który utrzymuje pełne stosunki dyplomatyczne – próbuje bowiem utrzymywać jednocześnie dobre relacje z Turcją, Pakistanem i Arabią Saudyjską i nie psuć tych z Izraelem, Indiami oraz Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi. Przystępując do „muzułmańskiego NATO”, władze w Kairze będą musiały dokonać jasnego wyboru (nalegać na to będzie choćby Arabia Saudyjska). Mogą jednak wybrać dołączenie do sojuszu, jeśli zademonstruje on swoją skuteczność i zdolność do odstraszania potencjalnych agresorów. Wówczas do porozumienia z Mekki mogą też dołączyć takie afrykańskie potęgi wojskowe jak Maroko czy Algieria (wraz z Egiptem te trzy arabskie kraje posiadają łącznie ponad 2,5 mln żołnierzy). Do „muzułmańskiego NATO” w przyszłości przystąpić mogą również takie kraje jak Katar, Kuwejt, Bahrajn czy Oman, a także Azerbejdżan, Syria i Jordania.

ZMIANA UKŁADU SIŁ

Porozumienie w Mekce zawarły więc trzy państwa. Nawet bez członkostwa Egiptu nowy sojusz obejmuje kraje o tak dużym potencjale militarnym, że powstanie tego militarnego bloku istotnie zmienia układ sił na Bliskim Wschodzie oraz w Azji. Turcja dysponuje nie tylko statusem członka założyciela NATO, lecz także jedną z najliczebniejszych armii na świecie i drugą pod względem wielkości w sojuszu północnoatlantyckim (po Stanach Zjednoczonych). Turcy mogą się też pochwalić nowoczesnymi technologiami w armii oraz rozwiniętym przemysłem obronnym, którego wizytówkami są potężne drony czy własne systemy rakietowe od artylerii pola walki po zaawansowane pociski balistyczne i manewrujące (na czele z pierwszym tureckim hipersonicznym pociskiem balistycznym Tayfun Block 4).

Pakistan to jedyny kraj muzułmański z własnym arsenałem atomowym. Z kolei Arabia Saudyjska jest największym państwem Zatoki Perskiej, jednym z największych eksporterów ropy naftowej na świecie oraz jedyną gospodarką świata arabskiego należącą do elitarnej grupy państw G20. Arabia Saudyjska podpisała też 22 lipca 2026 r. oficjalne porozumienie ze Stanami Zjednoczonymi dotyczące współpracy przy cywilnym programie jądrowym, który w przyszłości może potencjalnie otworzyć władzom w Rijadzie drogę do wzbogacania uranu i uzyskania własnej broni jądrowej. Łącznie te trzy muzułmańskie kraje mają ponad 1,3 mln żołnierzy, a także ok. 6 tys. czołgów, 1 tys. samolotów bojowych, 21 okrętów podwodnych, 38 fregat oraz 15 korwet.

Porozumienie Turcji, Arabii Saudyjskiej i Pakistanu – zawarte bez oficjalnego błogosławieństwa władz w Waszyngtonie – jest odpowiedzią nie tylko na brak dostatecznej ochrony dla krajów

eprasa.pl 7580d17964

Bliskiego Wschodu ze strony Stanów Zjednoczonych, przedkładających interesy Izraela nad bezpieczeństwo swych islamskich sojuszników w regionie. To również formalne rozszerzenie trwającej od dekad współpracy wojskowej Arabii Saudyjskiej z Pakistanem. Pakistan od lat zapewniał siłom saudyjskim solidne szkolenie, a na mocy zawartego w ubiegłym roku dwustronnego porozumienia między tymi państwami w saudyjskich bazach stacjonuje obecnie ok. 13 tys. pakistańskich żołnierzy. Władze w Rijadzie pomagają zaś Islamabadowi w spłacie wielomiliardowych kredytów zaciągniętych w Chinach i Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Z kolei Pakistańczycy są stałymi nabywcami tureckich dronów wojskowych.

Zawarcie porozumienia z Mekki to punkt zwrotny w kształtującym się od nowa porządku na Bliskim Wschodzie i w Azji Południowej

Porozumienie z Mekki to również reakcja na coraz intensywniejszą współpracę Izraela z Indiami z Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi. I ważny sygnał polityczny. To bowiem dowód na to, że władze Arabii Saudyjskiej pogodziły się z faktem, iż nie uzyskają od USA gwarancji bezpieczeństwa na wzór art. 5 paktu północnoatlantyckiego. Bezpieczeństwo królestwa w trudnych czasach dla bogatych w ropę państw Zatoki Perskiej ma gwarantować zawarty w Mekce traktat. Można go bowiem uznać za jasne ostrzeżenie dla Teheranu: kolejny poważny atak na Arabię Saudyjską może skutkować wciągnięciem do wojny Pakistanu i Turcji.

Przedstawiciele państw związanych traktatem z Mekki oficjalnie podkreślają, że ich sojusz nie jest wymierzony przeciwko Iranowi ani przeciw żadnemu innemu państwu. Irańscy politycy nie ukrywają jednak rozczarowania nowym traktatem. „Saudyjczycy powinni zrozumieć, że papierowa umowa z Turcją i Pakistanem nie zapewni im bezpieczeństwa, tak samo jak nie zapewniły tego dziesięciolecia jednostronnej zależności od Amerykanów” – oznajmił na platformie X członek Komisji Bezpieczeństwa Narodowego i Polityki Zagranicznej irańskiego parlamentu, Ebrahim Rezaei. Irański minister obrony oznajmił jednak, że chciałby, aby „muzułmańskie NATO” rozszerzyć m.in. o Iran. Ten wariant wydaje się jednak mało prawdopodobny. Stany Zjednoczone pozostają obecnie w konflikcie z irańską armią, a Iran i jego sojusznicy (jemeńscy Huti) uderzają w ważne dla Saudów cele i zakłócają żeglugę nie tylko w cieśninie Ormuz, lecz także na Morzu Czerwonym. Nie bez znaczenia jest też to, że większość muzułmanów w Turcji, Arabii Saudyjskiej i Pakistanie stanowią sunnici, w Iranie dominują szyici. Można się raczej spodziewać, że „muzułmańskie NATO” stanie się blokiem służącym powstrzymaniu groźnych dla stabilności regionu działań Iranu – graniczącego zarówno z Turcją, jak i z Pakistanem – oraz coraz śmielszych poczynań Izraela.

W lipcu wspomniany wyżej szef tureckiej dyplomacji Hakan Fidan określił Izrael pod rządami Beniamina Netanjahu mianem „ciężaru, którego ludzkość nie jest już w stanie udźwignąć”, i dodał, że polityka izraelskiego premiera stanowi zagrożenie dla bezpieczeństwa międzynarodowego i stabilności nie tylko w regionie Bliskiego Wschodu, lecz także dla całego świata. Władze w Tel Awiwie w ostrych słowach potępiły te słowa, uznając je za wezwania do zagłady narodu żydowskiego.

Premier Netanjahu i inni prominentni politycy w kraju malują obraz Turcji jako nowego Iranu i ostrzegają przed powstającą „radykalną osią sunnicką”. Szef rządu w Tel Awiwie zwracał zaś niedawno uwagę samego Donalda Trumpa na „poważne wypowiedzi prezydenta Turcji i ludzi z jego otoczenia, kwestionujące istnienie Państwa Izrael”, aby skłonić prezydenta USA do zablokowania dostaw nowoczesnych myśliwców F-35 dla tureckich sił zbrojnych.

Turcy doskonale pamiętają, jak 9 września 2025 r. Izrael zbombardował cele w stolicy Kataru. Zawarcie porozumienia z Arabią Saudyjską i Pakistanem daje władzom w Ankarze nowe argumenty chroniące Turcję przed zbrojną agresją ze strony Izraela. W ostatnim czasie znaczącemu pogorszeniu uległy również stosunki Arabii Saudyjskiej ze Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi.

WYZWANIE DLA NATO

Zawarcie porozumienia z Mekki to punkt zwrotny w kształtującym się od nowa porządku na Bliskim Wschodzie i w Azji Południowej. A także istotny moment w powstawaniu nowego porządku światowego.

I chociaż Turcja oświadczyła, że jej nowe porozumienie obronne z Pakistanem i Arabią Saudyjską nie stoi w sprzeczności z jej zobowiązaniami wobec NATO, to nowy muzułmański blok militarny może potencjalnie stanowić poważne wyzwanie dla przyszłości liczącego aż 32 kraje sojuszu północnoatlantyckiego. I to z kilku powodów. Po pierwsze, oba sojusze, z którymi związana jest Turcja, przewidują wzajemną pomoc zgodnie z zasadą „jeden za wszystkich, wszyscy za jednego”. W razie wybuchu konfliktu wykraczającego zasięgiem poza Bliski Wschód może się więc pojawić konflikt interesów, który będzie groźny dla jednej lub drugiej grupy sojuszników.

Po drugie, jeśli „muzułmańskie NATO” rzeczywiście się sprawdzi, to może stanowić przykład udanego porozumienia między krajami mającymi przejąć od USA odpowiedzialność za bezpieczeństwo w regionie. Waszyngton pod rządami Donalda Trumpa dąży bowiem do ograniczenia swojej roli „gwaranta bezpieczeństwa” nie tylko w Europie, lecz także na Bliskim Wschodzie.

Trzeba też pamiętać, że Turcja od ponad pół wieku pozostaje w napiętych relacjach z Grecją, która również należy do NATO. Tymczasem tureckie Tajfuny Block-4 osiągają prędkość ok. 6200 km/h (co czyni je niemal niemożliwymi do przechwycenia) i mają zasięg 800 km (czyli są zdolne do rażenia celów w Grecji i na Cyprze). Dzięki nowym pociskom i wsparciu politycznemu ze strony członków „muzułmańskiego NATO” władze w Ankarze mogą pozwolić sobie w niedalekiej przyszłości na zaostrzenie stanowiska w rozmowach o przyszłości Cypru. Nowe zamówienia dla tureckiego przemysłu obronnego ze strony Pakistanu i Arabii Saudyjskiej przełożą się zaś zapewne na kolejne technologiczne innowacje i umocnią geopolityczną pozycję Ankary.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7580d17964

PRZERWY W MECZU

Podczas meczu Flamengo – Ceará o Puchar Brazylii drużyn w kategorii do lat 15 w Rio de Janeiro młodych piłkarzy zaatakowała papuga. Sędzia musiał kilkakrotnie przerywać pojedynek. Zaczęło się od tego, że gdy piłkę przejął obrońca Flamengo, nagle bardzo blisko nad nim znalazł się ptak. Skrzydlaty 12. zawodnik – tyle że nie wiadomo którego klubu – nie dawał spokoju też pozostałym nastoletnim sportowcom. Mecz jednak udało się jakoś dokończyć – wygrało Flamengo 1:0.



FOT. CBFTV/YOUTUBE

LEWY PILOT

Trzydziestoczteroletni Kanadyjczyk przez cztery lata podszywał się pod pilota. Wcześniej pracował jako steward. Po tym swoim okresie zawodowym sfałszował legitymację pilota. Dzięki temu korzystał z programów Non-Rev – takich, które umożliwiają pracownikom linii lotniczych podróżować bezpłatnie lub po mocno obniżonej cenie. Mężczyznę zdemaskowano, gdy jego dokument wzbudził podejrzenie. Został ekstradowany z Panamy i przyznał się do oszustwa. Grozi mu do 20 lat więzienia i 250 tys. dol. grzywny.

ZAROBIĆ NA ŚLUBIE

W nigeryjskim mieście Kano odbył się masowy ślub 1,5 tys. par. Rząd stanowy sfinansował wydarzenie kwotą równowartości 1 mln dol., pokrywając posag, meble i wyposażenie domów dla osób nisko zarabiających. Ów program jednak przyciąga oszustów, którzy liczą na łatwy przypływ gotówki. Jedna z kandydatek na pannę młodą jako pana młodego przedstawiła swojego brata. W innym przypadku para będąca już małżeństwem próbowała to ukryć i przedstawiała się jako narzeczeństwo.

PASY

Wieczorny lot samolotu z Victorii do Toronto został anulowany, ponieważ obecne na pokładzie dziecko odmówiło zapięcia pasów. Ani opiekun, ani załoga nie zdołali niesfornemu pasażerowi ich zapiąć. Ze względów bezpieczeństwa samolot wrócił do terminalu, a dziecko i opiekun musieli wysiąść. Opóźnienie sprawiło, że maszyna nie zdążyła wylecieć przed zamknięciem pasa startowego na noc. Jej pasażerom przyszło udać się do celu następnego dnia zastępczymi połączeniami.

NOWY OBIEKT

Amfiteatr Berico w pobliżu Vicenzy przez lata traktowano jako archeologiczną sensację. Uchodził za prawie 1700-letni obiekt, odwiedzany przez Juliusza Cezara i ponownie odkryty po osuwisku. Teraz osoba odpowiedzialna za przedsięwzięcie siedzi w więzieniu, ponieważ okazało się ono oszustwem. To żaden zabytek starożytności, lecz nowy obiekt, w dodatku wybudowany nielegalnie. ©℗

Filip Memches



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

I kto tu kogo szpieguje?

Kraken K3 Scout to modułowy, autonomiczny statek nawodny firmy Kraken, zaprojektowany do wymagających operacji morskich. Tego typu bezzałogowe łodzie elitarnych sił specjalnych przeznaczone zostały m.in. do wykorzystania w misjach w cieśninie Ormuz.

Kłopot w tym, że choć formalnie zostały wyprodukowane przez brytyjską firmę, to w ich środku wykorzystano podzespoły wyprodukowane w Chinach. Efekt? Jak ujawnił „The Telegraph", chińskie kamery w dronach szpiegowskich przesyłały dane nie tylko do brytyjskich mocodawców, lecz także na... chiński adres IP.

Problem dotyczy floty ok. 20 brytyjskich bezzałogowych łodzi K3 Scout o wartości ok. 12 mln funtów (równowartość 60,4 mln zł). Według mediów kamery pozostawały aktywne nawet po wyłączeniu dronów. Brytyjskie Ministerstwo Obrony po wykryciu problemu odłączyło więc drony od Internetu i zapewniło, że nie doszło do wycieku poufnych danych.

Afera w brytyjskiej marynarce wojennej to kolejny dowód na to, jak ważna jest kontrola nad każdym komponentem. Poszczególne elementy mogą przecież nie tylko wpływać na to, kto otrzymuje wrażliwe dane wywiadowcze, lecz także umożliwić przejęcie kontroli nad daną jednostką. Właśnie dlatego przy budowie nowoczesnego uzbrojenia kluczowa jest technologiczna suwerenność. Wnioski z brytyjskiej wpadki powinny wyciągnąć też polskie służby. Polska przeznacza bowiem na zbrojenia rekordowe kwoty w swojej historii. Tylko w tym roku ma to być ok. 200 mld zł, czyli niemal 4,8 proc. PKB. Dobrze by było, gdybyśmy wiedzieli, kto naprawdę kontroluje zakupiony na kredyt drogi sprzęt. ©℗

eprasa.pl 7580d17964

Izrael za kulisami ataku na Ceutę



Są liczne dowody, że za kampanią, która podziałała stymulująco na uderzenie marokańskich mężczyzn na Ceutę, stały marokańskie służby specjalne

FOT. ABDEL MAJID BZIOUAT/AFP/EAST NEWS



Witold Repetowicz

Najazd migrantów na Ceutę i Melillę był starannie przygotowaną operacją hybrydową Maroka, przeprowadzoną przy politycznym i propagandowym wsparciu Izraela. Wywołanie kryzysu migracyjnego miało przykryć główny cel: podważenie suwerenności Hiszpanii nad tymi terytoriami, a w perspektywie ich przejęcie przez Maroko. To byłoby „karą" dla hiszpańskiego rządu za wspieranie Palestyny i sprzeciw wobec wojny z Iranem. Inne cele też były realizowane

W głośnej, choć nieco przereklamowanej książce „Czarny łabędź" libański autor Nassim Nicholas Taleb zwraca uwagę, że człowiek ma naturalną skłonność do redukowania wielowymiarowości skomplikowanych spraw, gdyż jego percepcja przyzwyczajona jest do określonych reguł. Dlatego przyswajane informacje podporządkowuje pewnym schematom. Im bardziej zatem sprawa jest skomplikowana, tym większe następuje uproszczenie, a w rezultacie całkowite zafałszowanie rzeczywistości.

Sprawa ataku na Ceutę i Melillę jest właśnie bardzo złożona i wielowymiarowa, a jednocześnie pozornie wpisuje się w znane reguły: migracja, lewica, Sánchez i wszystko jasne? Niestety, nie. Lewicowy rząd Pedra Sáncheza prowadzi szkodliwą dla całej Europy politykę migracyjną. Tyle że schematyczne narzucenie podziału, w którym z jednej strony jest Sánchez odpowiedzialny za wszystko i szukający wymówek, a z drugiej jego krytycy pokazujący szkodliwość polityki otwartych drzwi, nie tylko jest zafałszowaniem obrazu, lecz także wpisuje się w cele operacji hybrydowej. Ta bowiem żeruje na takiej polaryzacji postaw, co zresztą potwierdza rzeczywistość. Skłócona Europa i osłabiona Hiszpania mają mniejsze zdolności przeciwstawienia się planom Maroka. A dowodzi tego fakt, że ani Unia Europejska, ani żadne państwo członkowskie słowem nie skrytykowało

eprasa.pl 7580d17964



Maroka i nie potępiło pojawiających się zakusów na integralność terytorialną Hiszpanii. Co więcej, Ursula von der Leyen wręcz nazwała Maroko strategicznym partnerem, któremu trzeba dać więcej pieniędzy. Większość narracji w europejskich mediach, no może poza hiszpańskimi, a także komentarze polityków, dotyczy wyłącznie problemu migracji. W odniesieniu do zamachu na integralność terytorialną Hiszpanii zapanowała całkowita ślepota.

Istnieją liczne dowody, że za kampanią dezinformacyjną, która podziałała stymulująco na uderzenie strumienia młodych marokańskich mężczyzn na Ceutę, nie stała żadna „mafia", lecz marokańskie służby specjalne. Są również liczne relacje wskazujące, że władze Maroka zapewniały logistykę, zwożąc migrantów ciężarówkami. Ponadto służby marokańskie nie tylko nie przeszkadzały chętnym do nielegalnego przekroczenia granicy, lecz także siłą powstrzymywały tych, którzy później chcieli wracać. Wśród samych migrantów byli też funkcjonariusze marokańskiego aparatu bezpieczeństwa. I to nie dlatego, że z powodu niskich zarobków chcieli uciec do Europy. Tymczasem od 2018 r. UE dała Maroku ponad 800 mln euro na powstrzymywanie nielegalnej migracji.

CYWILE JAKO BROŃ

Maroko ma bogate doświadczenie w wykorzystywaniu cywilów jako broni demograficznej. W różnych zresztą celach. W 1975 r., gdy w ramach dekolonizacji Hiszpania opuszczała Saharę Zachodnią, wybuchł krwawy konflikt o to terytorium między Frontem Polisario, reprezentującym miejscową ludność zwaną Sahrawi, a Marokiem i Mauretanią. Polisario było za to wspierane przez Algierię i tak jest zresztą do dziś, co powoduje, że relacje marokańsko-algierskie są fatalne, a każdy z tych krajów próbuje wymusić na Europie, by trzymała jego stronę. Wracając do 1975 r., Maroko przejęło wówczas kontrolę nad Saharą Zachodnią, bo puściło strumień 300 tys. nieuzbrojonych cywilów, którzy po prostu weszli tam i zostali. Tymczasem Sahrawijczycy liczyli raptem 74 tys., więc zostali zepchnięci na pustynię, a Maroko zablokowało im powrót, budując mur. Dekady życia w beznadziei spowodowały później, że Sahrawijczycy w drugiej dekadzie XXI w. zaczęli masowo zasilać szeregi Państwa Islamskiego i Al-Kaidy.

Zajęcie Sahary Zachodniej spotkało się jednak ze sprzeciwem zarówno Rady Bezpieczeństwa ONZ, jak i Zgromadzenia Ogólnego, a także było niezgodne z opinią Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości. Kilkadziesiąt państw uznało tymczasem tzw. Sahrawijską Arabską Republikę Demokratyczną proklamowaną przez Front Polisario, która pozostaje nawet członkiem Unii Afrykańskiej. Maroko jednak nie tylko się tym nie przejęło, lecz także nie ukrywa większych apetytów związanych z ideologią Wielkiego Maroka. Według tej imperialnej wizji do Maroka powinny należeć Mauretania, północne Mali, część zachodniej Algierii oraz hiszpańskie terytoria w północnej Afryce.

W 2021 r. Maroko znów użyło broni demograficznej. Do Hiszpanii na leczenie udał się wówczas szef Frontu Polisario, Brahim Ghali, co rozwścieczyło Maroko. Zaraz potem 8 tys. afrykańskich migrantów uderzyło na Ceutę. Marokańskie służby zachowały się biernie i w rezultacie Ghali musiał opuścić Hiszpanię, a UE dała temu północnoafrykańskiemu królestwu 620 mln euro. Ponadto Hiszpania, a wkrótce potem również niektóre inne państwa europejskie, zmieniła stanowisko w sprawie Sahary Zachodniej na korzystniejsze dla Maroka, uznając tzw. plan autonomii za jedyne rozwiązanie konfliktu. Nawiasem mówiąc, wówczas wściekła się Algieria i zaczęła grozić wstrzymaniem dostaw gazu oraz zawiesiła traktat przyjaźni z Hiszpanią.

OPŁACALNA TAKTYKA

Maroko dostało więc wyraźny sygnał, że uderzanie migrantami po prostu się opłaca. Trochę to jak z plagą porwań turystów na Saharze w pierwszych dwóch dekadach XXI w. Gdy pierwsze państwo zapłaciło wielomilionowy okup, Al-Kaida i inni bandyci zobaczyli, że to świetny biznes, i liczba porwań wzrosła. Nic więc dziwnego, że Maroko wróciło do swej taktyki. Przypadkiem nastąpiło to tuż po wizycie Sáncheza w Algierii, której celem była poprawa wzajemnych relacji po kryzysie z 2021 r. Oczywiście Maroko nie było z tego powodu zachwycone. A tymczasem poczuło się wzmocnione wsparciem Izraela i USA.

Relacje między marokańską rodziną królewską (choć niekoniecznie samymi Marokańczykami) a Izraelem były dobre już po wstąpieniu na tron Hassana II, tj. w latach 60. XX w. W 2020 r. zostało to sformalizowane poprzez przystąpienie Maroka do tzw. Porozumień Abrahamowych, czyli normalizacji stosunków z Izraelem pod patronatem prezydenta Donalda Trumpa. W zamian zarówno USA, jak i Izrael uznały suwerenność Maroka nad Saharą Zachodnią. Maroko nie utrzymuje też stosunków dyplomatycznych z Iranem. Tymczasem jego główny rywal w Afryce Północnej – Algieria – ma bardzo dobre relacje z Teheranem i wspiera Palestyńczyków. Natomiast Hiszpania pod rządami Sancheza, ku wściekłości Izraela, uznała w 2024 r. państwowość Palestyny i była jednym

eprasa.pl 7580d17964

z najgłośniejszych w Europie krytyków izraelskiej jatki zgotowanej Palestyńczykom w Strefie Gazy oraz Libańczykom. Sánchez jest też na szczycie czarnej listy u Trumpa, gdyż po wybuchu wojny z Iranem odmówił USA korzystania z baz znajdujących się w Hiszpanii oraz wykorzystywania jej przestrzeni powietrznej do działań militarnych przeciwko Iranowi. Po tym posypały się groźby ze strony zarówno Trumpa, jak i Netanjahu pod adresem Hiszpanii. Dodatkowym aspektem jest to, że Ceuta daje Hiszpanii całkowitą kontrolę nad Cieśniną Gibraltarską.

Tu nie trzeba jednak łączyć żadnych kropek, bo sytuacja jest jasna, choć oczywiście propaganda izraelska już zarzuciła wszystkim mówiącym o udziale Izraela w kryzysie w Ceucie, że sieją teorie spiskowe, no i oczywiście są antysemitami. Tymczasem już w marcu br., czyli tuż po wybuchu wojny z Iranem, Izrael i proizraelscy eksperci w USA zaczęli promować ideę „dekolonizacji" Ceuty. Znany neokonserwatywny publicysta Michael Rubin opublikował wówczas artykuł na portalu wpływowego amerykańskiego think tanku American Enterprise Institute, wzywający Maroko do zorganizowania nowego Zielonego Marszu w celu zajęcia Ceuty i Melilli, które uparcie nazywał „terenami okupowanymi". Miesiąc później na izraelskim portalu Ynetnews ukazał się artykuł marokańskiego publicysty Amine'a Ayouba, w którym wzywał on Izrael do poparcia marokańskich roszczeń i pomocy w nakłonieniu USA, by również one udzieliły dyplomatycznego wsparcia.

Na efekt nie trzeba było długo czekać. W połowie lipca Izba Reprezentantów, głosami republikanów, przyjęła raport specjalnej komisji, w którym Ceuta i Melilla określone zostały jako „administrowane przez Hiszpanię miasta na marokańskim terytorium" oraz udzielone zostało „wsparcie dla wysiłków sekretarza stanu na rzecz dyplomatycznego zaangażowania Maroka i Hiszpanii w celu ustalenia przyszłego statusu Ceuty i Melilli". Dwa tygodnie później zaczął się atak, a znani z proizraelskiego nastawienia publicyści i eksperci, zwłaszcza amerykańscy, szerzyli narrację o konieczności dekolonizacji tych terenów. Natomiast liczni izraelscy politycy, dyplomaci i publicyści, zwłaszcza związani z rządem Netanjahu, starali się narzucić rzekomą analogię między Ceutą i Melillą a Strefą Gazy. Według tego przekazu Hiszpania „głodziła migrantów", dokonując „ludobójstwa", a tereny te są oczywiście „okupowane".

Teza, że Ceuta i Melilla są pozostałościami po epoce kolonializmu jest totalną bzdurą, a Maroko nie ma do nich żadnych praw. Miasta te zostały założone w starożytności przez Fenicjan, a następnie przez kilkaset lat należały do Imperium Rzymskiego. Nikt wtedy nie traktował Morza Śródziemnego jako granicy między kontynentami, a tym bardziej cywilizacjami, i tak pozostało również po upadku Rzymu. Morze Śródziemne łączyło, a nie dzieliło, a jedna cywilizacja wyrosła wokół niego po obu stronach. W późniejszym okresie miasta te znalazły się pod kontrolą Wandalów, Bizancjum, a w końcu Wizygotów. Tak było do 710 r., gdy nastąpiła inwazja islamsko-arabska.

Arabowie nie byli tu rdzenną ludnością, ale to jakoś umyka w wielu narracjach. Niegdyś celowały w nich politpoprawne środowiska lewicowe, które kierując się ideologią woke, starały się narzucić czarny obraz cywilizacji europejskiej. Było to rozwinięcie myśli wyrażonej przez palestyńskiego intelektualistę Edwarda Saida w jego głośnej książce „Orientalizm", w której sugerował on, że zachodnia cywilizacja od swego zarania była zatruta negacją Orientu. W wizji lansowanej przez rewizjonistycznych historyków nie było więc żadnego najazdu, lecz wyzwolenie Afryki Północnej i Półwyspu Iberyjskiego, a państwowość wizygocka była nic niewarta. W tej wizji islamofobicznym barbarzyństwem była za to rekonkwista, czyli proces odbijania utraconych ziem przez pozostałych na Półwyspie Iberyjskim chrześcijan. Arabowie nie zdołali bowiem podbić Asturii, gdzie utrzymał się wizygocki arystokrata Pelayo. Hiszpania jest zatem spadkobiercą królestwa Wizygotów, a ostatnim akcentem rekonkwisty było odbicie (a nie zdobycie) Ceuty i Melilli na początku XV w.

Terytoria te nigdy zresztą nie były klasyfikowane przez ONZ jako niesamodzielne (w przeciwieństwie do Sahary Zachodniej pod rządami Maroka), ich mieszkańcy mają pełne prawa polityczne jako obywatele Hiszpanii (co nie ma miejsca w przypadku kolonii), a ich demokratyczne wybory nie wskazują bynajmniej na chęć odłączenia się od Hiszpanii, a już na pewno nie na wolę dołączenia do Maroka. Paradoksem jest jednak to, że „dekolonizacyjna" narracja przestała być domeną lewackich rewizjonistów spod znaku woke, a forsowana jest teraz przez środowiska proizraelskie. Paradoksem jest też to, że głównym sojusznikiem Izraela w zachodniej części naszego kontynentu stała się radykalna prawica, w tym np. hiszpańska partia VOX.

Trudno zrozumieć, jak VOX i jej lider, Santiago Abascal, godzą swoje poparcie dla Izraela z tym, że to państwo nie tylko wspiera, lecz także podsyca marokańskie roszczenia. Oczywiście związki między VOX i wieloma innymi partiami radykalnej prawicy w Europie a Izraelem zostały zbudowane na propagandzie żydowskiego państwa o wspólnej walce z islamem. Jest to jednak również paradoks, bo to właśnie ekspansyjne plany izraelskich ekstremistów prowadzą do migracji z Bliskiego Wschodu do Europy. Jeśli zostałby zrealizowany plan obecnego rządu izraelskiego, by wypędzić Palestyńczyków ze Strefy Gazy, to niewątpliwie większość z nich szturmować będzie granice Europy.

ZASŁONA DYMNA

Gdy apogeum kryzysu minęło, pojawiły się informacje, że Maroko zaczęło aresztowania odpowiedzialnych za atak. Tyle że to kozły ofiarne i zasłona dymna. W końcu UE daje pieniądze i chce dawać więcej, więc trzeba coś pokazać. Samo płacenie Maroku za powstrzymywanie migracji nie jest przy tym złym rozwiązaniem, ale obok marchewki powinien być też kij. Nie może być bowiem tak, że partnerzy Europy przyzwyczają się do tego, że atakowanie jej jest opłacalnym biznesem. Poza tym kwestia Sahary Zachodniej jest oczywiście mało istotna dla Europy, więc niech sobie Maroko ją kontroluje. Jak chce realizować imperialne plany kosztem państw Sahelu, to też nie jest to sprawa Europy. Ale jeśli próbuje wciągnąć w te konflikty, to jest to niedopuszczalne, a całkowitym przekroczeniem czerwonej linii jest podważanie integralności terytorialnej Hiszpanii.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7580d17964

KSIĘGARNIA DO RZECZY



ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY



KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl 7580d17964

Dzikie jagody w ogniu



Budynek magazynowy rosyjskiego sklepu internetowego Wildberries, 24 lipca 2026 r. FOT. STRINGER/ZUMA PRESS/FORUM



Jakub Wozinski

Ukraińskie drony uderzyły jak dotąd w aż 10 centrów logistycznych należących do „rosyjskiego Amazona”. Czy popularna platforma sprzedażowa Wildberries zdoła się jeszcze podnieść po tak zmasowanym ataku?

W piątym roku wojny nie ma już właściwie miejsca na terenie Federacji Rosyjskiej, które nie byłoby narażone na ataki ukraińskich dronów. Od 2024 r. jednostki startujące znad Dniepru są w stanie przebyć nawet do 2 tys. km, zanim uderzą w precyzyjnie wskazany cel.

Początkowo Ukraińcy skupiali się w swoich atakach na celach wojskowych, infrastrukturze energetycznej czy też rafinerach, lecz ostatnio coraz częściej uderzają w obiekty cywilne, których funkcjonowanie przekłada się bezpośrednio na życie zwykłych Rosjan. Najbardziej przekonał się o tym handlowy gigant Wildberries, który – począwszy od 18 lipca – stał się przedmiotem ataków przeprowadzonych od Petersburga i Moskwę aż po Krym i kraj krasnodarski.

KŁĘBY DYMU

Spektakularne nagrania przedstawiające ogromne kłęby czarnego dymu nad rosyjskimi miastami błyskawicznie obiegły cały świat. Dla milionów Rosjan był to prawdziwy szok, choć – jak się wkrótce okazało – właściciele Wildberries spodziewali się ataków. Zaledwie 11 dni przed pierwszym uderzeniem dronów firma wprowadziła nowe zasady korzystania z platformy, które wyłączyły jej odpowiedzialność za straty materialne wynikające z nieprzewidzianych sytuacji (w tym ataków dronów). Gdy wieść o tym dotarła do zwykłych Rosjan korzystających na co dzień z popularnej platformy, oburzenie było ogromne, lecz z perspektywy zarządców Wildberries liczy się dziś przede wszystkim walka o przetrwanie, a nie satysfakcja klientów.

Sam fakt, że „rosyjski Amazon” dowiedział się o nadchodzących atakach wcześniej, jest dość znamienny, gdyż ów największy, bo kontrolujący aż 45 proc. rynku sprzedaży on-line w całej Federacji Rosyjskiej, sklep internetowy niemal od samego początku był prowadzony jakby za rękę. Oficjalna historia Wildberries spełnia wszelkie kryteria klasycznej opowieści o biznesie założonym w garażu, który dzięki charyzmie lidera przerodził się w warte wiele miliardów przedsięwzięcie. Stojącej od lat na czele firmy Tatianie Kim trudno jest wprawdzie odmówić talentów organizatorskich, lecz w jej biznesowej biografii szczególną uwagę przykuwają przede wszystkim związki z oligarchami i Kremlem.

Urodzona w 1975 r. Tatiana Władimirowna Kim jeszcze do niedawna była najbogatszą Rosjanką. Na świat przyszła w Groznym w rodzinie sowieckich Koreańczyków, których na Kaukaz przymusowo przesiedlił przed wojną Stalin. Jej ojciec był inżynierem, który później znalazł zatrudnienie w Gazpromie, natomiast matka – przedszkolanką. Rodzice przenieśli się do Moskwy, gdy obecna właścicielka Wildberries miała zaledwie rok.

Tatiana Kim od początku dała się poznać jako bardzo ambitna osoba, lecz jej rodzice tonowali jej zapędy i nakłonili do pójścia na studia z języka angielskiego (zamiast wymarzonego dziennikarstwa). Po ich ukończeniu zaczęła pracę jako nauczycielka i korepetytorka. Nie wiadomo, jak dalej potoczyłaby się jej kariera zawodowa, gdyby nie poznała Władisława Bakalczuka – z wykształcenia fizyka, który handlował komputerami i prowadził własną firmę internetową. Ślub wzięli zaledwie sześć tygodni po nawiązaniu bliższej znajomości.

POMYSŁ MŁODEJ MATKI

Kim i Bakalczuk doczekali się łącznie aż siedmiorga dzieci. Z urodzeniem pierwszego z nich wiąże się legenda założycielska Wildberries, gdyż przebywając całym dniami z noworodkiem, młoda anglistka miała wpaść na pomysł założenia własnego sklepu internetowego z ubraniami z katalogów Quelle i Otto. Był rok 2004. Na całym świecie, w tym także w Rosji, już od dobrych kilku lat niczym grzyby po deszczu powstawały rozmaite platformy sprzedażowe, z których część zdążyła już nawet zdobyć silną pozycję na rynku. Jak zatem doszło do tego, że Wildberries zdołało nie tylko się przebić, lecz także zdominować rosyjski rynek?

Tatiana Kim twierdzi, że pierwsze 700 dol. na rozkręcenie firmy dostała od męża, a paczki dla swoich klientów rozwoziła z dzieckiem komunikacją miejską. Dużo bliższa prawdy wydaje się hipoteza, że jej mąż zainwestował w rozkręcenie nowej firmy znaczne pieniądze (nawet kilka milionów dolarów), które pozyskał ze sprzedaży własnego biznesu. Niewykluczone, że już wcześniej zajmował się handlem odzieżą używaną, a mając dodatkowo doświadczenie w tworzeniu stron internetowych, dostrzegł w pomyśle na biznes swojej żony prawdziwą żyłę złota.

Według niektórych źródeł od samego początku firma Tatiany Kim i Władisława Bakalczuka miała mieć dobre kontakty

eprasa.pl 7580d17964

ze środowiskami specjalizującymi się w tzw. szarym imporcie, czyli sprowadzaniu oryginalnych produktów bez zgody producenta. Tłumaczyłoby to, dlaczego Wildberries było w stanie oferować produkty po niższych cenach. Kim stworzyła własne studio fotograficzne, zaangażowała do pracy w firmie kolejne osoby z rodziny i wprowadziła jako pierwsza punkty odbioru z przymierzalniami. Obecnie w całej Rosji jest ich już nawet do 100 tys.

Sieć przymierzalni umożliwiających tani i bezproblemowy zwrot towarów okazała się prawdziwym strzałem w dziesiątkę. Dla milionów klientów żyjących z dala od wielkich ośrodków Wildberries stało się szansą na nabycie markowych produktów. Szacuje się, że nawet połowa rzeczy nabywanych przez platformę jest zwracana, lecz ogromny jak na rosyjskie warunki wolumen sprzedaży pozwala zniwelować związane z tym koszty.

W ciągu zaledwie sześciu lat od założenia firmy Tatiana Kim była już milionerką, a jej pozycją nie zachwiał kryzys, który nastał w Rosji w 2014 r. w następstwie sankcji, które wprowadzono po zajęciu Krymu. Zawirowania gospodarcze skłoniły Wildberries do zmiany modelu biznesowego. Zamiast funkcjonować jako zwykły sklep internetowy, firma wybrała model charakterystyczny dla Amazona. Pozwoliło to ograniczyć ryzyko związane z zakupami towarów, które odtąd zdywersyfikowano na całą sieć sprzedawców korzystających z platformy.

NOWE ZNAJOMOŚCI

W 2017 r. Wildberries było już największym internetowym sprzedawcą w Rosji. Wszedłszy do pierwszej ligi krajowego biznesu, państwo Bakalczuk nie tylko stali się osobami z pierwszych stron gazet, lecz także nawiązali wiele znajomości z prominentnymi politykami. W tym właśnie czasie właściciele Wildberries poznali się m.in. z Ramzanem Kadyrowem, który miał im pomagać w rozwiązywaniu pewnych trudności biznesowych. Oprócz czeczeńskiego watażki przyjazne gesty względem Wildberries kierowali także kremlowscy ministrowie, jak choćby Danis Manturow, który w 2020 r. zaprojektował pomoc publiczną dla sklepów internetowych tak, że otrzymała ją… tylko firma Kim i Bakalczuka.

Wildberries było w kolejnych latach posądzane o nieuczciwe praktyki, lecz mając umocowanie w aparacie władzy, zdołało załagodzić kolejne kryzysy. W 2021 r. Tatiana Kim weszła w skład należącego do państwa banku VTB, co jedynie potwierdziło jej narastające zbliżenie do Kremla.

Od momentu ogłoszenia światowej pandemii dla Wildberries zapanował prawdziwy złoty okres. Prywatny majątek Tatiany Kim wyceniany w 2019 r. na nieco ponad 1 mld dol. wzrósł w ciągu dwóch lat do nawet 13 mld dol. (choć później wyraźnie zmalał). Wykorzystując ogromny boom na zakupy on-line, Wildberries weszło na rynek dawnych państw obozu sowieckiego oraz zaczęło oferować własne pożyczki.

STRZELANINA I ROZWÓD

Znajdując się na samym szczycie, „rosyjski Amazon” stał się dość nieoczekiwanie przedmiotem kolejnych wielkich kontrowersji. W czerwcu 2024 r. ogłoszono fuzję Wildberries z dużo mniejszą firmą reklamową Russ Outdoor, powiązaną z oligarchą Sulejmanem Kerimowem. Z biznesowego punktu widzenia transakcja nie przedstawiała większego sensu, ale zielone światło dla niej miał udzielić sam Władimir Putin.

Podejrzewający, że fuzja z Russ Outdoor stanowi podstęp służący zniszczeniu Wildberries, Władisław Bakalczuk podjął bardzo radykalne kroki. We wrześniu 2024 r. w towarzystwie Czeczenów zaatakował siedzibę Wildberries w Moskwie, a w wynikłej strzelaninie śmierć poniosły dwie osoby. Nagranie z wydarzenia obiegło media społecznościowe i początkowo wydawało się, że Bakalczuka czeka długa odsiadka. Po interwencji Ramzana Kadyrowa został jednak zwolniony z aresztu.

Dokładne przyczyny, dla których zarządca Czeczenii przyszedł w sukurs swojemu znajomemu, nie są do końca znane. Wiadomo natomiast, że w momencie, gdy doszło do fuzji i późniejszego ataku, małżeństwo Bakalczuków było już w trakcie procesu rozwodowego. Niewykluczone więc, że Władisław dał upust swoim frustracjom; tym bardziej że – zgodnie z wyrokami sądów – 99 proc. akcji „rosyjskiego Amazona” przypadło Tatianie. Szefowa koncernu tuż po całym zajściu ogłosiła zresztą, że powraca do swojego panieńskiego nazwiska Kim.

Niewiele osób pamięta, że w 2020 r. marka Wildberries wkroczyła oficjalnie do Polski. Nasz kraj miał być dla niej prawdziwą bramą prowadzącą do podboju całej Unii Europejskiej, a charakterystyczne dla rosyjskiej firmy przymierzalnie zaczęły powstawać w największych miastach Polski. Rosyjska agresja przeciwko Ukrainie całkowicie przekreśliła te plany, a Wildberries stało się przedmiotem oficjalnych sankcji polskiego państwa.

Jeszcze kilka lat temu „rosyjski Amazon” mógł zasadnie marzyć o podboju światowych rynków. Po niedawnych atakach firma będzie musiała przejść przez największy kryzys w swojej historii. Ukraińskie drony zaatakowały łącznie 10 centrów logistycznych, niszcząc do 15 proc. składowanych w nich towarów. Szacowane na nawet 3 mld dol. straty da się częściowo pokryć wypłatami odszkodowań, ale utrata zaufania klientów będzie miała bardzo poważne reperkusje. Dodatkowo szok, który wśród Rosjan wywołały ataki na ich ulubioną sieć handlową, bardzo zwiększa prawdopodobieństwo kolejnych ukraińskich akcji.

Pożary hal „rosyjskiego Amazona” okazały się o tyle skuteczne, że zdołały odcisnąć bardzo wyraźne i namacalne piętno na komforcie życia milionów zwykłych Rosjan. Być może po raz pierwszy w trwającym konflikcie rosyjskie społeczeństwo miało okazję doświadczyć na tak dużą skalę powszechną utratę mienia – nawet jeśli były to drobne zakupy ze sklepu internetowego.

Z perspektywy ukraińskiej atak na Wildberries był także bardzo udaną zemstą za systematyczne niszczenie hal Nowej Poszty, czyli jednej z największych nad Dnieprem firm kurierskich. Rosjanie wzięli je sobie na cel, ponieważ przy jej pomocy dystrybuowany jest sprzęt wojskowy, choć przy okazji udaje im się także skutecznie uprzykrzać codzienne życie mieszkańców Ukrainy.

Na początku 2025 r. Tatiana Kim ogłosiła, że nową siedzibą jej firmy będzie najwyższy wieżowiec w moskiewskim „City”. Liczący niemal 400 m wysokości biurowiec ma zostać ukończony do 2030 r., choć niedawne ataki każą powątpiewać w to, czy Wildberries będzie ostatecznie stać na całe przedsięwzięcie. Bez lepszej ochrony przeciwdronowej „rosyjskiemu Amazonowi” będzie ciężko utrzymać dotychczasową pozycję.

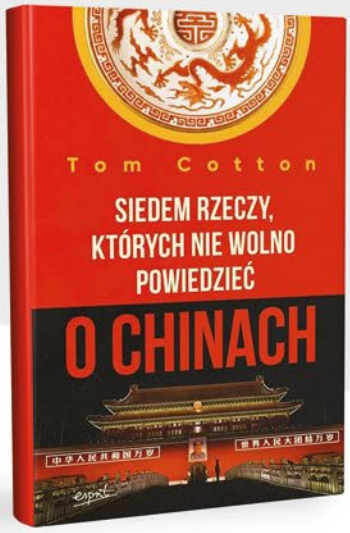
© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7580d17964

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

TOM COTTON: „SIEDEM RZECZY, KTÓRYCH NIE WOLNO POWIEDZIEĆ O CHINACH”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~617 ZŁ~~

292,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 325 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- **Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail**
- **Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.**

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 7580d17964



PROSTO ZYGZAKIEM

Bezkarność+

PIOTR GABRYEL

Przy okazji rozpoczęcia przez koncern Pfizer procedury zdzierania z nas, polskich podatników, kwoty w wysokości aż ok. 1,3 mld euro – czyli ok. 5,6 mld zł, czyli po ponad 150 zł od każdego Polaka – po raz kolejny przypomniała o sobie totalna bezkarność materialna polskich urzędników, w tym najwyższych polskich urzędników państwowych, w tym premierów – za podejmowane przez nich decyzje.

Bezkarność faktyczna, ponieważ formalnie – zgodnie z obowiązującym prawem – polscy urzędnicy taką odpowiedzialność przecież ponoszą. Ponoszą ją zgodnie z zapisami ustawy „O odpowiedzialności majątkowej funkcjonariuszy publicznych za rażące naruszenie prawa" z 20 stycznia 2011 r. Czyli zgodnie z zapisami ustawy obowiązującej już od ponad 15 lat, ale oczywiście wciąż „martwej". Bo czy ktokolwiek słyszał, żeby jakikolwiek urzędnik w Polsce został zmuszony do wynagrodzenia z własnej kieszeni (do wysokości 12-krotności swej miesięcznej pensji – jak stanowi ustawa) jakiejkolwiek, spowodowanej przez siebie – wskutek własnego rażącego niedbalstwa lub złamania prawa – szkody, z powodu której Skarb Państwa musiał wypłacić odszkodowanie poszkodowanemu obywatelowi? Bo ja nie słyszałem.

W przypadku Pfizera, który wygrał przed sądem w Belgii proces z Polską, chodzi o zamówione w tej firmie przez rząd Morawieckiego aż niewyobrażalnie absurdalne 64 mln dawek szczepionek przeciw COVID, których później rząd Morawieckiego po prostu… nie odebrał. Nie odebrał, licząc, że Pfizer nie zgłosi się po pieniądze? A Pfizer oczywiście się po nie zgłosił, a gdy ich nie dostał, wystąpił z pozwem o zapłatę umówionej kwoty i sprawę wygrał. No i natychmiast przystąpił do egzekucji należnego sobie długu Polski, bez ceregieli zajmując wierzytelności Bogu ducha winnej Polskiej Agencji Żeglugi Powietrznej, odpowiadającej za bezpieczeństwo na polskim niebie. No i teraz kasę PAŻP musi zasilić budżet państwa, który utrzymują polscy podatnicy, i w ten sposób wracamy do ponad 150 zł, które każdy Polak będzie musiał zapłacić dodatkowo w podatkach, żeby powetować Pfizerowi stratę zawinioną przez rząd Morawieckiego.

A rząd Morawieckiego, który z pewnością i w tej sprawie nie ma sobie nic do zarzucenia (a nawet, jak zwykle, wręcz przeciwnie), w tym przypadku ubezpieczył się dodatkowo w ten sposób, że w covidowej specustawie umieścił zapis o wyłączeniu rządzących wtedy polityków od odpowiedzialności za szkody w obrocie gospodarczym i naruszenia dyscypliny finansów. Co, po dorzuceniu tego rozwiązania do faktycznie wciąż „martwej" ustawy z 2011 r., śmiało można uznać za wyczerpujące znamiona Bezkarności+. ©℗



NOTATNIK MALKONTENTA

Ustawowy knut

ŁUKASZ WARZECHA

Podczas kampanii prezydenckiej „Wprost" zapytało Karola Nawrockiego, czy zgodziłby się jako głowa państwa na ustawowe, odgórne ograniczenie sprzedaży alkoholu nocą w całej Polsce. Pan prezydent odpowiedział: „Jestem generalnie przeciwko mnożeniu kolejnych zakazów czy nakazów. Czuję się wolnościowcem".

O tym, że prezydent wolnościowcem może i się sam czuje, ale nim obiektywnie nie jest, mogliśmy się przekonać już wielokrotnie, obserwując jego decyzje w sprawie kolejnych ustaw: likwidacja hodowli zwierząt na futra, wzmocnienie kompetencji PIP, wprowadzenie drastycznych i bezzasadnych kar dla kierowców, sprzeciw wobec nowelizacji „lex Kamilek". Przed głową państwa teraz kolejny tekst w postaci skandalicznego „lex szarlatan".

Polska stała się państwem skrajnie przeregulowanym

Niestety, pojawiły się informacje, że Karol Nawrocki gotowy jest również zgodzić się na purytański projekt ustawy, wprowadzającej dokładnie to, czemu sprzeciwił się podczas kampanii wyborczej: centralny zakaz nocnej sprzedaży alkoholu w całym kraju. Nie ma tu miejsca, aby wykazywać drobiazgowo, do jakiego stopnia i dlaczego jest to pomysł chory – i na poziomie konkretnych skutków, i na poziomie antyalkoholowego wzmożenia, które ogarnęło od jakiegoś czasu znaczną część polskich elit.

Straszne jest jednak co innego. Kto ma porównanie, bo bywa za granicą, również w krajach „starego Zachodu", musi zauważać, że na tle wielu z nich Polska w ciągu ostatnich kilkunastu lat stała się państwem skrajnie przeregulowanym. W wielu dziedzinach jesteśmy pod tym względem gorsi niż Niemcy, Francja, Włochy. Zakazy i nakazy wydają się podstawowym i ulubionym instrumentem rządzenia. W dodatku na ogół ich uchwalenie nie jest poparte gruntowną analizą, danymi, projekcjami skutków. Z wolnych obywateli robi się niewolników, o których ich państwowy właściciel musi dbać. Dokładnie tak jak mądry Rzymianin dbał o swoich niewolników, bo przecież stanowili wartościową „rzecz".

Jeżeli faktycznie prezydent jest skłonny podpisać ten skrajnie paternalistyczny zakaz, to wprost złamie swoją wyborczą obietnicę. Oraz oczywiście przyczyni się do wzrostu liczby melin i „domowych" producentów alkoholu. Najgorsze jednak jest, że znaczna grupa Polaków – tych, którzy uwielbiają czuć na szyi państwowe chomąto – będzie zachwycona i będzie się domagać, żeby jeszcze mocniej ćwiczyć ich ustawowym knutem. ©℗

eprasa.pl 7580d17964

Morze, którego już nie ma



Aral. Tu była kiedyś głęboka woda FOT. HARALD TOEPFER/SHUTTERSTOCK



Jacek Pałkiewicz

Aral polecam ludziom, którzy chcą zrozumieć, że wielkie katastrofy nie zaczynają się od wielkiego wybuchu, lecz od tysięcy małych ustępstw wobec chciwości, wygody i krótkowzroczności

Niełatwo polecać komuś podróż do miejsca katastrofy. Słowo „polecam” kojarzy się z przyjemnością, wypoczynkiem, pięknym widokiem, może z dobrą kuchnią i wygodnym hotelem. Jezioro Aralskie nie oferuje niczego z tego zestawu. Nie jest miejscem relaksu. Nie jest też romantyczną ruiną, której uroda pozwala zapomnieć o tragedii. To rana zadana ziemi przez człowieka, widoczna z taką wyrazistością, że nie sposób jej pomylić z żadnym innym pejzażem.

A jednak polecam Aral. Polecam go nie dlatego, że jest piękny, lecz dlatego, że jest prawdziwy. Są miejsca, które pokazują człowiekowi wspaniałość natury. Są też takie, które pokazują skutki ludzkiej pychy. Jedne uczą zachwytu, drugie odpowiedzialności. Aral należy do tej drugiej kategorii. To być może najważniejszy krajobraz ekologiczny XX w., wielki pomnik błędu, którego nie wykuto w marmurze, lecz w soli, piasku i rdzewiejących kadłubach statków.

NIEWIDZIALNY SZUM DAWNYCH FAL

Kiedy człowiek dociera w okolice dawnego portu Mujnak, ma wrażenie, że znalazł się na planie filmu o końcu świata. Na pustynnym bezkresie stoją statki. Nie przy nabrzeżu, nie na wodzie, nie w stoczni, ale pośród piachu, tam, gdzie kiedyś falowało morze. Ich kadłuby są przeżarte rdzą, burty rozcięte, pokłady martwe, a śruby okrętowe tkwią nieruchomo w pustynnym pyle. Z daleka wyglądają jak szkielety wielkich zwierząt, które nie zdążyły uciec, kiedy cofała się woda.

Najbardziej przejmująca jest cisza. Słyszy się w niej niewidzialny szum dawnych fal, krzyki rybaków, uderzenia lin o maszty, warkot silników, nawoływania z nabrzeża. Wszystko to istniało jeszcze stosunkowo niedawno. Żyją ludzie, którzy pamiętają statki wpływające do portu, przetwórnie rybne, kutry wracające z połowów, mokre sieci rozwieszane do wyschnięcia. Dzisiaj morze leży dziesiątki kilometrów dalej.

Dlatego Aral nie jest dla mnie abstrakcyjną katastrofą. Jezioro Aralskie było niegdyś jednym z największych śródlądowych zbiorników wodnych na ziemi. Żywiły je dwie wielkie rzeki Azji Środkowej: Amu-daria i Syr-daria. W czasach Związku Sowieckiego ich wody zaczęto na ogromną skalę odprowadzać kanałami na pola bawełny. Pustynia miała zakwitnąć, produkcja wzrosnąć, republiki azjatyckie miały dostarczać imperium białego złota.

Podróżując przez pół wieku, nauczyłem się, że pustynie bywają naturalne i sztuczne. Te pierwsze mają własną harmonię. Mogą być bezlitosne, ale są uczciwe. Nie udają, że człowiek nad nimi panuje. Sztuczna pustynia wokół Aralu jest inna. Powstała na dnie morza. Nosi nawet własną nazwę – Aralkum. Jej piasek zmieszany jest z solą i pozostałościami chemikaliów stosowanych przez dziesięciolecia w rolnictwie. Wiatr podrywa ten pył i niesie go nad wsie, pola i miasta. To, co kiedyś leżało bezpiecznie pod wodą, wraca do ludzi w powietrzu, którym oddychają. Nie ma bardziej wymownej metafory. Człowiek zabrał morzu rzeki, a morze oddało mu sól i truciznę.

Mroczna turystyka budzi czasem mój opór. Nie lubię podróży, które zamieniają cudze cierpienie w atrakcję. Są ludzie odwiedzający miejsca tragedii po to, by zrobić mocne zdjęcie, poczuć dreszcz i po kilku godzinach wrócić do klimatyzowanego samochodu. Taki sposób patrzenia jest nieprzyzwoity. Katastrofa nie jest dekoracją. Ruina nie istnieje po to, abyśmy mogli poczuć się ciekawsi i odważniejsi.

Ale istnieje także inny rodzaj podróżowania do miejsc mrocznych. Nie po sensację, lecz po zrozumienie. Nie po to, by podziwiać wrak, lecz by zapytać, dlaczego znalazł się na pustyni. Nie po to, by fotografować starca, który pamięta morze, lecz by wysłuchać, co stracił. Tak rozumiana podróż nad Aral ma głęboki sens. Jest lekcją, której nie zastąpią żadna konferencja o klimacie i żaden szkolny podręcznik.

W Mujnaku najważniejsze nie są wraki, choć to one przyciągają uwagę.

eprasa.pl 7580d17964

Najważniejsi są ludzie. Rybacy bez morza. Rodziny, których życie było związane z wodą. Pracownicy przetwórni, portu, stoczni. Ludzie, którzy znali zapach ryby, smoły, mokrego drewna i wiatru od jeziora, a potem obudzili się w miejscu, gdzie pozostał tylko kurz.

Rozmawiając z nimi, człowiek rozumie, że katastrofa ekologiczna nigdy nie jest wyłącznie katastrofą natury. Ona niszczy pamięć, zawody, obyczaje, poczucie tożsamości. Portowe miasto bez portu staje się absurdem. Rybak bez wody traci nie tylko pracę, lecz także język swojego życia. Dzieci dorastają, słuchając opowieści o morzu, którego nigdy nie widziały. Dla nich statek na piasku jest czymś normalnym. To może najbardziej przeraża.

W Aralu dotkliwie czuje się także arogancką wiarę XX w. w nieograniczoną władzę człowieka nad naturą. Wielkie imperia lubiły poprawiać geografię. Prostować rzeki, odwracać ich bieg, osuszać bagna, zalewać doliny, budować miasta w miejscach, gdzie wcześniej nikt rozsądny nie chciał mieszkać. Przyroda miała wykonywać rozkazy planistów. Uważano, że każdą przeszkodę można usunąć odpowiednią liczbą maszyn i robotników.

Aral pokazuje cenę takiego myślenia. Natura nie zemściła się, bo natura nie ma ludzkich uczuć. Po prostu zareagowała. Jeśli zabiera się wodę rzekom, to jezioro wysycha. Jeśli gleba jest nasycona solą i chemią, to wiatr niesie je dalej. Jeśli znika woda, to zmienia się klimat lokalny. Lata stają się gorętsze, zimy surowsze, rolnictwo trudniejsze, zdrowie ludzi gorsze. Nie ma w tym kary. Jest tylko konsekwencja.

Właśnie dlatego polecam tę podróż młodym ludziom, menedżerom, politykom, studentom, wszystkim, którzy przywykli myśleć, że odpowiedzialność jest pojęciem abstrakcyjnym. Nad Aralem odpowiedzialność ma kształt kadłuba tkwiącego w piasku. Można wejść na jego pokład, dotknąć rdzy, spojrzeć w stronę horyzontu i zrozumieć, że decyzje podjęte w gabinetach potrafią zmieniać mapy.

Aral ostrzega: przychodzi chwila, kiedy później już nie wystarcza. Nie znaczy to, że wszystko zostało stracone. W północnej części dawnego jeziora, po stronie kazachskiej, dzięki budowie zapory udało się podnieść poziom wody i częściowo przywrócić rybołówstwo. To ważny znak, że człowiek potrafi nie tylko niszczyć. Potrafi także naprawiać, przynajmniej częściowo. Nie da się jednak odtworzyć dawnego Aralu w jego pełnym kształcie. Można ratować fragmenty, przywracać życie niektórym obszarom, ograniczać burze solne, sadzić roślinność na wyschniętym dnie. Ale utraconego morza nie da się łatwo wskrzesić. I może właśnie ta mieszanka rozpaczy i nadziei czyni Aral miejscem tak ważnym. Gdyby był wyłącznie martwy, pozostawiałby tylko poczucie bezsilności. Tymczasem częściowe odrodzenie północnego akwenu pokazuje, że odpowiedzialna decyzja może zmienić bieg wydarzeń. Nie wszystko, nie od razu, nie bez kosztów. Ale może.

Nie polecam nad Aral jechać w pośpiechu. To nie miejsce na jednodniową wycieczkę i szybkie zdjęcie przy wraku. Trzeba posiedzieć dłużej w Mujnaku, porozmawiać, wejść do muzeum, spojrzeć na stare fotografie portu, zobaczyć łodzie stojące przy nabrzeżu, ludzi w pracy, wodę sięgającą po horyzont. Dopiero potem należy wyjść na dzisiejszą pustynię. Kontrast między fotografią a rzeczywistością jest silniejszy niż jakikolwiek komentarz. Trzeba także odjechać od miasta, popatrzeć na płaskie dno dawnego jeziora, na sól błyszczącą w słońcu i na linię horyzontu, która nie ma już nic wspólnego z morzem. Wtedy odległość zaczyna przemawiać. Człowiek próbuje wyobrazić sobie, że tu, gdzie stoi, pływały ryby, szalały sztormy, tonęły łodzie, a fale biły o brzeg. Wyobraźnia buntuje się, bo krajobraz nie daje żadnego wsparcia. Wszystko zostało przepisane.

NIE POPRAWI HUMORU, LECZ OBUDZI SUMIENIE

W swoich podróżach widziałem miejsca wielkiej urody, dzikie rzeki, pustynie, lodowe bezkresy, dżungle i góry, na których człowiek natychmiast czuje własną małość. Aral działa inaczej. Tam człowiek nie czuje się mały wobec potęgi natury. Czuje się niebezpiecznie wielki. Ta podróż może mieć sens moralny. Nie poprawi humoru, lecz obudzi sumienie. Może pokazywać nie tylko cuda świata, lecz także jego rany. Aral jest właśnie taką raną.

Czy jest to destynacja wakacyjna? Jeśli wakacje rozumiemy jako ucieczkę od myślenia – to nie. Jeśli jednak mają być czasem, w którym człowiek odzyskuje dystans do codzienności, uczy się świata i wraca z podróży mądrzejszy, wówczas Aral jest miejscem wyjątkowym. Polecam je ludziom, którzy nie boją się ciszy. Tym, którzy potrafią stać przy rdzewiejącym statku i nie myśleć wyłącznie o dobrym ujęciu. Tym, którzy chcą zrozumieć, że wielkie katastrofy nie zaczynają się od wielkiego wybuchu, lecz od tysięcy małych ustępstw wobec chciwości, wygody i krótkowzroczności.

Polecam je także dlatego, że wśród wraków można odnaleźć własne pytania. Co pozostanie po naszej epoce? Jakie pustynie tworzymy dzisiaj, choć jeszcze ich nie widzimy? Jakie rzeki odwracamy, jakie lasy usuwamy, jakie morza zatruwamy, powtarzając sobie, że wszystko da się później naprawić? Nad Aralem odpowiedzi nie przychodzą łatwo. Przychodzi za to milczenie. Ciężkie, gorące, przesycone solą. Milczenie portu bez morza.

Kiedy patrzy się na kadłuby statków stojących pośród pustyni, trudno nie pomyśleć, że są one pomnikami naszej pewności siebie. Człowiek chciał podporządkować sobie wodę, a stworzył pustynię

Kiedy patrzy się na kadłuby statków stojących pośród pustyni, trudno nie pomyśleć, że są one pomnikami naszej pewności siebie. Człowiek chciał podporządkować sobie wodę, a stworzył pustynię. Chciał zapewnić dobrobyt, a odebrał tysiącom ludzi źródło życia. Chciał poprawić naturę, a pozostawił po sobie krajobraz, który wygląda jak ostrzeżenie dla przyszłych pokoleń. Dlatego właśnie polecam podróż nad Jezioro Aralskie. Nie po zachwyt. Po otrzeźwienie.

Są miejsca, z których wraca się z pięknymi fotografiami. Z Aralu powinno się wrócić z niepokojem. I być może ten niepokój jest jedną z najcenniejszych pamiątek, które można przywieźć z podróży.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest odkrywcą źródeł Amazonki, survivalowym guru. Uczył kosmonautów i jednostki antyterrorystyczne strategii przetrwania w nieprzyjaznych środowiskach.

eprasa.pl 7580d17964

POCZET POLSKICH WODZÓW

Potocki broni granic



JACEK KOMUDA

To kolejny z lojalnych i walecznych oficerów króla Jana III Sobieskiego. Daty jego urodzin nie znamy, jednak biorąc pod uwagę fakt, że w 1646 r. otrzymał pierwsze starostwo halickie, a rok później został posłem na sejm, musiał mieć wówczas przynajmniej 20 lat, to znaczy urodzić się ok. 1626 r. Był synem hetmana Stanisława „Rewery" Potockiego, który po śmierci obu hetmanów koronnych przejął ciężar walki z kozakami Chmielnickiego, a potem z dwoma potopami: moskiewskim i szwedzkim; wreszcie walczył w odnowionej wojnie z carem. Andrzej Potocki został rotmistrzem chorągwi kozackiej już w 1648 r., a potem bił się w bitwach pod Zborowem i pod Beresteczkiem w pułku ojca. W czasie najazdu szwedzkiego walczył z kolei pod Stefanem Czarnieckim.

W kampanii przeciwko Moskwie i Kozakom w 1660 r. brał udział już jako dowódca pułku jazdy w dywizji ojca i wyróżnił się męstwem w bitwie pod Cudnowem. W kolejnych latach opowiadał się przeciwko planom elekcji „vivente rege" narzucanym przez Jana Kazimierza, jednak król mianował go chorążym koronnym i pozyskał dla swego stronnictwa. Zapewne dlatego w 1665 r. Potocki, który otrzymał po Stefanie Czarnieckim dowództwo jego chorągwi husarskiej, stanął po stronie wojsk królewskich. Jednak jego oddziały brały wówczas udział w walkach przeciwko kozakom na Ukrainie. Już w 1667 r. był kandydatem do buławy polnej koronnej, której nie otrzymał, jednak został wojewodą kijowskim.



FOT. DOMENA PUBLICZNA

W czasie bezkrólewia po abdykacji Jana Kazimierza Potocki opowiedział się najpierw za kandydaturą moskiewską, a potem przeszedł do obozu francuskiego (malkontentów) prymasa Prażmowskiego i hetmana Jana Sobieskiego. W kampaniach przeciwko Kozakom i Tatarom wystawiał prywatne oddziały, był też coraz bardziej lubiany przez żołnierzy, którzy dopominali się o nagrody dla niego. Na sejm w 1672 r. przyprowadził do Warszawy 14 chorągwi do dyspozycji Sobieskiego i prymasa. Podpisał też akt konfederacji malkontentów oddających się pod opiekę Ludwika XIV. Dlatego działalność w obozie francuskim ściągała na Potockiego wściekłość konfederatów gołębskich, opowiadających się za królem, którzy domagali się odebrania mu dóbr i przekazania jego bratu Feliksowi.

Po zawarciu ugody i wystawieniu armii wziął udział w bitwie pod Chocimiem w 1673 r., gdzie zasłużył się w czasie walki, dowodząc lewym skrzydłem armii koronnej. Kiedy po szturmie i klęsce Turków 11 listopada ich wódz Hussein Pasza chciał z częścią jazdy przebić się na południe, Potocki wraz z hetmanem polnym Dymitrem Wiśniowieckim poprowadził przeciwuderzenie, które odrzuciło wroga z powrotem do obozu.

Jako pułkownik brał udział w kolejnych wyprawach Sobieskiego, a 24 sierpnia 1675 r. pod Kałuszem pobił ordę nuradyna sułtana Safa Gereja. Rok później u boku króla bronił obozu pod Żurawnem. Wreszcie w 1682 r. został kasztelanem krakowskim, osiągając jeden z najwyższych urzędów ziemskich w Rzeczypospolitej.

Z kolei w czasie wyprawy 1683 r. Potocki odgrywał bardzo ważną rolę – król polecił bowiem, aby pozostał w kraju z częścią wojska, osłaniając granicę. W wyprawie pod Wiedeń wziął za to udział jego pułk pod dowództwem najstarszego syna – Stanisława Potockiego, starosty halickiego, który niestety zginął w czasie próbnej szarży 12 września. Andrzej Potocki, pozostający wówczas w Krakowie, skąd osłaniał granicę przed dywersją powstańców węgierskich, ciężko przeżył jego śmierć. Jednak w połowie października wyruszył do Lwowa, obległ Jazłowiec, a 28 listopada rozbił pod Zinkowem najazd tatarski na Wołyń, uwalniając jasyr i zablokował Kamieniec Podolski, wysyłając tam grupę Sierakowskiego. Te sukcesy sprawiły, że w 1684 r. Potocki otrzymał buławę polną, po śmierci Mikołaja Sieniawskiego, objął też dowództwo nad jego oddziałami. Niestety, nagroda przyszła zbyt późno, gdyż bohater był już mocno schorowany. Wziął wprawdzie udział w marszu pod Żwaniec, ale rok później zrezygnował z udziału w wyprawie bukowińskiej hetmana Jabłonowskiego. W roku 1686 wziął udział w nieudanym ataku Jana III Sobieskiego na Mołdawię, gdzie był dowódcą lewego skrzydła armii. Potocki nie był już wówczas zwolennikiem polityki króla wspierającego Austrię, ale też nie przyłączył się do antykrólewskiego spisku Benedykta Sapiehy.

Ostatnią wyprawę przeciwko Tatarom odbył w 1688 r., opowiadając się później przeciwko kolejnemu marszowi do Mołdawii. Po dłuższej chorobie zmarł w Stanisławowie 30 sierpnia 1691 r. i został pochowany w tutejszej kolegiacie. Jego syn, Józef, kontynuował wojenne dzieła ojca i w końcu otrzymał buławę wielką z rąk króla Augusta III Sasa, był to już jednak człowiek epoki upadku Rzeczypospolitej, gdzie urząd hetmański stał się już tylko parodią godności naczelnego wodza. ©℗

eprasa.pl 7580d17964

BYD SEALION 5 DM-I



FOT. JAP

Chińska marka BYD Auto jest od początku roku oficjalnie największym sprzedawcą pojazdów elektrycznych na świecie (pod względem wolumenu sprzedaży znacząco wyprzedza koncern Elona Muska). Również w Polsce Chińczycy radzą sobie coraz lepiej: według Instytutu Badań Rynku Motoryzacyjnego SAMAR po siedmiu miesiącach obecnego roku BYD prowadzi nad Wisłą zarówno w segmencie hybryd plug-in, jak i w łącznej kategorii NEV („pojazd nowej energii").

Najlepiej sprzedaje się SEAL U DM-i. My do testów wzięliśmy jednak istotnie tańszy model Sealion 5 DM-i. Ten rodzinny SUV o długości 4738 mm ma wydajny hybrydowy napęd (PHEV), ponad 1 tys. km całkowitego zasięgu w cyklu mieszanym, 212 KM łącznej mocy, 300 Nm momentu obrotowego, system kamer 360 stopni, dobrze wyciszoną kabinę, podgrzewane fotele i bardzo atrakcyjną cenę (w promocji: 136,5 tys. zł).

Wyposażony w 1,5-litrowy silnik benzynowy Sealion 5 DM-i potrafi być oszczędny (zejście poniżej 5,5 l w trasie nie jest szczególnie trudne) oraz dość dynamiczny (sprint od zera do 100 km/h zajmuje 8,1 s). Auto ma dość sztywno zestrojone zawieszenie i prowadzi się zaskakująco dobrze (zwłaszcza jak na chiński samochód). Na pochwałę zasługuje też płynna praca bezstopniowej przekładni eCVT.

Jedyna dostępna w polskich salonach wersja tego modelu nazywa się „Design". To ciekawa gra słów, bo akurat wzornictwo tego modelu jest dość uniwersalne (czytaj: nijakie). To zapewne zabieg celowy. Nie jest to auto, które można by pokochać już za sam wygląd, ale z drugiej strony mało kto, mógłby je z tego samego powodu znienawidzić (nawet za designerską „szczelinę" pod maską). Ale żeby nie było, że jakoś szczególnie narzekam, auto ma kilka ładnych elementów, np. fajne tylne światła LED.

A jak wygląda w środku? W przestronnej kabinie znajdują się dwa ekrany. Centralny ekran dotykowy o przekątnej 12,8 cala jest intuicyjny w obsłudze (nie podoba mi się, że za jego pomocą steruje się m.in. klimatyzacją czy podgrzewaniem siedzeń, ale muszę przyznać, że osobny pasek u dołu ekranu pozwala szybko dostosować pod siebie temperaturę czy moc nawiewu). Ekran przeznaczony dla kierowcy ma przekątną 8,8 cala. Sealion 5 bezprzewodowo współpracuje z Android Auto i Apple CarPlay. W kabinie znajduje się też bezprzewodowa ładowarka indukcyjna (15 W).

Kabina została wykończona materiałami na niezłym poziomie. Ten model BYD nie udaje jednak auta premium. Zdarzają się twarde plastiki, ale we wnętrzu jest też sporo wegańskiej skóry i eleganckich akcentów. Nie można też narzekać na jakość spasowania poszczególnych elementów. Przednie fotele są dość wygodne, a dzięki płaskiej podłodze miejsca na nogi i nad głową jest sporo nawet na trzech dorosłych pasażerów podróżujących na tylnej kanapie. Płytki bagażnik ma 463 l pojemności (po złożeniu tylnej kanapy rośnie do 1410 l).

XPPEN MAGIC NOTE PAD



Doskonałej jakości wyświetlacz, precyzyjny rysik, elegancki wygląd, wielozadaniowość i długi czas pracy na baterii – to największe zalety innowacyjnego tabletu „cztery w jednym" chińskiej marki XPPen.

Testowane urządzenie jest jednocześnie klasycznym tabletem multimedialnym z Androidem 14 na pokładzie, czytnikiem e-booków, cyfrowym notatnikiem oraz cyfrową tablicą do rysowania. Matowy wyświetlacz LCD (NXTPAPER) o rozdzielczości 1920 x 1200 i przekątnej 10,95 cala został wyposażony w trzy tryby, między którymi łatwo można się przełączać. Są to Ink Paper (najlepiej odzwierciedlający ekrany e-ink), naturalnego koloru (typowy ekran LCD) i jasnego koloru (wersja z wyraźnie przygaszonymi kolorami). Kolory są ładne, jasność jest dość wysoka (choć w pełnym słońcu wygrywa e-ink).

W zestawie znajdują się sam tablet (o wadze 495 g i wymiarach 182 x 259 x 7 mm), leciutki rysik X3 Pro Pencil 2 oraz cztery miękkie końcówki do pióra wraz z narzędziem do ich wymiany. Dzięki niewymagającemu ładowania rysikowi pisanie czy rysowanie na Magic Note Pad wydaje się równie naturalne, co na kartce papieru. Każdy ruch jest błyskawicznie odwzorowywany.

Sercem urządzenia jest MediaTek MT8781 (z dwoma rdzeniami Cortex-A76 oraz z sześcioma rdzeniami Cortex-A55). Pamięć RAM wynosi 6 GB, a pamięć na dane 128 GB. Specyfikacja nie jest wybitna, ale wystarcza nie tylko do notowania czy rysowania, lecz także do płynnego oglądania filmów, przeglądania Internetu czy uruchomiania aplikacji. Klawiatura Folio Keyboard idealnie pasuje do ochronnego etui Magnet Folio. Samo etui można zaś wykorzystać w roli podstawki do ustawienia ekranu pod kątem (np. na czas oglądania filmu).

Po stronie plusów zapisać trzeba akumulator o pojemności 8000 mAh, który bez problemu wystarcza na cały dzień pracy z tabletem. Kolejna zaleta: tablet jest wyposażony w technologię rozpoznawania twarzy, dzięki której logowanie jest szybsze i prostsze. Stosunkowo dobra jest też jakość dwóch głośniczków stereo, a za pomocą modułu Bluetooth można też podłączyć słuchawki.

Minusy? Po pierwsze, nie ma możliwości rozszerzenia wbudowanej pamięci za pomocą karty microSD. Po drugie, brak tylnej kamery, a jakość przedniej jest mocno przeciętna. Po trzecie, ze względu na duży ekran nie jest to najlżejszy tablet na rynku.

Cena: 1200,65 zł.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl 7580d17964



SIOSTRY GOTUJĄ

Na ryby

MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK
I ANNA POPEK Z D. CHRUZIK

Wyjazdy wakacyjne – czy to na Mazury, czy nad Bałtyk – obligują niejako do tego, by spożywać ryby. Wiadomo – są smaczne i zdrowe. I najlepiej smakują, gdy są świeżo złowione.

Gdy jako dorastające panienki jeździłyśmy z rodzicami do Władysławowa na wczasy, na których wyżywienie było we własnym zakresie, co najmniej trzy razy w tygodniu chodziliśmy do portu, żeby od rybaków kupić świeże dorsze. Były tam też wędzone specjały, ale nasz ulubiony obiad to były smażony panierowany dorsz, ziemniaki i surówka z kiszonej kapusty.

Bardzo też smakowały nam rolmopsy w occie, więc zamiast kolacji często wyskakiwałyśmy do budki z rolmopsami na „jednego". Władysławowo wtedy było cudowne! Od dawna tam nie byłyśmy. Może nadal ma swój urok? Gdziekolwiek jesteśmy, próbujemy też zupy rybnej. Jeśli jest odpowiednio długo gotowana, to ma znakomity wpływ na stan naszych kości i może zapobiegać pojawianiu się osteoporozy. Ważne, żeby gotować ją z głową i ośćmi ryby. Wtedy dopiero cenne pierwiastki przedostają się do wywaru. Znalazłyśmy taki przepis w książce pt. „Dania i potrawy z ryb siostry Marii" i dzisiaj go państwu proponujemy.

FOT. ADOBE STOCK



Zupa z pstrąga

Składniki:

• 2 całe pstrągi, najlepiej łososiowe • 2 marchewki • 1 pietruszka • ½ małego selera • 4 spore ziemniaki • 1 liść laurowy • 3 owoce ziela angielskiego • 1 łyżka posiekanego szczypiorku • 1 łyżka posiekanej natki pietruszki • 1 ząbek czosnku • sól, pieprz do smaku, masło klarowane do smażenia

Pstrągi oczyścić i umyć, odciąć głowy, wyfiletować. Mięso pociąć na mniejsze kawałki, posolić, popieprzyć, wstawić do lodówki. Głowy z kręgosłupem i płetwami włożyć do garnka, zalać 2 l wody, wrzucić ziele angielskie i liść laurowy i gotować pół godziny. Obrać warzywa, umyć i pokroić w kostkę. Na patelni rozgrzać masło klarowane, podsmażać warzywa przez ok. 5 min, pod koniec smażenia dodać przeciśnięty przez praskę czosnek (uważać, by się nie przypalił!). Ziemniaki obrać i pokroić w kostkę. Gotowy wywar rybny przecedzić, dodać do niego podsmażone warzywa, ziemniaki i mięso z ryby, doprawić solą, pieprzem i gotować jeszcze ok. 15 min do miękkości ziemniaków. Ugotowaną zupę posypać szczypiorkiem i natką pietruszki. ©℗



NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Wskrzesić to, co dawne

JOANNA BOJAŃCZYK

Od paru lat mam subskrypcję „New York Timesa", jednak nie obejmowała ona sekcji „cooking". Niedawno przez nieuwagę głupim wciśnięciem palca do abonamentu dołączyła mi się również ta nieszczęsna sekcja, do niczego mi niepotrzebna. Skomplikowane amerykańskie przepisy ładnie wyglądają na zdjęciach, w realu wymagają wielu składników, nie zawsze u nas łatwo dostępnych.

Pomyślałam o tym wszystkim, wysłuchawszy w radiowej „Dwójce" audycji „Droga przez mąkę", w której Łukasz Modelski rozmawiał z Bartkiem Kieżunem, autorem właśnie wydanej jego książki „Via Flaminia". Autor od kilku lat mieszka w Umbrii i o niej pisze w tej właśnie publikacji.

W Polsce kuchnia włoska jest popularna od paru lat – już niemowlęta karmione są spaghetti z bazylią, zamiast – jak kiedyś – zupką jarzynową bez smaku. (Przykład z życia – znajoma starsza pani skarżyła mi się, że jej trzydziestoparoletnie dzieci są tak zafascynowane włoską kuchnią, iż karmią nią rocznego synka).

Ale to, co znamy, te kilka modnych potraw, które znajdują się obecnie w karcie prawie wszystkich restauracji od morza do Tatr, nijak się ma do prawdziwej regionalnej, tradycyjnej kuchni włoskiej.

Autor „Via Flaminia" opowiadał głównie o umbryjskiej kuchni ludowej, prostej i świeżej, opartej na dostępnych na miejscu składnikach. Przywołał przykład starej odmiany fasoli, której uprawy w pewnym momencie zaniechano. I oto pojawia się starsza pani, która porządkując dom zmarłego sąsiada, wśród rupieci znajduje garstkę brązowawo-żółtawych ziarenek. Zamiast je ugotować, wsadza do ziemi. Z nasion wyrastają następne. W ten sposób odmiana zostaje wskrzeszona po latach. Jak się to jada? Po ugotowaniu, po prostu z oliwą, oczywiście miejscową.

I tu wracam do amerykańskiej gazety. Nie wątpię, że zanim cokolwiek się ukaże na jej łamach, jest porządnie sprawdzone przez oberredaktorów. Zatem nie mam wątpliwości, że przepisy „New York Timesa" nikogo nie otrują.

Jednak niewątpliwie, jak w każdej redakcji, istnieje presja na nowości, więc załoga działu „cooking" działa pod wpływem ich wymyślania. Rezultat tego jest taki, że czytelnik otrzymuje przepisy skomplikowane, o długiej liczbie składników. Jestem kucharką z długim stażem i prawdę mówiąc, nie miałabym ochoty żadnego z nich spróbować, a już na pewno zrobić.

Za to po wysłuchaniu autora „Via Flaminia" na fasolę z oliwą miałabym wielki apetyt. Niestety, staruszki wskrzeszające stare odmiany roślin jadalnych są u nas w niewielkiej dostawie. Można tylko liczyć na Umbryjczyków. Albo na sadowników, którzy przypomną nam zapomniany smak kronselki. ©℗

eprasa.pl 7580d17964



PIECZEŃ RZYMSKA

Sny o potędze

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

Raport" to włoski program, jakich w polskich telewizjach od lat zatrzęsienie: agresywne dziennikarstwo śledczo-analityczne, w którym ostrze krytyki skierowane jest wyłącznie w jedną polityczną stronę. Prowadzący przedstawia sprawę, a do analizy i dyskusji dobiera ekspertów i komentatorów, którzy działają jak pluton egzekucyjny. Tyle że „Raport", sztandarowy program telewizji publicznej RAI, nadawany w najlepszym czasie antenowym, poświęcony jest wyłącznie miażdżącej krytyce rządu (sic!). Tego jeszcze w Polsce nie grali, jak długa i szeroka.

Prowadzący Sigfrido Ranucci, notabene hołdujący kuriozalnym „technikom dziennikarskim", to postać znana wszystkim Włochom. Kilka tygodni temu ogłosił w programie, że „według niesprawdzonej jeszcze informacji" (sic!) minister sprawiedliwości Carlo Nordio, bawiąc w Urugwaju, skorzystał z usług domu rozkoszy prowadzonego przez byłą współpracowniczkę Silvia Berlusconiego. Minister, owszem, był w Urugwaju, ale w zupełnie innym miejscu, na oficjalnej konferencji.

Co więcej, od miesięcy Ranucci i jego program nie schodzą z pierwszych stron gazet. W ubiegłym roku przed bramą domu Ranucciego eksplodowała bomba, niszcząc jego dwa zaparkowane auta. Wiadomość otwierała wszystkie dzienniki radiowe i telewizyjne. Solidarność z dziennikarzem wyraziła premier Meloni, a Ranucci dzielnie niósł krzyż prześladowanego przez jej faszystowski reżim. Postępowcy wieszczyli wszem wobec, że wracają „lata ołowiu".

Tymczasem śledztwo wykazało – trzymajcie się za warkocze – że zamach zlecił przyjaciel dziennikarza, niejaki Lavitola, ciemny typ po kilku odsiadkach, obecnie w areszcie. Zlecenie wykonali gangsterzy z Neapolu (też już za kratkami). Chociaż to nie do wiary, jak wynika z przejętych przez policję czatów, to Ranucci i Lavitola roili o wejściu dziennikarza na scenę polityczną. Zdaniem Lavitoli przy mądrze poprowadzonej kampanii Ranucci w przyszłym roku w wyborach parlamentarnych mógłby śmiało liczyć na 30 proc. głosów i zostać premierem. Zamach miał być wybuchowym preludium kariery politycznej Ranucciego.

Włoska prokuratura, nie mniej uwikłana w politykę od polskiej, wbrew wszelkim obyczajom, a może i prawu, wydała sążniste oświadczenie i analizę, z których wynika, że niczemu nie winny Ranucci, idol postępowców, padł ofiarą fantastycznych kalkulacji politycznych przestępcy Lavitoli. Naturalnie mało kto w to wierzy. A donoszę o tym dlatego, że jest to tegoroczna wakacyjna story Italii. 11 sierpnia, gdy piszę te słowa, zdjęcia Ranucciego są na pierwszych stronach dosłownie wszystkich włoskich gazet. ©℗



DEKAMERONKI

uNIKi Tuska

JERZY KARWELIS

Prezes NIK, Mariusz Haładyj, stwierdził, że ok. 90 proc. środków z Krajowego Planu Odbudowy nie poszło na inwestycje czy inne programy, ale na zarządzanie płynnością finansów publicznych. Jednocześnie premier Tusk chwali się, że „96,5 proc. środków zostało już zakontraktowane". Okazało się więc, że zakontraktował je minister finansów Domański po to, by państwo miało czym płacić. A to oznacza co najmniej dwie rzeczy.

Pierwsza to taka, że pieniędzy nie ma i nie będzie, jak mawiał pewien minister finansów kandydujący z Bydgoszczy. Kasa się rozpłynęła i – nawet przy takim rekordowym deficycie, nawet przy takim zadłużeniu się u bankierów – nie wystarcza do ostatniego. Nie starcza na tyle, że bierzemy z kupki, która miała być odłożona na coś innego. A to również oznacza, że to tylko jednorazowy strzał, zastrzyk pieniądza, który nie tyle łata dziurę, ile jest chwilową fastrygą, która rozpadnie się przy następnym budżecie.

Druga sprawa to jest kwestia Unii. Ta za takie numery nie takich stawiała do kąta. Przypomnę, bo zapomnieliśmy po tych aferach z klubami swingersów i jachtami, po co było to całe KPO. Ten projekt w Unii nazywał się NextGenerationEU, czyli wskazywał na wyraźny zamysł zbudowania nowego (wspaniałego?) świata na pocovidowych zgliszczach. To u nas nazwano go optymistycznie Krajowym Programem Odbudowy. Okazało się, że chodziło jednak nie o odbudowanie się po pandemii, ale o odbudowanie zawalonego budżetu. Za takie wolty Unia karze natychmiast. Nie po to się opodatkowało kraje członkowskie, nabrało pożyczek pod zastaw państw unijnych, żeby sobie jacyś utracjusze wydawali tak ideologiczną kasę na łatanie swych budżetów.

No chyba że chodzi o Tuska. Tu trzeba mu z Brukseli (a właściwie z Berlina) odpuścić zwyczajową srogość. Wszak Donek nie może upaść z powodu jakiegoś głupiego budżetu. Jak wygra, to mu się to puści w zapomnienie, najwyżej jego ludek obłoży się jakąś karą albo podatkiem. A jak przegra, to się ze sprawą przypomnimy nowym polskim władcom. Tylko tak można wytłumaczyć dziwną, chwilową i taktyczną ślepotę surowej w tych sprawach Unii.

Zatoczyliśmy zatem koło. W pandemii narozrabialiśmy jak pijane koty, daliśmy się opodatkować jakiejś organizacji międzynarodowej, zadłużyliśmy się na pokolenia po to, by się odbudować po COVID. Teraz okazało się, że cała zabawa na nic. Pieniądze pójdą na radośnie uśmiechnięty rząd, który doprowadził kraj do finansowej zapaści. Ci, którzy się teraz tak spierają o władzę, chyba nie wiedzą, co dostaną, jak wygrają… ©℗

eprasa.pl 7580d17964



DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Opowieść o prawdziwym uczonym

Niepokojących odkryć dokonały ostatnio brytyjskie media. Dotyczą one niejakiego Jasona Ardaya. W wieku 37 lat został on zatrudniony na uniwersytecie w Cambridge, zostając najmłodszym czarnoskórym profesorem w historii uczelni. Przełożona Ardaya, dziekan tamtejszego wydziału pedagogiki, nie szczędziła mu komplementów. „Jesteśmy przeszczęśliwi, mogąc z tobą pracować. Pod względem swoich badań jesteś po prostu najlepszym uczonym na świecie" – zapewniała prof. Hilary Cremin, wykładająca w Cambridge „teorię gender". Zapewniała, że zatrudnienie prof. Ardaya nastąpiło w wyniku „wsłuchania się w głos naszych czarnoskórych wykładowców i studentów". Przyczyniło się ono do rozwiązania „strukturalnych problemów, z którymi konfrontujemy się w Cambridge". Polegały one na niedostatecznej reprezentacji „kobiet, osób pochodzących ze społeczności Czarnych, Azjatów i innych mniejszości etnicznych, a także uczonych niepełnosprawnych fizycznie".

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



Profesor Jason Arday spełniał podobne oczekiwania z nawiązką. W przedstawianych przez siebie biografiach prezentował się jako dziecko imigrantów z Ghany. Już w wieku trzech lat zdiagnozowano u niego autyzm, „neuroróżnorodność" i głębokie opóźnienie w rozwoju. Mówić zaczął dopiero jako 11-letni chłopiec, a sztukę czytania i pisania opanował dopiero w wieku lat 18. Jako nastolatek padł też ofiarą wypadku samochodowego, po którym przez kilka miesięcy był w śpiączce. Następnie prof. Arday zmagał się z epilepsją, rakiem jąder, próbami samobójczymi, a także guzem mózgu – usuniętym kilka tygodni przed obroną pracy doktorskiej. W następstwie operacji przyszły profesor Cambridge zapomnieć miał nie tylko treść swojego doktoratu, lecz także okoliczności jego powstania.

Dramatyczne przeszkody tylko zdopingowały go do rozwoju. Według własnych zapewnień już jako dziecko grać zaczął w profesjonalnych turniejach bilardowych, czyniąc z tego źródło dochodów. Uprawiał też piłkę nożną, jako gwiazda akademii piłkarskiej prowadzonej przy klubie Crystal Palace. Według wspomnień prof. Ardaya w roku 2010 przebiegł on w 35 dni 30 wyścigów maratońskich. Podczas 21. wyścigu paść miał ofiarą ciężkiego ataku epilepsji, w którego trakcie złamał nogę. Kolejne dziewięć wyścigów przebiegł pomimo kontuzji – nic sobie nie robiąc z bólu i opuchlizny. Równie imponujące są zapewnienia Ardaya, że dystans 965 km pomiędzy Londynem a Edynburgiem udało mu się pokonać w sześć dni, biegnąc 160 km dziennie. Obok sportowych osiągnięć przyszły profesor uniwersytetu w Cambridge miał uzbierać 5 mln funtów brytyjskich dla rozmaitych organizacji charytatywnych, wykopać setki studni w Afryce i Ameryce Południowej oraz wystąpić w serialu „Seven Up", emitowanym ponad 20 lat przed własnym narodzeniem.

Tego rodzaju sukcesy drażnić musiały „rasistów". Jak skarżył się Jason Arday, atakowali go oni fizycznie, plując, grożąc nożem, oblewając substancjami żrącymi, wysyłając do domu banany, naboje, odciętą głowę świni, a także powtarzające się zapowiedzi mordu i gwałtu.

Żadnej z tych informacji nie udało się dziennikarzom potwierdzić. Wymysłem okazały się także przechwałki prof. Ardaya o ukończonych kierunkach studiów, a także karierze jako „visiting profesor" na uniwersytetach w Ohio, Durham i Glasgow. Książki, do których napisania się przyznawał, aplikując do Cambridge, nigdy nie zostały wydane, a jego doktorat okazał się plagiatem, zlepionym z ponad 180 fragmentów pracy innego studenta.

Najmłodszy czarnoskóry profesor w Cambridge zrezygnował właśnie z posady, skarżąc się na „nienawistną, motywowaną rasowo nagonkę". W Wielkiej Brytanii opublikowana zostanie niebawem autobiografia Jasona Ardaya zatytułowana „Rzeczy wielkie i niefortunne". Zgodnie z zapewnieniami autora wydawnictwo Simon & Schuster zapłaciło za nią 1,5 mln funtów. Jedynie w to wyznanie skłonny jestem mu wierzyć. ©℗

eprasa.pl 7580d17964



WOJCIECH ROSZKOWSKI

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Z ziemi i z piętra

Gdyby można było w jakiś sposób zmierzyć poziom pokory i pychy – dwóch przeciwstawnych postaw wobec świata i ludzi – na wsi i w miastach, to podejrzewam, że średni wskaźnik pychy ludności miejskiej byłby wyższy od ludności wiejskiej. Jest to oczywiście hipoteza domniemana. Mieszkaniec wsi rzadziej ma okazję wspiąć się na wyższe piętro, tylko trzeźwo stąpa po powierzchni ziemi. Częściej widzi niebo i gwiazdy z parteru, bliżej ma do takich zjawisk jak wschód i zachód słońca czy deszcz. Życie ludności wiejskiej jest silniej związane z naturą, stąd jest ona znacznie bardziej pogodzona z nią i ze swoim miejscem na ziemi. Sarkanie mieszczucha, że „znowu pada", ma rzadziej miejsce na wsi, chyba że ulewy niszczą plony. Życie z perspektywy powierzchni ziemi jest zupełnie inne niż w mieście, gdzie większość ludzi mieszka na wyższych piętrach. Stąd być może pochodzą kompleksy wyższości, bo jak ktoś mieszka na 11. piętrze, to z góry patrzy na tych z dołu. To samo dotyczy zresztą mieszkańców wszystkich pięter ponad parterem. Oczywiście w miastach też są pojedyncze domy, których mieszkańcy żyją i pod, i nad sobą, ale domów takich jest jednak mniejszość.

Życie z perspektywy powierzchni ziemi jest zupełnie inne niż w mieście, gdzie większość ludzi mieszka na wyższych piętrach. Stąd być może pochodzą kompleksy wyższości, bo jak ktoś mieszka na 11. piętrze, to z góry patrzy na tych z dołu

Kompleksy tych, którzy mieszkają wyżej, są urojone, gdyż nawet jeśli widzą z góry więcej i dalej, to mają świadomość, że przecież nie pofruną. Co więcej, mieszkańcowi miasta życie na powierzchni kojarzy się z korkami i trudnościami w parkowaniu. Na parkingu łatwo np. kogoś zawadzić samochodem i potem trzeba czekać cztery godziny na policję, żeby rozsądzić spór. Zresztą bezskutecznie. Parkowanie w podziemiach przyczynia się do kolejnych frustracji, bo to jednak poniżej poziomu. A na wsi wszyscy prawie poruszają się po powierzchni, miejsca mają więcej, tlenu więcej, a na spacer nie muszą lecieć na drugi koniec miejscowości, tylko wychodzą przed dom. Świadomość braku perspektywy z góry powoduje czasem kompleksy, ale są one niczym wobec świadomości bycia bliżej natury. A ta zawsze zmusza do pokory. Inna rzecz z mieszczuchami. Patrzą na innych z góry swoich pięter i wydaje się im, że są lepsi, a przecież wystarczy zepsuta winda, żeby ich przywołać do porządku…

Niestety, na wsi i w mniejszych miastach jest gorzej z informacją o życiu publicznym. U naszej fryzjerki wioskowej przebiega ważny kanał informacji lokalnej. Można powiedzieć, że jest to wręcz salon towarzyski – stale jest klientela, a poza tym ktoś wpada, pogwarzy i wypada. Na stoliku leżą też kolorowe pisma dla pań, bo one spędzają tu najwięcej czasu. W jednym z tych pism jest wywiad jakiejś dziennikarki z prześliczną dziennikarką TVN. Osoby zawodowo przeznaczone do przekazywania informacji w istocie kształtują opinię publiczną. I jakie wnioski wyciągną panie ze wsi, czytając, że „życie jest o tym, żeby żyć"? Taką bowiem mądrość przekazały owe dwie dziennikarki w kolorowym artykule. Można się z tego tekstu dowiedzieć, że jedna z nich przeszła zagraniczne szkolenia w well-being, ale z partnerem musiała się rozstać i dzielnie pcha w życie dwie córki. Jakie życie? Żeby żyć. Wielosłowny mąt zawarty w tym tekście może zająć uwagę Bogu ducha winnych tutejszych kobiet, bo mężczyźni tego chyba nie czytają. W całej wsi nie ma zresztą innych gazet niż „Fakt", „Super Express" i „Gazeta Wyborcza". „Do Rzeczy" i „Sieci" pojawiają się w poniedziałek w liczbie jednego egzemplarza lub dwóch. Z Internetu korzysta we wsi pewnie parę osób, więc pozostaje telewizja, w której dominują TVP, TVN, Polsat oraz jakieś „Trudne sprawy" czy nierealna „Sędzia Wesołowska". Opinia publiczna wsi jest więc dość skutecznie wyłączona z obiegu informacyjnego. W sąsiednim mieście powiatowym jest niewiele lepiej: gazety w szerszym wachlarzu można nabyć w dwóch miejscach. Gazety lokalne były niszczone przez kilkanaście lat po przejęciu przez koncern niemiecki, a jego odzyskanie przez Polska Press tylko je dobiło. Jak wielka część polskiego społeczeństwa jest pozbawiona lub sama się pozbawia wiedzy o tym, co się w Polsce dzieje? Połowa? Jedna trzecia?

Kto dotrze ze swoim komunikatem do tej grupy, ten zdobędzie władzę. ©℗

eprasa.pl 7580d17964

PIJACY



FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Przez dziewięć dni stałem na Jarmarku Dominikańskim. Mam obserwacje z ulicy, których nie mają ani politycy, ani badacze z sondażowni. Stragan daje dobrą perspektywę. Dziewięć dni po dziewięć godzin. Każdego dnia ponad tysiąc osób i krótka rozmowa z każdym plus zdjęcie za „Ojcze nasz".

Stoję tak od 20 lat. Znam okolicznych pijaków – witamy się jak starzy kumple, bo oni są w pracy i ja jestem w pracy, i to nas łączy. Co robi pijak w wielkim mieście? Pijak zbiera na flaszkę. Ci, których znam, nigdy nie zajmują się żebraniem. To poniżej ich godności. Oni ZARABIAJĄ. I muszą się ciężko narobić, aby zarobić.

Mają cenne spostrzeżenia. Potrafią inteligentnie skrytykować politykę państwa.

Przykład: Kaucja za butelki wprowadzona dla oczyszczenia planety owocuje rozgrzebywaniem śmietników. Pijacy, żebracy i biedacy, a nawet zaradne nastolatki, grzebią w śmieciach w poszukiwaniu butelek, które da się zwrócić za kaucją. Grzebią w ulicznym koszu lub wysypują wszystko na bruk i łowią skarby. Plastikowa flaszka po wodzie to 50 gr. Czy o to chodziło ustawodawcy? Ludzie na wakacjach wywalają butelki do koszy, a potem takie wygrzebane z fajansu ktoś zanosi do zwrotu. Czy o to chodziło ustawodawcy, aby do Biedronki trafiał syf wygrzebany ze śmietnika? Ustawodawca jest oderwanym od rzeczywistości durniem.

***

W USA moje śmieci sortuje śmieciarz. Mam jeden kubeł, a nie plejadę kolorowych fajansów, jak w Polsce. Wywalam do jednego pojemnika wszystko, jak leci, a potem firma zbierająca śmieci sortuje to wszystko u siebie. ONI sortują na wysypisku, a nie ja w domu.

Pijacy w Gdańsku powiedzieli mi, że lepiej by im było, gdyby ludzie rzucali puste butelki na chodnik, a nie do kosza. W koszu się brudzą, a z chodnika łatwiej zebrać czyste.

Ten pomysł widziałem stosowany urzędowo w Meksyku, w miasteczku Ensenada pod granicą USA. Turyści z Kalifornii wpadają do Ensenady balować. Bo żarcie dobre i piwo tanie. W Kalifornii panuje reżim lewacki i nic nie wolno. Za rzucanie śmieci na ulicę jest kara, a ulice są brudne i zaśmiecone. W Ensenadzie burmistrz wywiesił tablice: „Śmieci rzucaj na ulicę. W ten sposób dajesz zarobić tym, którzy sprzątają." I w Ensenadzie ulice były czyste.

***

– Czy są jeszcze kieszonkowcy? – pytam moich kumpli pijaków.

– To się już nie opłaca, bo ludzie teraz chodzą bez forsy. Karty, Bliki, fiki-miki. Większość nosi tylko plastik, a do tego trzeba specjalisty, co się włamie na rachunek – tak mi powiedział lokalny gdański opryszek i pijak. Uroczy obywatel półświatka.

Spostrzeżenia miał słuszne!

Ludzie kupują i sprzedają, ale najczęściej bez forsy. Cała ich forsa jest gdzieś w kieszeni bankiera. Cała ich (WASZA, drodzy Czytelnicy) forsa jest niebezpieczną grą pozorów, jeżeli nie istnieje w formie gotówki. Karta i Blik to już nie jest smycz ani pętla na szyi – to jest bardzo ostra brzytwa przystawiona do gardeł.

Pokazuję i objaśniam: Wystarczy mała awaria w banku trwająca kilka godzin i będziesz w tarapatach, bo zostałeś z rodziną na Westerplatte i nie masz jak wrócić ani co jeść. Wystarczy jeden wybuch na Słońcu, trochę mocniejszy od tych codziennych, i fala elektromagnetyczna przepali łącza, systemy komputerowe, spali trakcje elektryczne. Zanim naprawimy szkody, będzie CHAOS… Gdybyś miał gotówkę… No ale nie masz, bo wolisz wygodę – kartę i Blik. Kamizelka ratunkowa nie jest wygodna, ale musi być na łodzi NA WSZELKI WYPADEK. Podobnie forsa w gotówce – masz mieć przy sobie NA WSZELKI WYPADEK.

***

W roku 1859 miały miejsce duże wybuchy na Słońcu. Burza magnetyczna spowodowała awarie sieci w Europie i Ameryce Północnej. Odłączono zasilanie, ale prąd indukował się sam – w kablach. Był tak mocny, że przepalał wszystkie urządzenia podłączone do kabli. Kolejną taką burzę mieliśmy w roku 1921. Następna możliwa w każdej chwili. Nie mamy na to wpływu.

Taka burza zgasi Internet, przepali transformatory, uszkodzi systemy bankowe. To nie musi być burza na Słońcu – to samo potrafi wykonać Chińczyk lub Rusek palcami hakerów. Lub koreański dyktator Kim za pomocą rakiety nuklearnej wystrzelonej 300 km w górę – wybuch spowoduje falę elektromagnetyczną przepalającą systemy na Ziemi. Amerykanie zrobili taki eksperyment w roku 1962 nad Pacyfikiem. Setki kilometrów dalej – na Hawajach – wysadziło latarnie uliczne.

Burza magnetyczna indukuje siły elektromagnetyczne w każdym kawałku kabla, w każdym laptopie oraz przepala transformatory. Zniszczony transformator nie daje się naprawić. Zbudowanie nowego trwa rok, pod warunkiem że fabryka ma surowce i prąd.

***

Co zrobisz, zanim naprawią sieć? To nie musi być wybuch na Słońcu, wystarczy zwyczajna awaria systemu w twoim banku. Naprawią to za dwie godziny, ale ty właśnie siedzisz w taksówce, jest noc, wracasz do domu i mówisz temu czarnemu facetowi za kierownicą, że nie masz jak zapłacić, bo w twoim banku mają awarię serwera. Nie masz przy sobie gotówki. Co robisz?

Co robisz?

Ha! I co ON zrobi TOBIE, gdy się dowie, że nie masz czym płacić?

Jest noc, on jest czarny, bo PiS sprowadził do Polski czarnych kierowców. Pytam: CO ZROBISZ bez gotówki nocą, gdy twoja karta chwilowo nie działa, a kierowca to muzułmanin i lubi zemstę? Gdybyś miał przy sobie gotówkę, to byście się dogadali.

***

– Panie Cejrowski, a czemu Pan z nami w ogóle gada? Przecież śmierdzimy.

– Śmierdzicie, bo grzebiecie w śmieciach. Specyfika roboty. Dawno temu pracowałem w stadninie i przerzucałem gnój. Też śmierdziałem. Śmieciarz z oficjalnej firmy ma mundurek, ale śmierdzi tak samo jak wy. Wolę pogadać z wami, bo wy jesteście prywaciarze. O ekonomii wiecie więcej niż fajansiarz na etacie. ©℗

eprasa.pl 7580d17964

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"



W PREZENCIE

KSIĄŻKA

SERHIJ RUDENKO:
„ZEŁENSKI. POZA SCENARIUSZEM"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~751 ZŁ~~

307,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 444 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
- Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 7580d17964

Od ponad dekady tworzymy jedno
z najbardziej opiniotwórczych mediów w Polsce

SPÓŁKA AKCYJNA
DO RZECZY



Do Rzeczy S.A.
Spółka notowana na rynku **NewConnect (GPW)**
Symbol giełdowy: **DRZ**

WOLNOŚĆ SŁOWA MA WARTOŚĆ - TAKŻE GIEŁDOWĄ

Od 28 kwietnia 2026 możesz nas nie tylko czytać,
ale również zostać akcjonariuszem Do Rzeczy S.A.

ZAINWESTUJ
W NIEZALEŻNE MEDIA
Twoje media. Wspólna sprawa.

Dowiedz się więcej:
www.DoRzeczySA.pl

eprasa.pl 7580d17964